

Max Dorian

Wamp

Przełożył Maciej Sadowski

I

W obszernym salonie Stefanii Lange panował półmrok; przez zapuszczone story mające ukryć wnętrze i jego gości, wchodziło jednak trochę popołudniowego światła. Miły chłód, wygodne kanapy i fotele sprzyjały odpoczynkowi, a zapalone lampy osłonięte abażurami rozjaśniały pomieszczenie w atmosferze intymności. Kawa, owoce i alkohol na kilku stolikach dawały pewność, że każdy, kto tu trafi, będzie mieć wszystko. Oczywiście, Stefania Lange dbała o to, by w sąsiednim pokoju nie zabrakło nigdy kuso odzianych pańienek, wiedząc, że jest to konieczne, wszakże dbając jednocześnie o szczególny charakter swego lokalu, zabroniła im przebywać w salonie, bowiem nie zawsze odnosiło to najlepszy skutek. Wstęp mieli tu tylko ludzie bogaci, najczęściej kapryśni i podlegający zmiennym nastrojom. Niektórzy z nich nie potrzebowali tego rodzaju atrakcji, przychodząc jedynie po to, by znaleźć spokój

albo spotkać partnera do rozmowy.

Wszystkich bywalców obowiązywała dyskrecja i dlatego każdy czuł się swobodnie, a co najważniejsze - bezpiecznie.

Gołmont przychodził tu rzadko. Tego dnia nudził się, więc zajął. Stefania Lange witała go zawsze wyjątkowo serdecznie, i to nie dlatego, że Gerwazy hrabia Gołmont dodawał splendoru jej domowi, że jako myśliwy i podróżnik mógł w każdej chwili opowiedzieć coś ciekawego innym. Był mile widziany bo, bo go lubiła. Niektórzy utrzymywali nawet, że się w nim skrycie podkochiwała. Kiedy wchodził do salonu, wchodziło barwne, prawdziwe życie.

Gołmont nie był piękny. Był imponujący; towarzyski, mimo pewnej powściągliwości, wysoki, smagły, z czarną czupryną, a do tego pełen niepospolitej siły tak fizycznej jak i duchowej. Twarz miał chudą i ostrą w wyrazie, ale kiedy się uśmiechnął i pokazał zęby jak u wilka, wszystko wokół niego tajało. Sprzeciwić mu się było niepodobieństwem, toteż nikt tego nie próbował, ale z natury należał do ludzi spokojnych. Mówiono: wspaniały. Siedział na kanapie i popijał sherry.

Naprzeciwno usadowił się wielki i gruby Rafał Jaśminowicz, trzydziestopięcioletni autor lekkostrawnej beletrystyki. Kawaler i wesolek.

- Pani Stefanio - spytał - dlaczego dzisiaj tak pusto?

- Czyżby wszystkie motylki odleciały na łąkę? Stołeczne rozrywki straciły moc przyciągania?

Stefania Lange, wytworna dama, uśmiechnęła się, spoglądając na wielki stojący zegar.

- Nie wie pan, że są także dni, kiedy nic się nie dzieje a jedynym wydarzeniem jest upuszczenie szklanki na podłogę? Może to właśnie taki dzień. Myślę, że ktoś jednak przyjdzie i pocieszy chociaż jedną z moich hurysiek. Naturalnie, to nie jest aluzja do panów. Wiem, że nigdy nie korzystacie z ich usług, z czego się cieszę, bo zawsze dotrzymujecie mi towarzystwa. A poza tym - wy jesteście. To mało?

- Mało, zwłaszcza że ten oto arystokrata ma dziś chyba zły dzień, bo siedzi jak sztacheta w płocie, a głowę ma taką, że tylko bić.

- Zawsze byłeś głupkowaty - powiedział Gołmont - więc chwilę zamyślenia bierzesz za objaw złego humoru.

- O czym pan myśli? - Stefania Lange zaniepokoiła się.

- Chyba nie o tym, żeby już nas opuścić?

- Nie - rzekł Jaśminowicz. - Ten włóczęga planuje pewnie nową wyprawę do krainy pawianów, gdzie czuje się najlepiej. Woli towarzystwo małp, ponieważ ma wtedy wokół siebie bratnie dusze i znajduje pełne zrozumienie dla swego postępowania.

Gospodyni roześmiała się.

- Co pan na to, hrabio?

- Posiedzę jeszcze trochę. A tego grafomana zabiorę kiedyś do Afryki albo do Amazoni. Może wreszcie zrozumie, że tam życie ma inny smak. O wiele lepszy.

- Ale tu łajdaku, pijesz wino z winnic Xeres de la Frontera, najlepszych w całej Hiszpanii, a tam żłopiesz wodę cuchnącą błotem i krokodylami.

- Co ty wiesz tłusty, mieszczechu, o tamtej wodzie? Spójrz na mnie: ani grama sadła, a mam czterdzieści lat. - Gołmont umilkł na chwilę, potem dorzucił: - Siedzę w kraju już pół roku. Czas najwyższy spakować plecak.

- Monti - zawołał Jaśminowicz - nie wyjeżdżaj, bo Olatyńscy mnie zagryzą.

- Więc to prawda? - Stefania Lange zwiesiła głowę.

- Olatyńscy chcą, żeby ślub odbył się w czasie Świąt Bożego Narodzenia, tak więc Monti zostanie zaobrączkowany jak gawron. No i, oczywiście skrzydełka będą z lekka podcięte.

Gołmont uśmiechnął się rozbawiony.

- Ty bardziej tego pragniesz niż ja.

- Mam nadzieję, że porzucisz swoje obrzydliwe przyzwyczajenia, i staniesz się wzorowym małżonkiem.

- Moim jedynym obrzydliwym przyzwyczajeniem jest przebywanie w twoim towarzystwie. Nie wiem jak to się stało, że polubiłem obwiesia.

Do salonu wszedł Kazimierz Dorniewski, ziemianin mieszkający stale w Warszawie lub w Paryżu. Był to przystojny czterdziestoośmioletni wdowiec, esteta, kolekcjoner obrazów.

Przywitał się z obecnymi i nalał sobie koniaku.

- Co tu tak pusto i cicho? Czy ktoś zmarł?

- O tej porze roku umierają tylko kędzierzawi blondyni

- rzekł Jaśminowicz.

Dorniewski przygładził swoje jasno mocno sfalowane włosy i usiadł koło kominka, który cierpliwie czekał na jesienne szarugi.

- Chciałbyś mieć moją fryzurę, ty łysiejący hipopotamie. A pani, Stefano, czemu taka smutna?

- Hrabia ma jużznaczony termin ślubu - powiedziała gospodyni z westchnieniem. - Czuję, że przestanie mnie odwiedzać.

Dorniewski założył nogę na nogę i rozjaśnił twarz.

- Trudno mi sobie wyobrazić pannę Olatyńską, tę blado-złotą lilię obok naszego krzepkiego podróżnika. Już teraz źle wyglądają razem, a cóż dopiero potem. Tam poezja, westchnienia, koronki i mrzonki, a tu - żyłasty osiłek o wilczej naturze pod powłoką dandysa. Nie, do tego dojść nie może. Chociaż - świat widział już nie takie rzeczy. Nieobliczalny los zsyłał już na ludzi opętania gorsze w skutkach. Tu mielibyśmy tylko przypadek godny pożałowania, bo panna Olatyńską jest istotą delikatną jak orchidea...

W tym momencie z hallu doleciały jakieś podniesione głosy. Trzasnęły gdzieś drzwi, a zaraz potem do salonu wszedł służący w paradnej liberii. Był wyraźnie podniecony.

- Zabili pana artystę! - krzyknął i szybko wybiegł.

* * *

Na klatce schodowej zebrało się już kilka osób. Padały głośne słowa, ktoś wołał: - Łapać mordercę! - Jasnowiąsa kobieta zanosila się od płaczu, stojąc na progu swego mieszkania. Właśnie tam leżał szczupły mężczyzna w beżowym garniturze. Leżał we krwi. Już na pierwszy rzut, oka widać było, że o ratunku nie mogło być mowy: człowiek, w którym Gołmont rozpoznał skrzypka Jana Kropiwnickiego, otrzymał co najmniej cztery ciosy nożem. Była to jatka. Jakaś starsza pani upadła zemdlna. Piękna, uduchowiona twarz skrzypka stężała w uścisku śmierci. Ogromne oczy miał szeroko otwarte, jakby w ostatniej chwili chciał jeszcze zobaczyć coś lub może kogoś, kogo w tragicznym momencie nie było przy nim.

Gołmont podtrzymał słaniającą się jasnowiąsa kobietę. To właśnie u niej mieszkał ostatnio Kropiwnicki.

- Proszę się nie tłoczyć! - rzucił ostro hrabia swoim głębokim basem. - Czy ktoś zawiadomił policję?

- Tak! - zapewnił jeden z mężczyzn, mieszkańców kamienicy.

- Coś podobnego! - wykrzyknął nagle jakiś stary człowiek w bonzurce. - Jak to się mogło stać w tym miejscu i o tej porze?

- Proszę o spokój! - rozkazała Stefania Lange, właścicielka domu. - Najlepiej, niech wszyscy wracają do siebie. To nie jest tania sensacja. To jest śmierć.

- Trzeba poczekać na policję - zaproponował stary.

Po pewnym czasie zjawili się dwaj policjanci, a w chwilę później sanitariusze z noszami i lekarz, który

stwierdził zgon.

Padaly służbowe pytania i bezładne odpowiedzi. Nikt nic nie wiedział. Wreszcie jeden z policjantów polecił zabrać ciało, a następnie wszedł do mieszkania jasnowłosej kobiety, którą Gołmont posadził w fotelu. Weszła także Stefania Lange, zamykając za sobą drzwi. Policjant wyciągnął notes i usiadł przy stole.

- Pani jest lokatorką? - Zapytał. - Imię i nazwisko, proszę.

- Tak - powiedziała blondynka. - Wanda Tomicka.

- Kim był dla pani zmarły?

- Przyjacielem... Mieszkał od dwóch miesięcy. Mieliśmy się pobrać... - Zaczęła płakać.

- Gdzie pracował?

- W Filharmonii Warszawskiej - odpowiedziała łkając.

- Był skrzypkiem... artystą...

- Kogo pani podejrzewa? Czy jest ktoś, kto ucieszy się teraz? Kto życzył mu źle?

- Nie wiem.

- A pani? - Policjant spojrzał na Stefanię Lange. - Jest pani właścicielką domu. Czy znała pani denata?

- Trochę. Składał mi kilka razy wizytę, ale od kiedy tu zamieszkał - już nie.

- A kim jest pan? - Policjant zwrócił się do Gołmonta.

- To mój znajomy - rzuciła szybko Stefania Lange. - Pan hrabia był cały czas u mnie na poobiedniej herbacie. Nie będziemy pana w to mieszać.

- Też tak sędzę - rzekł policjant uprzejmie. - Dla

porządku muszę jednak pana poprosić o godność.

- Gerwazy Gołmont - powiedział hrabia. - Nie znałem bliżej zmarłego, ale kilka razy z nim rozmawiałem.

- Kto z państwa może mi podać nazwiska i adresy osób, które znaczyły coś w życiu Jana Kropiwnickiego? - Odpowiedziało milczenie. - Wynika stąd, że zmarły był tajemniczym człowiekiem. A jednak wszystko wskazuje na to, że ktoś nasłał na niego nożownika. Ktoś posłużył się rękami zbira, bo należy wątpić, by skrzypek zawierał znajomości z mętami ulicznymi, z którymi mógłby mieć później na pieńku. To się zdarza, ale wyjątkowo. Tak... Gdyby komuś z państwa coś się przypomniało - proszę mnie zawiadomić.

* * *

W salonie jakby pociemniało. Stefania Lange zwolniła dziewczynki i kazała przynieść świeżą kawę. Usiadła i zamyśliła się, a potem powiedziała:

- Spokojny dzień. Bardzo spokojny.

- Do diabła - rzekł Jaśminowicz - co to było?

Dorniewski westchnął.

- Morderstwo, ty dociekliwy facecjonisto.

- Trudno mi w to uwierzyć. Taki spokojny, łagodny człowiek. Nawet nigdy nie podniósł głosu. I zdolny skrzypek. Ile mógł mieć lat?

- Dobiegał trzydziestki. Geniusze, wybrańcy bogów umierają wcześniej.

- Rzeczywiście był taki zdolny? - spytała Stefania Lange.

- Pierwszy skrzypek w orkiestrze symfonicznej - powiedział Dorniewski. - To coś znaczy.

- Okropność. Może ktoś mu zazdrościł pozycji?

- To bardzo prawdopodobne.

- Może chodziło o zwolnienie miejsca? Można więc podejrzewać innych skrzypków.

- Już wiem! - zawołał od drzwi mały, łysy człowieczek, który właśnie wszedł do salonu. Będąc prywatnym detektywem, pracował także dla Stefani Lange. Nazywał się Stanisław Pocijko i uchodził za dobrego tropiciela. Mówiono: „ma nosa, a przy tym jest chytry”, co było najlepszą gwarancją.

- Już wiesz kto go zabił?

- Nie, Stefanio, za wiele żądasz. Wiem tylko co się stało. Ale już mnie coś zastanawia. - Przybysz chwycił filiżankę kawy i usiadł na kanapie jak gruby wróbel. Wyglądał komicznie.

- Co cię zastanawia?

- Prymitywizm zleceniodawcy. I pośpiech.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - zapytał Jaśminowicz.

- Chwilowo nie mam wiele do dodania.

- Zgadzam się, że morderca jest prymitywny, ale zleceniodawca? Możemy jedynie przypuszczać, że jest jakiś zleceniodawca.

Pocijko pił kawę i myślał. Zapadła cisza.

- Nie - rzekł niespodziewanie Dorniewski. - To jakaś zwykła awantura z kończącym aktem zemsty. Artyści często włączają w błoto. Jakaś knajpa, trochę za dużo wódki, może dziewczyna... Kropiwnicki uwodził dziewczęta niechcący. Jego uroda żyła samodzielnie życiem. Czy ktoś widział równie przystojnego mężczyznę? Zobaczycie, policja wyłowi jakiegoś nędznego opryska, który myśli ręką. A swoją drogą jakie dziwne bywają zakończenia. Młody człowiek, talent, w perspektywie olśniewająca kariera, a tu nagle bezmyślne człekokształtne zwierzę wali nożem. Finis.

- Miał rodziców, krewnych? - spytał Jaśminowicz zgnębionym głosem. - Trzeba zawiadomić.

- Będę w kontakcie z policją - powiedziała Stefania Lange - i dopilnuję wszystkiego. Mam złe przeczucia. Policja nie znajdzie sprawcy.

- A ja spróbuję - rzekł Pocijko. - Ja znajdę.

- Zapłacę ci dobrze.

- O nie! Słuchałem kiedyś jego gry, i to mi wystarczy. Choćbym miał sam łeb położyć - znajdę tego drania. To moja osobista sprawa.

- Przyjaźniłeś się z nim?

- Nie. Gdzie mnie tam do takich artystów... Ale to był dobry człowiek i trzeba go pomścić.

- Pomścić?

- Tak. Trzeba pomścić te skrzypce. Już nie zagrają... Dopadnę tego drania. Nawet na końcu świata.

Gołmont wstał, pożegnał się i wyszedł. Ulica Złota

pełna była jeszcze ciepła, choć słońce zaszło już za wysokie kamienice. Szedł pieszo, pogrążony w myślach. Wciąż stał mu w oczach obraz klatki schodowej, na której zakończył życie młody człowiek. Zimna, ponura sceneria. Głowa mężczyzny na wycieracze koło progu. Krew. Jakiś smutek, jakieś pragnienie w zastygłym spojrzeniu. Tragiczne, nieodwołalne zakończenie cudu, jakim jest człowiek żywy.

Dopiero teraz przyszło mu na myśl, że przecież powinien zbiec na dół i szukać w sąsiednich bramach, zamiast trzymać mdlejącą kobietę. Wtedy, przy odrobinie szczęścia, energiczny mężczyzna miał szansę złapać sprawcę mordu. Kto, jak nie on powinien to zrobić? A jednak nie przyszło mu to wtedy na myśl.

Poszedł do hotelu, wziął klucz od recepcjonisty i zamknął się w swoim pokoju. Uświadomił sobie, że po raz pierwszy nagle zdarzenie przerosło go, zepchnęło na margines. Po prostu zawiódł.

II

Śmierć skrzypka nie przeszła bez echa. „Kurier Warszawski” donosił: „20 sierpnia 1935 roku był ostatnim dniem dla Jana Kropiwnickiego, najlepiej zapowiadającego się w stolicy skrzypka. Ten młody wirtuoz grający w Filharmonii Warszawskiej (pierwsze skrzypce) zaczynał właśnie koncertować jako solista, odnosząc same sukcesy w kraju i za granicą. Tragiczna

śmierć zgasiła ten wielki talent. Melomani warszawscy domagają się wyjaśnienia okoliczności śmierci, ponieważ już dziś wiadomo, że skrzypek został zamordowany z premedytacją. Domagamy się, by policja ujęła mordercę i postawiła go przed sądem". W ostrzejszym tonie zawiadamiał o tym „Express Poranny”. Tłusty nagłówek wykrzykiwał pytanie: „kto zabił ulubieńca stolicy?” Tekst wymknął się autorowi spod kontroli. Zdominowała go egzaltacja i napastliwość: „Młody, genialny wirtuoz skrzypiec zarżnięty został jak zwierzę rękami nasłanego zbira. Kto mógł się tego dopuścić?! Tylko ktoś, kto czuje się bezkarnym w Rzeczypospolitej, tylko ktoś, kto wie, że nie dosięgnie go sprawiedliwy wyrok sądu. Skrzypek Kropiwnicki w trumnie, a jego kat na wolności, bo zbrodniarz zdołał umknąć i należy wątpić w to, że policja wyłowi go z morza mętów społecznych wielkiego miasta. To nieprawda, jak chcą niektórzy, że Kropiwnickiego zgładził zawistny kolega, pragnąc zająć miejsce na szczycie; takimi metodami nie walczą ludzie w tym środowisku. Intrygi, krzywdzące recenzje - tak, ale nie nóż! Tu się wyczuwa porachunki innego rodzaju".

W dniu pogrzebu, Gołmonta odwiedził znajomy policjant, chcąc zadać kilka dodatkowych pytań. Usiedli w małym saloniku obok recepcji. Pierwsze pytanie było dość bezceremonialne:

- Jest pan człowiekiem znanym z energii. Dlaczego w takim razie zaniechał pan pościgu za mordercą?

- Zaniechałem? - Gołmont spojrzał badawczo na

policjanta.

- Tak. Lokatorzy domagali się tego. Padały okrzyki: „Gonić mordercę!”

- Faktycznie. Mimo to do pościgu nie doszło, więc nie było tym samym zaniechania.

- A dlaczego pan nie ścigał zabójcy?

- Sam sobie zadaję to pytanie.

Policjant zapisał odpowiedź.

- Rozmawialiśmy z muzykami w Filharmonii. Taki wywiad należy do czynności rutynowych. Okazuje się, że zmarły nigdy nie zaglądał do podejrzanych spelunek i nie zawierał przygodnych znajomości, więc kontaktu z światem przestępczym nie miał. Nasuwa to przypuszczenie, że źródło zła znajduje się gdzie indziej. Mam na myśli życie towarzyskie, a tu chyba może nam pan pomóc. Gdzie pan się spotykał ze zmarłym?

- Tylko w salonie Stefanii Lange. Były to przypadkowe i rzadkie spotkania.

- Czy on tam przychodził sam?

- Nie wiem. Chyba tak.

- Czy mieliście panowie wspólnych znajomych?

- Oczywiście.

- A znajome?

- Nie. - Gołmont zniecierpliwił się. - Do czego pan zmierza?

Policjant wzruszył ramionami.

- Do postawienia sprawcy przed sądem, panie hrabio. Dlatego proszę o informacje.

- Dam panu jeszcze jedną i radzę zapamiętać na całe życie: w takich przypadkach jak ten, nienawiść powtarzam: nienawiść, zabija człowieka, nóż'- tylko przebija ciało. Czy pan mnie zrozumiał?

- Chyba tak - rzekł policjant wyraźnie speszony.

- Więc, do roboty, chłopcze. - Gołmont wstał i nie oglądając się poszedł na pierwsze piętro, do swego pokoju. Spakował rzeczy do dwóch skórzanych walizek i podniósł słuchawkę telefoniczną. - Wyciągnąć z garażu mój samochód - rzekł krótko.

* * *

Gołmont rzadko brał ze sobą szofera. Lubił prowadzić sam. Tak było i tym razem. Kazał włożyć walizki do bagażnika, uregulował rachunek, po czym usiadł za kierownicą i odjechał. W śródmieściu kupił jeszcze kilka prezentów dla Olatyńskich, a potem, nie zatrzymując się już, ruszył na Pragę i dalej szosą na wschód. Wóz był ciężki, trzymał się dobrze nagrzanego asfaltu, wskazówka szybkościomierza zatoczyła głęboki łuk. Mijał małe miasteczka. Z Siedlec ruszył na południe. Po dwóch godzinach dość szybkiej jazdy był na miejscu, w Dębogórze.

Posiadłości Gołmonta, jednego z najbardziej majątnych ziemian w tej części kraju, ciągnęły się daleko, aż za Krzną Południową. Ogromny, biały pałac wzniesiony w czasach kiedy rozkwitał styl barokowy,

świadczył o tym, że jego właściciel pochodził ze starego rodu mającego znaczenie w tych stronach już bardzo dawno. Kiedyś Gołmontowie stanowili liczną rodzinę, ale już na początku dwudziestego wieku szczęście odwróciło się od nich: zaczęli wymierać, a niepodległości ojczyzny doczekali tylko Gerwazy i dwaj jego bracia. Potem wszyscy trzej bili się z bolszewikami, biorąc udział w słynnym uderzeniu znad Wieprza, kiedy to marszałek Piłsudski pokonał Tuchaczewskiego. Z wojny tej wyszedł żywy tylko Gerwazy. Został na świecie sam.

Niespokojne czasy sprawiły, że studiów uniwersyteckich nie dokończył, poprzestając na trzech latach, a i to z przerwami. W rezultacie miał za sobą przygotowanie humanistyczne, ale bez wieńczącego dyplomu. Ożenił się z uroczą panną Reginą z Wisłockich, co zbiegło się z przyływem zainteresowania dalekimi podróżami. W niektórych towarzyszyła mu żona. Afrykańska wyprawa zakończyła się tragicznie. Regina zmarła na chorobę tropikalną, i tak Gołmont został wdowcem, nie mając też dzieci. Od trzech lat żył znów samotnie, a jego drugą żoną miała zostać córka sąsiadów z Ossowca - Hanka Olatyńska, dwudziestodwuletnia delikatna panna, trochę egzaltowana poetka zapatrzona w to, co nieuchwytnie, a do mężczyzn nastawiona zgoła nieprzychylnie, widząc nawet w swoim narzeczonym istotę drapieżną i niebezpieczną dla krainy marzeń.

Gołmont bywał w Ossowcu od dawna, kiedy jeszcze Hanka zaplatała warkoczyki. Grał z jej ojcem w szachy,

uczestniczył w polowaniach, które Olatyński organizował często i z wielkim rozmachem, ale zawsze stroną zabiegającą o kontakty był skromny Ossowiec. Wszyscy okoliczni ziemianie chcieli gościć pana na Debogórze. Potem, kiedy Gołmont ożenił się, stosunki uległy ochłodzeniu, bo Cecylia Olatyńska nie mogła darować Montiemu tego, że wziął za żonę Reginę, nie bacząc na Hanke. Posunęła się nawet do siania intryg, co zawsze było jej specjalnością, jednakże po śmierci Reginy znów doszło do zbliżenia, gdyż nadzieje Olatyńskiej na mariaż z jej córką odżyły.

Gołmont wyjechał z kraju po pogrzebie żony. Zwłoki sprowadził z Afryki i złożył je w rodzinnym grobowcu. Okres żałoby spędził w dalekiej Amazonii, gdzie włączył się po bezdrożach tropikalnej puszczy z bronią w rękę, najawszy kilku tubylców do noszenia ekwipunku i namiotu. Była to długa wyprawa, o której rozpisywała się nawet warszawska prasa. Po powrocie Gołmont siedział jakiś czas w stolicy odwiedzając znajomych, chodząc często do teatrów i przesiadując w Bibliotece Narodowej dla pogłębienia swej wiedzy w dziedzinie, k się ośrodkiem jego zainteresowań: studiował historię i geografę Afryki i Ameryki Południowej, i przygotowywał się do następnej podróży, która doszła do skutku już po paru miesiącach. Znów wybrał się do Afryki i przebywał tam blisko rok, a kiedy wrócił, umieścił trofea w pałacu i odpoczywał. Wtedy właśnie Olatyńscy przypuścili szturm: zapraszali go i przyjeżdżali do

Dębogóry niemal codziennie, a Hanka nastawiona przez rodziców, zaczęła go prowokować do oświadczyn. I wreszcie zwrócił na nią uwagę. Była już teraz poważną panną i autorką kilku tomików wierszy. Uroda jej nie należała do olśniewających, ale potrafiła przyciągnąć wzrok. Hanka miała duże marzycielskie oczy koloru bezchmurnego nieba, twarz bladą, szczupłą, a usta małe, niemal dziecinne. W ogóle była szczupła aż nazbyt i miała w sobie coś z delikatnej primuli.

Oświadczył się z całym ceremoniałem, ale bez entuzjazmu, jak człowiek, który obiecuje być mężem, nie zamierzając być kochankiem. Wiedział, że Hance to dogadza i nie próbował nawet zbliżyć się do jej ciała. W miarę jednak jak mijały tygodnie, dziwił się sobie coraz bardziej, a kiedy Ołatyńscy zaczęli nalegać, by wreszcie naznaczyć datę ślubu, poczuł, że wcale tego nie pragnie i zaczął zwlekać, tłumacząc to koniecznością oswojenia się z nową rolą po tragicznym finale pierwszego małżeństwa. Koniec końców, pod naporem Cecylii Ołatyńskiej, data ślubu została ustalona. Miało to nastąpić drugiego dnia Świąt Bożego Narodzenia.

W pałacu zastał wzorowy porządek, ciszę i jak zwykle atmosferę przystani. Wielkie okna wpuszczały światło słoneczne, dzięki czemu wszędzie było jasno i przytulnie. Pyszny pałac błyszczał jak wielki klejnot.

Gołmont położył się wcześniej spać, a wstał dość późno. Wykąpany i świeży zasiadł do sutego śniadania, słuchając radia. Najpierw sączyła się z głośnika lekka

muzyka, potem spiker odczytał poranne doniesienia, a następnie zapowiedział wywiad z szefem policji kryminalnej. Dziennikarz zapytał czy ustalono już kto zamordował Jana Kropiwnickiego, podkreślając, że opinia publiczna oskarża prowadzących śledztwo o opieszałość. „Mamy bardzo trudne zadanie - mówił wysoki urzędnik - ponieważ nie można się dopatrzeć motywu zbrodni. Nic nie wskazuje na to, by był to mord na tle rabunkowym. Mamy też pewność, że zamordowany bestialsko artysta nie był wplątany w żadną aferę. Założyliśmy więc, że mamy do czynienia z aktem zemsty, jednakże i tu nic tego nie potwierdza”. Dziennikarz zauważył, że skrzypek obracał się głównie wśród kobiet, które zawsze szukały jego towarzystwa. „Jesteśmy przekonani - powiedział przedstawiciel policji - że zabójcą jest mężczyzna. I tu nasuwa się przypuszczenie, że mógł to być desperacki napad zazdrosnego męża, na przykład. Ale żaden konkretny ślad nie prowadzi w tę stronę. Pewien szanowany powszechnie arystokrata, który znalazł się przypadkiem w pobliżu zbrodni, sugeruje, że ktoś posłużył się najętym zbirem. Na razie nic więcej powiedzieć nie mogę, gdyż mogłoby to zaszkodzić śledztwu”.

Gołmont wyłączył radio.

- Przyjechał pan dziedzic Olatyński - oznajmił od progu lokaj.

- Proś!

Po chwili wszedł, sapiąc, ojciec Hanki.

- No, nareszcie! - zawołał z cieniem nagany w głosie. - Dzień dobry i gdzie się pan podziewał tak długo? A my czekamy, czekamy...

- Witam - rzekł Gołmont, przywołując na twarzy coś w rodzaju uśmiechu. - Niechże pan siada. Właśnie dziś zamierzałem państwa odwiedzić i przeprosić za dłuższą nieobecność.

- Straszny upał. Co słyhać w stolicy?

Gołmont usiadł naprzeciwko gościa i zapalił wonnego papierosa.

- Przywożę państwu ukłony od Jaśminowicza.

- Dziękuję. - Olatyński skrzywił się. - Coraz mniej go lubię, wyznam szczerze.

- Dlaczego?

- A! Te jego wieczne błazeństwa... Robi głupstwa i pisze głupstwa. Z zadziwiającym uporem.

- Nikomu to nie szkodzi, a ludzi rozwesela.

- Pan go zawsze broni.

- Bo mam do niego słabość.

- A, czy nie za bardzo?

- ?

- No... Taki lekkoduch... Żona uważa, że on wywiera zły wpływ na ludzi. Ja też jestem tego zdania. Żona powiedziała nawet...

- Przesada. Rafał ma, jak to się mówi, złote serce, a to się teraz liczy.

- Wszelako odciąga pana od nas i stale wabi do Warszawy. Tego darować nie można.

- Krzywdzi go pan, panie Janie.

- Byłoby jednak lepiej trzymać się z dala od takich...

Gołmont zmarszczył brwi.

- To mój przyjaciel.

- A, przyjaciel... Moim zdaniem - zły duch.

- Powiem mu, żeby się nie narzucał państwu w Ossowcu. Posłucha mnie.

- Lepiej, żeby też omijał Dębogórę.

- Do tego nie dojdzie.

- Panie Gerwazy, niech pan go przepędzi.

- Dość!

Olatyński skurczył się i spojrzał z lękiem na hrabiego. Wiedział co znaczy to krótkie słowo.

- Niechże się pan. nie gniewa... Ja tylko... A może by tak małe polowanko?

- No...

- Jedźmy zaraz do mnie. Nad stawami, za brzeziną moc kaczek, a w drugiej połowie sierpnia -już wolno. Pogodzimy pięknie z pożytecznym. Hanka się ucieszy, żona się ucieszy, a my sobie przed wieczorem - na mokradła! Co? Jedziemy?

- Na kaczki?

- Na kaczki!

- Od paru dni było mi czegoś brak - powiedział rozchmurzony Gołmont. - Właśnie tego.

* * *

Dwór w Ossowcu świadczył dobrze o gospodarzu - był doskonale utrzymany, ale poza tym niczym się nie wyróżniał. Stał w parku, jak wszystkie dwory, a wewnątrz miał też to, co większość dworów: staroświeckie miłe dla oka meble, dywany, obrazy i moc bibelotów,'a także kominek i fortepian. Za to mieszkańcy odznaczałi się i wyrazistym charakterem, i niepospolitym wyglądem. Pani domu miała wzrost rosłego dragona, co przy nader mizernej, wręcz kruchej figurce męża wyglądało pocieszenie. O ile jednak Olatyński, poza chorobliwą chciwością, nie miał właściwie przywar, o tyle jego drabiniasta małżonka posiadała je aż w nadmiarze: była skąpa, zawistna i posługiwała się intrygą nawet wtedy, kiedy przynosiło to jej tylko przyjemność. Miała wszakże jedną zaletę, która ratowała ją w oczach Gołmonta: namiętnie pochłaniając książki, posiadała imponującą wiedzę, a do tego cechowała ją niepospolita inteligencja. Oczywiście główną osobą była córka obdarzona i inteligencją, i talentem poetyckim. Tak więc pobyt w Ossowcu wcale nie należał do nudnych.

Gołmont przywitał się z paniami, a po chwili został w saloniku sam na sam z Hanką. Lokatorka Parnasu miała na sobie białą sukienkę i wyglądała nadzwyczaj świeżo, jednakże w twarzy malowało się nadęsanie. Kiedy usiedli na kanapie, zapytała bez ogródek:

- Twój dwutygodniowy pobyt w Warszawie oznacza zmęczenie wsią, znudzenie moją osobą, czy przygotowania do nowej eskapady?

- Ani jedno, ani drugie, ani trzecie - padła odpowiedź.

- Może mi w takim razie powiesz, co cię popycha do tego ciągłego znikania?

Gołmont wzruszył ramionami.

- Moje usposobienie.

- To brzmi oryginalnie, ale oznacza coś, co mnie niepokoi. Monti, dlaczego wieszcznie rozglądasz się po świecie, a nie dostrzegasz fenomenu Dębogóry? Sporo ludzi chciałoby siedzieć w twoim pałacu i nie wyglądać stamtąd na świat boży. Nie mógłbyś trochę skorygować swego usposobienia?

- Wiesz, że to niewykonalne. Usposobienie tym różni się od wiersza, czym wiatr - od przewietrzenia pokoju.

- Wczoraj wróciłeś z Warszawy?

- Tak.

- Chcesz, żebyśmy zamieszkali w mieście?

Oczywiście, po ślubie.

- Pomyślimy o tym.

- Mama pytała mnie, dlaczego trzymam cię wciąż na dystans.

- Co odpowiedziałaś?

- Że jest niekonsekwentna.

- ?

- Przecież sama wpoila mi takie staroświeckie zasady. Stale powtarzała: panna powinna pamiętać o tym, że jest panną; zapomnieć może dopiero w dniu ślubu. Uważani zresztą, że miała rację. Czy twoja rezerwa w stosunku do mnie bierze się stąd, że nie zgadzasz się z tym?

Gołmont miał ochotę powiedzieć: nudzisz mnie. Ale zapalił tylko papierosa i rzekł jakby nigdy nic:

- Traktuję cię jak damę, mimo że jesteś moją narzeczoną. Gdybyś nie była młodą damą, nie mogłabyś być moją narzeczoną, więc ty bądź spokojna, a ja będę nadal cierpliwy. Zgoda?

- Cieszy mnie to, co powiedziałaś. - Na ładnej twarzy Hance pojawił się miły uśmiech. -Wiem, że jesteś mężczyzną doświadczonym i bardzo energicznym. Z początku dręczyły mnie obawy, że nie zechcesz mnie zrozumieć, ale teraz widzę, że pozostałeś dżentelmenem, mimo burzliwej drogi, na jaką wszedłeś, wybierając tak ekscentryczny model życia.

- Masz na myśli moje podróże i włóczęgi?

- Tak. Opowiesz mi kiedyś o swoich przygodach?

- Obawiam się, że nie.

- Dlaczego?

- Ponieważ jest to zupełnie inny świat.

- Egzotyka ciekawi mnie.

- Egzotyka, to tylko połowa tego innego świata.

- A druga połowa?

Gołmont przyjrzał się Hance. W jej ogromnych pięknych oczach wyczytał chłodną ciekawość wyrastającą z absolutnej nieznajomości życia. Siedziała przed nim panna z dobrego domu, naiwna lilia wyobrażająca sobie, że różnica między tymi dwoma światami sprowadza się do tego, że tu słowiki śpiewają ukryte w gałązkach bzu, a tam - w pióropuszech palm.

- Druga połowa, to ludzie będący przeciwieństwem tych, których znasz, i miejsca, w jakich nigdy nie powinnaś się znaleźć.

- A ty, jak sobie tam radzisz?

Uśmiechnął się i dziwnie błysnęły mu oczy.

- Ja ważę osiemdziesiąt pięć kilogramów, a jednym uderzeniem pięści zwałam z nóg najtęższego draba.

- Takie rzeczy zdarzają się tam?

- Właśnie.

- To wstrętne.

- Wstrętna jest tylko śmierć zadana nożem przez portowego opryszka. Żeby żyć, trzeba czasem uderzyć.

Hanka spojrzała podejrzliwie na swego przyszłego męża.

- Dlaczego bywasz w takich miejscach?

- Ponieważ nie mam czarodziejskiej różdżki, która uniosłaby mnie i posadziła od razu pod baobabem.

- Czyż nie piękniej jest usiąść pod kwitnącą lipą w twoim ogrodzie i słuchać pszczelej muzyki? Tak spędzony czas daje duszy ukojenie i pozwala napisać wiersz o urodzie gorącego lata.

Kiedy poproszono na obiad, Gołmont wstał i z przyjemnością udał się do jadalni.

* * *

Cecylia Olatyńska miała czterdzieści pięć lat, wyglądała jednak o wiele młodziej. Jej bystra, ruchliwa

twarz mówiła równie dużo jak słowa. Teraz, przy stole była uśmiechnięta i starała się stworzyć atmosferę urzekającego ciepła.

- Panie Gerwazy, strasznie się cieszę, że nareszcie zje pan domowy, porządny obiad. Pan przecież lubi dobrą kuchnię, jak każdy prawdziwy mężczyzna.

- Ależ tak. Zresztą sztuka kulinarna porównywana jest do poezji.

- Chyba trochę przesadzasz - rzuciła Hanka nieco urażona. - Jeszcze trochę i powiesz, że sonet należy przyprawić cebulką, żeby nabrał pełnej wartości.

- Oho! - zawołała wesoło Olatyńska - chyba naraziliśmy się naszej zdobywczyni Parnasu. A propos, czy wie pan, że Hanka ma otrzymać cenioną nagrodę poetycką za ostatni tomik wierszy?

- I to nie byle gdzie - dorzucił Olatyński - bo w stołecznym ratuszu. Bardzo poważna nagroda.

- Papo, o tym później. - Hanka wciąż okazywała rozdrażnienie. - Monti nie czyta moich wierszy.

- Córeczko - powiedziała Olatyńska pieszczotliwie - są ludzie, którzy sycą się poezją życia, natury, krajobrazu, a pan Gerwazy do nich właśnie należy. Oszłamiająca zieleń tropikalnych lasów nad Amazonką, to także poezja. Czysta i wspaniała. Bądź bardziej tolerancyjna i pozwól innym sięgać po wiersze wtedy, kiedy będą w odpowiednim nastroju. Dziś cieszymy się tym, że znów siedzimy razem, że jest nam dobrze w naszym kółku rodzinnym i że nikt obcy nam nie przeszkadza.

- A jakie to bywają niesnaski w rodzinach - rzekł Olatyński pałaszując zupę. - Stary Wylęgała udusił żonę.

- To człowiek prymitywny, głęboko niemoralny. Zapominasz, mój drogi, że obok istot należących do gatunku homo sapiens planetę naszą zamieszkują także istoty człekokształtne, kierujące się jedynie instynktem samozachowawczym, pozbawione wyższych uczuć i wyobraźni. Od tego rodzaju osobników należy trzymać się z daleka.

Gołmont brał udział w rozmowie, starając się nie okazać znudzenia, ale przychodziło mu to z najwyższym trudem, toteż kiedy po obiedzie Olatyński zabrał go na czarną kawę do swego gabinetu, odetchnął z ulgą. Poszli, żeby się nagadać i rozluźnić przed polowaniem. Panie wyraziły zgodę, acz bez entuzjazmu.

W dwie godziny później, z flintami i w długich butach, dwaj panowie wymknęli się nad wodę. Otoczyły ich wysokie trawy i chaszczce. Pogoda była doskonała, leciuchny wiatr głaskał twarze i przynosił miły zapach zieleni. Dopiero tu Gołmont czuł się w swoim żywiole. Z rozkoszą wdychał wiejskie powietrze. Tu nie było już nudy, chciało się żyć. Z daleka napływały odgłosy wsi, jakiś kundel cudownie szczekał. Psy Olatyńskiego szły cichutko, zwinne, wspaniałe, czekając na swoją robotę po pierwszych strzałach. Potem błysnęło lustro wody i zerwały się z łopotem skrzydeł tłuste kaczki.

III

Była głucha noc. Gęste ciemne chmury zasłoniły niebo i światło księżyca zgasło. W ponurej, narożnej komnacie paliła się gromnica osadzona w srebrnym, kutym lichtarzu, rzucając pełgające błyski na żółtą, szpetną, twarz mężczyzny, który siedział przy zimnym kominku. Jego chuda, wysoka postać wygięta była w kabłąk, jakby miała się złamać. Czoło miał niskie, obrosłe czarną, szczeciniastą czupryną, oczy jakby nieżywe, usta zaciśnięte, wąskie i bez krwi. Tylko uszy wielkie i szpiczaste sterczały jak u wilka. W szponiastych rękach trzymał fotografię młodej kobiety. Była to piękna brunetka, mająca w sobie coś, co zniewalało mężczyzn. Patrzył na nią tak, jakby już postanowił zabić, jeżeli nie będzie mógł jej posiadać.

Komnata tonęła w mroku i ciszy, i wydawać by się mogło, że nigdy nie pojawią się tu ludzie żywi, a mężczyzna jest po prostu istotą z jakiegoś dziwnego pogranicza życia i śmierci. Gdzieś na dworze rozległ się głos puszczyka.

Chudy człowiek, ubrany na czarno, wstał, schował do portfela podobiznę młodej kobiety i westchnął ciężko. Długimi krokami wolno przemierzył komnatę, otworzył ogromne podwoje i wyszedł na kamienny taras, obrosły winobluszczem. Wokół stały potężne pnie starych dębów z wysoko uniesionymi koronami. Od schodów tarasu biegła w głąb parku szeroka alejka i ginęła w ciemnościach. Nie poruszył się nawet jeden listek;

bezwietrzna martwota nocy otulała pałac, a raczej coś pomiędzy zamkiem a pałacem. Nagle rozległ się zdławiony, konwulsyjny szept, i ziemista twarz mężczyzny podobna była teraz do upiora:

- Wzywam cię... Jeżeli jesteś, jeżeli to prawda, że jesteś - przybądź tu do mnie i obiecaj, że mi ją dasz, a ja dam ci moją duszę... Jeżeli jesteś - przybądź... Zapiszę ci moją duszę, niech mnie potem piekło pochłonie, tylko mi ją daj. Daj mi ją chociaż raz... Chociaż raz.

Mężczyzna stał i czekał, ale nic się nie poruszyło, cisza trwała nadal. Tylko po pewnym czasie znów odezwał się puszczyk, a wewnątrz pałacu zegar zaczął bić północ. Znów było cicho. Potem niespodziewanie od progu, doleciał głos starego człowieka:

- Kto tu? - Chudy mężczyzna milczał, więc starzec zapytał znów: - Kto tu jest? Będę strzelać!

- To ja - wychrypiał mężczyzna stojący wciąż na tarasie.

- Stefan?

- Stefan.

- Co ty tu robisz? - Starzec wyszedł z ciemności komnaty. W ręku trzymał rewolwer.

- Zawieram przymierze z diabłem.

Hrabia Nieborowski schował broń do kieszeni szlafroka. Odetchnął z ulgą.

- Z diabłem powiadasz?

- Z diabłem. Ale dziś nie przyszedł.

Hrabia usiadł na trzciniowym krzeselku.

- Jutro też nie przyjdzie. Nie ma go. Nie ma ani diabła, ani Boga. Są tylko ludzie.

- Jest, jest. Diabeł jest.

- A ty czego chcesz od szatana?

- Innego życia. Niby to ojciec nie wie...

- Musisz się zgodzić na takie, jakie masz.

- Bez niej nie ma dla mnie życia.

- Rozum ci się pomieszał?

- Chcielibyście.

- Zyta jest żoną twego brata, i nic tego nie zmieni, dopóki on żyje, a jego życiu, o ile wiem, nic nie zagraża. Kiedy się z tym pogodzisz?

- Nigdy.

- Głupi jesteś.

- Tak się wam tylko zdaje. Ja ją muszę mieć.

- Ciepła noc. - Stary pogładził ręką łysinę. - Piękna noc. Nawet diabeł ci nie pomoże, bo ona wolałaby diabła niż ciebie. Sam wiesz.

- Karola też nie chce, a jednak jest jego żoną.

- To co innego... Ta suka wyszła za Karola tylko dla pieniędzy.

- Każda kobieta, to suka, ale ona jest jedna na świecie taka piękna. I właśnie on ją ma. Ten gad... On ma Zytę, on odziedziczył majątek, on ma wszystko. A ja co mam? A ja, nie mam nic! Tak mnie mój ojciec wykierował... Piękne dzięki!

- Nie ja, tylko los. Karol jest starszy i on dziedziczy, ale i tobie ptasiego mleka nie brakuje. Ty masz do mnie

pretensję?

- A do kogo mam mieć?!

- Głupi jesteś.

- Tak? Zobaczymy. Ja wam jeszcze pokażę...

- Uważaj! bo z Karolem nie ma żartów. To człowiek silny, a jak się dowie, że wzdychasz do jego żony, to ci kości połamie. Zapomniałeś już co zrobił z Hołputem? Trzy miesiące leżał w szpitalu, a tylko przypadek sprawił, że nie leży w ziemi. A Strachockiemu zębów nie wybił? Ciebie udusi jak kurczaka.

- Już ja na niego znajdę sposób - rzekł złowieszczo Stefan. A w myśli dodał: „Znajdę sposób i na niego, i na ciebie, ty stara ruino. Twojego kochanego Karolka zastrzelę, a ciebie, ojczulku, otruję. I tak się skończy wasze panowanie w Wołkowianach. Ja będę tu jedynym władcą, a Zyta moją nałożnicą. Wtedy się okaże czy jestem gorszy, czy lepszy od was?

- Buntujesz się - rzekł hrabia. - Ja to widzę.

- Co tam, słowa - wiatr...

- A ja myślę, że nie.

- Niech będzie jak jest - Stefan spuścił z tonu. - Tylko... ciężko tak żyć.

- Przecież niczego ci nie brakuje.

- Siedzę tu jak więzień.

- Siedzisz, bo się do niczego nie nadajesz. Tępy jesteś, szkół nie ukończyłeś, więc co? W pałacu ci źle? Masz wszystko. Pokojówki na swoje potrzeby też masz. A o Zycie zapomnij. Ona nie dla ciebie.

- Ona...

- Taka sama krowa jak wszystkie. Mało masz bab?

- Ona nie jest taka, jak wszystkie. Ona jest inna.

- Diablica. Suka...

- Jak na nią patrzę, to mi się rozum miesza.

- To nie patrz! - Hrabia parsknął ze złością. - Zresztą, ona jest tylko samicą. Niby artystką, a uduchowienia jej brakuje. Samo ciało...

- Ale ciało ma takie, że tylko ją brać...

- Bezwstydna diablica. Ubiera się ciasno specjalnie, żeby uwypuklić to swoje obfite dupsko, a mężczyźni wariują. Karol powinien ją wziąć jeszcze krócej, ale on poza nią świata nie widzi. Zdumiał.

Stefan westchnął i rzucił przez zaciśnięte zęby:

- Niech będzie, jak jest...

- Trzymaj się z daleka, bo ja ciebie bronić nie zamierzam. Gdybym ja był młodszym...

- To co by ojciec zrobił?

Hrabia wstał.

- Co bym zrobił?

- Ojciec by mu Zytę odebrał. Ani chybi.

Gardłowy śmiech starego wyraził wszystko, ale żeby nie było wątpliwości, od progu mrocznej komnaty padły jeszcze znamienne słowa:

- Zawsze brałem takie krowy.

Stefan także poszedł spać. Leżąc już w łóżku, w swojej sypialni, zgrzytał zębami i wzdychał jak miech kowalski. Paliła go żądza, ale równie gwałtownie kipiała

w nim nienawiść do brata i do ojca.

W godzinę później przed pałacowym portykiem zatrzymała się duża, czarna limuzyna. Wysiedli z niej trzej mężczyźni: Karol Nieborowski, czterdziestopięcioletni, duży brunet o krzaczastych brwiach, szofer i młody, zawadiacki Zenek Piwko.

Wszyscy trzej skierowali się od razu do niewielkiego pokoju z nader skromnym umeblowaniem. Szofer przyniósł butelkę wina i rozlał je do szklanek. Usiedli.

- Tu jesteś bezpieczny - rzekł gardłowym głosem Nieborowski. - Tu policja nie będzie szukać.

- Chyba tak - powiedział Zenek, z zadowoleniem chwytając szklankę.

- Zaraz dostaniesz jeść.

- A jak długo mam tu zostać?

- Zostaniesz długo. - W twarzy Karola Nieborowskiego coś się rozluźniło, a potem jego wąskie, bezkrwiste usta rozciągnął dziwnie nieprzyjemny uśmiech. W ogóle, była to twarz niebywale oryginalna w swoim wyrazie: pozbawiona odrażającej brzydoty, która cechowała brata, miała w sobie coś, co czyniło ją jednocześnie w miarę sympatyczną i promieniującą okrucieństwem. Godziła więc sprzeczność, co należało do rzadkości, ale właśnie dlatego była to twarz łatwa do zapamiętania.

Zenek wypił wino duszkiem.

- Jak mają mnie zdybać, to już lepiej tu posiedzę.

- Nikt nie wie, że tu jesteś, prawda?

- Nie. Tak jak było umówione.

- Wspaniale. Żadnych śladów nie zostawiłeś?

- Nie.

- Wspaniale. - Nieborowski zapalił papierosa, nie częstując ani Zenka, ani szofera, który cały czas siedział, obserwując każdy ruch młodego przybysza z Warszawy.

- Pierwsze dwie noce spałem u takiej jednej praczki na Chmielnej. Wypych się nazywa.

- Nie domyśliła się czegoś?

- Nie.

- A tam, gdzie to się stało, też wszystko w porządku...?

- Tak, jak powiedziałem. Sztymuje.

- Wiem. Chcę jeszcze raz usłyszeć. Nikt cię nie widział, nie zapamiętał?

- Nie, jak Boga mego... Poszedłem za nim aż na schody. Nikogo nie było. A on się obrócił i nawet nie pisnął. Dostał swoje i obalił się, a ja chodu.

- Skonał przy tobie?

- W trymiga. Kopnął sobie nogami i gotów.

- A na ulicy? Jak już wybiegłeś?

- Skoczyłem do jednej bramy, potem do drugiej, a stamtąd przez podwórko dalej. Jak trza. Co, źle?

- Dobrze. A potem nocowałeś u tej...

- Taka... Helka Wypych. Praczka i, za przeproszeniem, dupa z ulicy. No, wiesz pan...

- Wspaniale. Teraz zejdziemy na dół. Pokażę ci, czego masz pilnować. Bo, skoro już tu jesteś, muszę cię wykorzystać. Zenek ci na imię, prawda?

- Piwko. Wołają mnie: Zenek Piwko.

- No, to idziemy, Zenku Piwko.

Minęli ciemny hall, starając się nie robić hałasu, potem schodami zeszli do podziemi. Ogarnął ich piwniczny chłód i szczególna, jakby zdwojona cisza. Szofer otworzył potężne, dębowe drzwi. Świeca o mało nie zgasła. Weszli do czegoś w rodzaju lochu.

- A czego tu pilnować? - zapyta! Zenek z zaniepokojeniem w głosie. Co tu jest?

- Zobaczysz - rzekł spokojnie dziedzic.

- Mnie się tu... Mnie się tu nie podoba. Ja mam tu pilnować?

- Naszego złota. Chcę tylko, żebyś wiedział gdzie jest żelazny sejf.

Szofer zamknął drzwi.

- E! Tu nic nie ma...

- Jest, Zenku, jest.

- Gdzie?

Nieborowski wyjął z kieszeni mały pistolet.

- Tu.

- O, ty!...

Padły trzy strzały i piwnicę wypełnił spotęgowany huk. Zenek Piwko wyprężył się, oczy wyszły mu na wierzch i runął na wznak.

Nieborowski wsunął pistolet do kieszeni.

- Trup?

- Trup - potwierdził szofer.

- Jest tu gdzieś szpadel?

- Jest.
- Zakop go natychmiast. Łuski też.
- Za godzinę nie będzie śladu.
- Ja idę spać.

* * *

W jadalni było jasno i nawet przytulnie. Przejmujące wrażenia minionej nocy nie pozostawiły nawet jednego cienia na obliczu. Karola Nieborowskiego. Spał do samego obiadu, więc był głodny. Przywitał się z ojcem, poklepał po plecach brata, i usiadł do stołu.

- Niespodzianka, co?
- Zawsze przyjeżdżasz niespodziewanie - rzekł hrabia.
- To twój zwyczaj.
- Nie budziłem was, bo po co?

Wszyscy trzej zaczęli jeść.

- Dlaczego sam? - zapytał Stefan.
- Tak się złożyło.

- Bywa. - Hrabia zarechotał. - Nie można stale trzymać się spódniczki. Jak tam twoje sprawy?

Karol wzruszył ramionami.

- Dziękuję, wszystko w porządku. - Grałeś?
- Słucham?
- Pytam czy grałeś w karty?

Karol wydał policzki i prychnął jak człowiek, którego pytają o coś, co nie ma znaczenia...

- Od czasu do czasu.

- Ile?
- Ile razy grałem?
- Nie udawaj Greka. Ile przegrałeś?
- Nie pamiętam... Coś dwieście czy trzysta złotych.
- To znaczy - trzy tysiące?
- Nie pamiętam...

- Wypłacam ci wysoką pensję, ale zbyt często przeciągasz strunę. Wiesz, jakim obciążeniem dla majątku jest twoje warszawskie mieszkanie i twoja ukochana żona. Wiesz dobrze. A mimo to grasz w karty i przegrywasz. To źle. To bardzo źle.

- Muszę mieszkać w Warszawie! - wybuchnął Karol. - Ojciec wciąż zapomina, że Zyta musi być w stolicy... Gdzie ma grać na harfie - w naszym salonie?!

- Czasem mogłaby zagrać - rzekł Stefan.

- Nie gadaj bzdur! Bałwan.

Hrabia wyciągnął rękę uciszającym gestem.

- Rozumiem cię synu doskonale. Chodzi mi o karty, Zresztą graj, tylko... nie tak wysoko.

- Coś musi robić - zakrakał Stefan - kiedy żona spędza wieczory poza domem.

- Orkiestra nie zacznie dawać koncertów rano - warknął Karol. - Mnie też się to nie podoba... Do stu piorunów! Chyba wiecie, że to mi się nie podoba, ale co mam zrobić?! No, powiedzcie: co mam zrobić? Gra w Filharmonii i basta.

Stary Nieborowski siedział zasepiony.

- Wygląda na to, że jej to cholerne granie nigdy nie

przejdzie. Diabli nadali...

- Nie, jej to nie przejdzie. A jeszcze teraz zaczynają chwalić jej grę... Ja tego dyrygenta kiedyś ukatrupię... Sfolocz! Harfa! Ta piekielna, przeklęta harfa!

- Trzy harfy. Jedna w Filharmonii, a dwie poza tym. Ty sam je kupiłeś.

- Kupiłem, kupiłem! A mogłem nie kupić?

- Ja bym nie kupił - rzekł Stefan.

- Głupi jesteś. Jedną kupiłem do mieszkania w Warszawie, żeby mogła... no... ćwiczyć. A tu też musi mieć, bo by nigdy nie przyjechała.

- A dziś przyjechałeś sam.

Karol zgrzytnął zębami, wściekły.

- Zespół pojechał na tournée artystyczne do Szwajcarii. Ona, oczywiście, też. Oszaleć można!

- Puściłeś ją? - W głosie Stefana zadrgała ironia. - Ty ją puściłeś?

- Ja, ja, ja ją puściłem! Ja! pojechała z zespołem... Orkiestry nie zatrzymam. Ja bym ich...

- Ożeniłeś się z taką, to cierp. - Stary hrabia zmarszczył czoło. - Tak już będzie zawsze.

- Ja bym jej złamał palec - powiedział Stefan. - Albo całą rękę. Przestałaby grać.

- Też pomysł! Durny ty jesteś, synu, durny.

Karol spojrzał na brata lodowato.

- Dla jednego jej palca obdarłbym ciebie ze skóry żywcem, ty nędzna gnido.

- Na długo pojechali?

- Na dwa albo trzy tygodnie. Hrabia zasepił się jeszcze bardziej.

- Ty też chcesz za nią pojechać, jak mniemam.

- Muszę - rzekł Karol krótko.

- I brakuje ci gotówki?

- Niestety, brakuje.

- Skaranie boskie. Ile?

- W sumie... jakieś piętnaście tysięcy.

- Ach!

- Siła wyższa.

- A ile jej dałeś?

- Tysiąc dolarów.

- Z torbami pójdę przez was.

- Na szczęście często nie wyjeżdżają.

- Tego by tylko brakowało...

Zaległo milczenie.

Pierwszy przerwał je Karol:

- A co tu u was słychać?

Stary Nieborowski skrzywił się.

- Jak to u nas - nic się nie dzieje. Żyjemy z dala od świata. Tyle wiemy, co z gazety.

- Na gazety szkoda czasu.

- Właśnie czasu mamy najwięcej.

- A co tam piszą?

- No, ty wiesz najlepiej, bo wracasz ze stolicy. - Hrabia coś sobie nagle przypomniał - Czeka... Co to oni...? Aha, przecież o tym powinienes wiedzieć, bo to był grajek z Filharmonii. Co to było z tym skrzypkiem?

Karol pokręcił głową przecząco.

- Skrzypek? A... wiem...

- Kto go zamordował? Przecież ty go nawet chyba znałeś?

- Nie. Dlaczego miałbym go znać?

- No, on chyba grał razem z Zytą?

- Tak... Faktycznie. Ale ja go osobiście nie znałem.

- Kto go zamordował?

- Co to, ja mam wiedzieć?

- Myślałem, że wiesz. Nie złapali mordercy?

- Nie wiem. Chyba nie.

- O co tam poszło?

- Nie mam pojęcia.

- A co mówiła Zyta?

Karol zachnął się z gniewu.

- Zyta, Zyta! Ona ma myśleć o mężu, a nie o jakimś tam...

- Tu się z tobą zgadzam.

- I ona musi się ze mną zgodzić. Zmuszę ją! - Karol wstał od stołu i poszedł do siebie. Przekręcił klucz w zamku, a następnie wyciągnął z portfela arkusik papieru złożony we czworo. Wyprostował go i czytał po raz setny list Jana Kropiwnickiego wykradzony z torebki Zyty: „Jedyna moja! Całe te dwa dni marzyłem o Tobie, nie mogąc liczyć na spotkanie. Wiem, że to było niemożliwe. Ale teraz będziesz mogła się wyrwać chociaż na godzinę. Ada zostawi klucz pod słomianką - gdybyś przyszła wcześniej. Kiedy myślę o spotkaniu z Tobą, dostaję

gorączki. Pragnę Twego żaru całą moją istotą. Pragnę szczęścia w Twoim uścisku. Pragnę tej chwili, kiedy w Twoich oczach pojawia się szal miłosny. Czekam, tęsknię, całuję, Twój na wieki Janek".

Karol Nieborowski wpijał się wzrokiem w arkusz i dyszał z wściekłości. O romansie żony dowiedział się właśnie z tego listu. Potem już tylko śledził, tropił swego wroga, i odchodząc od zmysłów, planował zemstę, która jednocześnie położy kres tej miłości. Żonie nic nie powiedział, nie chcąc się zdradzić ze swych zamysłów. Zdusił w sobie wściekłą zazdrość, stłumił chęć przynajmniej posiniaczenia jej ciała, ciała, które przyjmowało tamtego mężczyznę. W samotności był jak dzikie zwierzę, ale przy żonie hamował się i przysłaniał twarz maską. Zapomniał o wykradzionym liście i dopiero później uprzytomnił sobie, że spostrzegła zniknięcie kartki. Po dokonaniu zabójstwa udawał, że obeszło go to tyle o ile. Wiedział, że go podejrzewa, ale wiedział też, że będzie milczeć, nie mając dowodów jego winy, i bojąc się jego zemsty.

Teraz wreszcie podpalił list, nie chcąc go już dłużej nosić przy sobie. Wszystko się dokonało, wszystko się skończyło. Kropiwnicki w grobie, najęty opryszek w grobie. Zyta nie ma kochanka. To było najważniejsze. A wkrótce przyjdzie czas na to, by jej uświadomić, że jeżeli go zdradzi znowu, to ją zabije. Nie przyzna się nigdy do tego, co zrobił, aie wykorzysta jej podejrzzenia i obudzi w niej strach. To już postanowił. „Za łagodny byłem”,

myślał, „ale to się skończy. Poczuję moją rękę, złamię jej niechęć do mnie, złamię jej opór. Odpycha mnie, wymawia się zmęczeniem, Bóg wie czym, nie chce mnie wpuścić do łóżka, ale ja ją zmuszę. Nie będę już słuchać wymówek, nie będę ustępować. Zgwałcę cię, ty kurwo. Pokażę ci, co potrafię. Rzucę cię na podłogę i zerznę jak zwykłą kurwę. Wtedy się we mnie zakochasz. Zmuszę cię”.

Leżał długo, zapatrzony w sufit i przypominał sobie jak ją poznał. Trzy lata temu był już zdeklarowanym starym kawalerem. Zadawał się wyłącznie z kobietami z półświatka. Tak było wygodniej. O żeniactwie nie myślał. Zytę spotkał przypadkowo u znajomego malarza. Pozowała do portretu. Była już wtedy zupełnie sama na świecie; ojciec lekarz, zmarł dość wcześnie, a matka wydawszy wszystkie oszczędności na wykształcenie córki, zmarła także, w skrajnej biedzie. Zyta Feluś mieszkała wtedy u ciotki i dawała prywatnie lekcje muzyki na pożyczonym pianinie. Pochłonięta była całkowicie muzyką, ale nie wrócono jej olśniewającej kariery. Żyła z lekcji, starając się jednocześnie o wejście do jakiegoś zespołu orkiestralnego, co nastroczało wiele trudności. Ponieważ znakomicie grała na harfie, próbowała w tym kierunku, ale harfa należała do instrumentów rzadko stosowanych, więc i tu szanse miała raczej znikome. Poznawszy Karola Nieborowskiego, postanowiła go wykorzystać. Karol pamiętał jej oczy z tego okresu. Świeciły jak dwie gwiazdy. Jej twarz

promieniała wtedy często uśmiechem, a on, oczarowany jej urodą i jej przychylnością, po prostu oszalał z miłości. Zaczęli się spotykać, a on poczynił starania, w rezultacie czego zaangażowano ją; dostała się od razu do orkiestry symfonicznej. Z początku grała rzadko, zastępując jedynie uznane już i-zasiedziałe harfistki, ale uroda robiła swoje; sprzyjali jej wszyscy mężczyźni, a każdy chciał się wyróżnić w utorowaniu jej drogi do stałych występów. Karol ożenił się z nią w momencie, kiedy bardzo potrzebowała luksusowego mieszkania, a w nim - własnych instrumentów i, przede wszystkim, komfortu psychicznego, spokoju. „Sprzedała mi swoje ciało” myślał „za to co dla niej robiłem. Tylko sprzedała. Dziwka. A potem inni byli lepsi -ja muszę spać w oddzielnej sypialni. Zawsze sam. Czekał, ja ci pokażę. Dostyc nadskakiwania, potakiwania. Teraz przeholowałaś, a ja ci wytłumaczę, co to znaczy mąż”.

Po kolacji ojciec zaprosił go do swego pokoju na rozmowę w cztery oczy. Usiedli wygodnie, a lokaj przyniósł butelkę najlepszego koniaku. Kiedy zostali sami, stary hrabia zaczął kiwać głową i rzekł:

- Musimy się zastanowić nad naszą sytuacją, mój synu. Czas najwyższy.

- Nie rozumiem - rzekł Karol, spoglądając na ojca nieufnie.

- Rozumiesz.

- Ojcie, proszę mówić jaśniej.

- A, dobrze. Jak sobie wyobrażasz przyszłość?

- Moją?
- Nie, mój synu. Naszą.
- Znow trudno mi ojca zrozumieć.
- Postaraj się. Mówię serio.

Karol napił się koniaku i zapalił papierosa.

- Przyszłość, to wielkie słowo... Ale...
- Ja ogólników unikam. Wolę mówić o konkretnych sprawach, które dotyczą ciebie i mnie.

- A zatem?
- Czy wiesz jaka jest nasza sytuacja majątkowa?
- Majątek jest ojca... więc staram się nie wtrącać, żeby nie być posądzonym o... Myślę jednak, że sytuacja majątkowa nie jest zła.

Hrabia zabębnił palcami w blat stolika.

- Mylisz się.
- Est-ce possible?
- Możliwe, możliwe. Jesteśmy zadłużeni. W tym roku musiałem sprzedać kawał lasu.

- Coś podobnego!
- A właśnie. Jeżeli wydatki utrzymamy na dotychczasowym poziomie, to nasz majątek tego nie wytrzyma. Zbiory są coraz mniejsze. Brakuje maszyn rolniczych. Uprawiamy ziemię jak za dawnych lat... Zabudowania gospodarcze wałają się... Potrzebujemy pieniędzy, a one nam uciekają. Bez przerwy.

- Dlaczego?
- Dobrze wiesz. Żyjesz nad stan w Warszawie.
- Ja?

- Ty. Wiesz, ile wyciskasz z majątku? Czy obliczyłeś, ile przegrałeś w karty w ciągu ostatnich trzech lat? Pokazać ci rachunkową księgę?

- Nie... Wierzę ojcu. Aż tak dużo?

- A samochody, futra, brylanty, przyjęcia, wycieczki zagraniczne? Czy ty wiesz, co to oznacza? Nie chcę ci robić wymówek, bo to nic nie załatwia. Chcę z tobą rozmawiać spokojnie o przyszłości. Już nie o mnie tu chodzi - ja stary jestem - ale o ciebie. Jak będziesz żyć, kiedy Wołkowiany wypadną ci z rąk? Z czego pokryjesz wydatki? Pytam cię: z czego?

Karol nalał sobie koniaku i wychylił cały kieliszek.

- Quelle horreur!

- Niestety. Powtarzam: jestem stary - nie o mnie tu chodzi. Rób więc, jak chcesz. Wyciągaj pieniądze nadal, ale pamiętaj, że cię ostrzegałem, i nie zdziw się, jeżeli któregoś dnia zostaniesz nędzarzem. Jak wtedy wyglądać będzie twoje małżeństwo?

- Czy Stefan wie jaka jest rzeczywistość?

- Chyba tak, ale z nim nie rozmawiam. To martwa gałąź mego rodu. Erotoman i potworek.

- Więc, co robić?

- Chyba wiesz. Ograniczyć wydatki do minimum. Zlikwidować mieszkanie w Warszawie. Zostawić... no, może coś w rodzaju garsoniery... Zwolnić służbę. Wyrzucić karty i poskromić Zytę.

- Cholera!

Hrabia rozłożył ręce bezradnie.

- Wybierz sam. Jesteś kowalem własnego losu. Ty będziesz dziedzicem Wołkowian. Jeżeli ich nie stracisz. Do zguby doprowadziła nas Zyta. To femme fatale.

Karol wstał i zaczął przemierzać sypialnię długimi krokami. Szalała w nim burza, ale nie wybuchnął. Wiedział, że ojciec mówi prawdę.

- Co robić?!

- Powiedziałem.

- Zyta!... Ja z niej nigdy nie zrezygnuję! Nie mogę.

- W takim razie katastrofa jest nieuchronna.

- Coś trzeba wymyślić!

- Wymyśl.

- Ale, co?

- Nie wiem.

- Mam pustkę w głowie.

- Od dawna.

- Ach!

- Nadszedł czas opamiętania. Ostatni dzwonek.

- Coś przecież wymyślę.

- Byle prędko.

Karol wychylił drugi kieliszek.

- W każdym razie dobrze, że mi ojciec otworzył oczy.

- Być może - za późno. Teraz, majątek odczuje każdą wywiezioną do Warszawy złotówkę. a ty potrzebujesz tych złotych dużo.

- Więc w tej chwili kasę mamy pustą?

- Tak.

- A niech to wszyscy diabli!!

IV

Po trzech tygodniach śledztwa, policja nie mogła się pochwalić najmniejszym nawet sukcesem: zabójca warszawskiego wiolinisty był nadal nieuchwytny. Przesłuchano wszystkich mogących dostarczyć informacji. Bez skutku. Inspektor Klimaszewski, który zajmował się tą sprawą, zrobił o wiele więcej niż do niego należało - pracował w dzień i w nocy, a mimo to stał w miejscu. Od czasu do czasu w gazetach pojawiały się oskarżenia pod adresem jego przełożonych. Zarzucano im opieszałość i wręcz nieudolność, w rezultacie czego on właśnie zbierał dotkliwe cięgi. W tej sytuacji przestał marzyć o awansie, schudł i pogrążył się w pesymizmie.

Równie wiele aktywności wykazał detektyw Pocijko, ale i jemu szczęście przestało dopisywać. W odróżnieniu jednak od inspektora, Pocijko nie tracił nadziei na uchwycenie mordercy, a głównego sprzymierzeńca miał w swojej cierpliwości.

Pewnego razu zapukał do drzwi malarza Teo Faustyna. Otworzył je wysoki, przystojny szatyn promieniujący radością życia. Pocijko przedstawił się i poprosił o rozmowę.

- Niech pan wejdzie - rzekł malarz. - Uprzedzam tylko, że czasu mam mało.

Weszli do sporej pracowni i usiedli na wygodnej kanapie. Otaczał ich zapach farb.

- Chcę zadać kilka pytań. - Pocijko wyglądał śmiesznie, ale jego głos dudnił i niemal zniewalał. - Przede wszystkim, czy pan znał skrzypka, którego trzy tygodnie temu zabito nożem?

- Znałem. Niezbyt długo ale znałem. Czy pan reprezentuje jego rodzinę?

- Nie. Jako prywatny detektyw...

- Dobrze, dobrze - przerwał malarz. - Chętnie przyczynię się do pochwycenia zabójcy, obawiam się tylko, że za mało wiem.

- Jakim człowiekiem był Kropiwnicki? Niestety, znałem go chyba jeszcze mniej.

- Po pierwsze - zdolnym, po drugie - sympatycznym, nie mówiąc już o jego wyjątkowej męskiej urodzie, po trzecie - kochliwym. Kobiety łapał tak zwinnie, jak kot łapie myszy. Jeden skok, i ofiara gotowa. - Malarz roześmiał się i zapalił papierosa. - W tej dziedzinie był na najlepszej drodze, żeby mi dorównać.

- Chyba ostatnio spoważniał, bo myślał o żeniaczce. Wiem to od pani Wandy Tomickiej.

- Co pan powie! - Teo Faustyn zarechotał. - A może myślał też o tym, żeby skrzyżować wielbłąda z biedronką? Kto takie bzdury rozpowszechnia? A! Mówi pan, że Wanda... Jak nazwisko?

- Tomicka.

- E!

- Ostatnio mieszkał właśnie u niej.

- E! - Malarz wypuścił kilka kółek dymu. - To bez

znaczenia.

- Normalnie, takie rzeczy mają jednak znaczenie.

- Daj pan spokój! Detektyw, a taki naiwny.

Pociejko pokiwał głową. Potem nagle spytał:

- Wrogów miał?

- Kto ma przyjaciółki, ten ma i wrogów.

- Co to za ludzie?

- Skąd ja mogę wiedzieć? Z pewnością wśród członków orkiestry znalazłby się nie jeden.

- Na przykład?

- Zyta ma licznych wielbicieli. Choćby taki Korotkiewicz. Oboista.

- Korotkiewicz. Oboista. A, kto to jest - Zyta?

Malarz popatrzył z politowaniem na maleńkiego, łysego detektywa.

- Kto to jest - Zyta? Widzę, że na koncerty nie chodzimy, co? No, tak... Zyta Nieborowska, szanowny panie detektywie, jest harfistką, a do tego - damą z wyższych sfer. W niej właśnie kochał się na zabój, świętej nie bardzo pamięci, Kropiwnicki. Była to miłość raczej nieodwzajemniona, chociaż... Jestem raczej pewny, że Kropidło nurkował w tej wodzie.

- Z nią też chciał się żenić?

Malarz prychnął jak kot.

- Nie mógł. Choćby z tej prostej przyczyny, że pani Zyta Nieborowska jest żoną hrabiego o tymże właśnie nazwisku.

- Miłe towarzystwo - rzekł z przekąsem Pociejko i

zapisał coś w notesie.

- Co pan tam wie! No, jeżeli chodzi o jej męża, to rzeczywiście - nie można powiedzieć, że jest to człowiek miły. Twarz zbója, mózg przepiórki, obyczaje policjanta.

- A pan dobrze zna tę Zytę?

Malarz pogroził palcem detektywowi.

- Uważaj, Holmesie - ta pani jest Zytą tylko dla przyjaciół. A czy ją znam, czy nie... nie twoja sprawa brachu! Wyraziłem się jasno?

Pociejko zmarszczył brwi.

- Uważaj, panie artysto na słowa. Świń myśmy razem, nie paśli. A ubliżyłem jej nie ja, tylko pan - mówiąc, że w niej Kropidło nurkował. Już za to jedno możesz pan mieć gnaty połamane, a może nawet - pojedynek.

Malarz wstał.

- Wynoś się! - rzucił groźnie.

Pociejko nawet nie drgnął. Włożył tylko rękę do kieszeni, jakby tam coś miał na ostudzenie, gdyby zaistniała konieczność.

- Jeszcze nie skończyłem. Siadaj pan, albo przyjdą tu wieczorem moi koledzy i potłuką wszystko w tym atelier na drobne kawałeczki. Ja nie żartuję, bo zabity został człowiek.

- Dobrze. Byle szybko. - Faustyn usiadł.

- Jak wygląda Korotkiewicz?

- Tęgi blondyn. Teraz nie ma go w Warszawie.

- Kiedy wracają ze Szwajcarii?

- Pojutrze.

- Kto jeszcze?
- Kto może być podejrzany?
- Właśnie.
- To, co wiem, już powiedziałem. Mordercy nie złapie nikt, bo...
- Od jak dawna zna pan Nieborowskich?
- Panią Zytę - od kilku miesięcy. Jej męża prawie nie znam. Rozmawiałem z nim raz czy dwa razy a i to przelotnie, w foyer, po koncercie.
- Jaka ona jest?
- Wkrótce wraca - niech pan do niej idzie!
- Chcę wiedzieć teraz, zaraz.
- No, więc... nie znalazła szczęścia w małżeństwie, dusi się w domu, i szuka ratunku wśród ludzi. Dlatego też gra zawodowo. Przecież ma na wszystko przy bogatym mężu. Cóż jeszcze...? Męża ma zazdrosnego jak cholera. To furiat.
- Zawsze taki był?
- Od początku.
- Trudno mu się dziwić, skoro żonka romansuje na prawo i lewo. Czy jej mąż wiedział o Kropiwnickim?
- Ale skąd! Rozgniótłby go już dawno.
- Ach, tak?
- Powtarzam panu: to furiat.
- Mieszkają oboje w Warszawie?
- Tak.
- Po czym ją poznam na ulicy?
- Na ulicy nie będzie rozmawiać.

- Muszę gdzieś z nią pomówić na osobności. Po czym ją poznam?

- Po czym? To bardzo proste. Jak pan zobaczy wychodzącą z Filharmonii kobietę, na widok której w spodniach zrobi się panu ciasno, to będzie ona.

- Czy wszyscy malarze są tacy trywialni?

Faustyn wyszczerzył zęby w obraźliwym uśmiechu.

- My malarze nazywamy rzeczy po imieniu. Inne imię ma wschód słońca nad kwitnącą łąką, a inne imię ma dupa, którą każdy chce rąbać. Trzeba wiedzieć, co się ma przed sobą, a wy łazicie po świecie, nie pojmując jego natury, przywaleni górą konwenansów.

- Jest pan wulgarny, a cała ta filozofia nie warta funta kłaków. Gadaj, człowieku, jak ją mam rozpoznać, żeby podejść cichutko i nie robić zamieszania.

- Elegancka brunetka. Idź pan do diabła.

Pociejko czuł, że może z malarza wydusić więcej informacji, dlatego przyczepił się do niego jak kleszcz. Podrapał się w gładką łepetynę, i nagle zaczął, w innym już przyjaznym łonie:

- Panie, zarżnęli człowieka. Nie możemy tego puścić płazem. Niech mi pan tak szczerze powie: kto mógł na niego nasłać oprycha, bo przecież wykonawcą musiał być jakiś męt społeczny. Co podpowiada intuicja? Kto?

- Mam pustkę w głowie. Kropidło nie robił żadnych głupstw, żył muzyką. Jediną jego słabością były kobiety. A ostatnio - pani Zyta?

- Bez wątpienia.

- W takim razie - albo jej mąż furiat, albo ten oboista?
- Korotkiewicz?

Faustyn rozważał coś; kręcił głową, wydyma! wargi, wreszcie westchnął i rzekł;

- Chyba tak... Z drugiej jednak strony... Kocha się w niej wielu mężczyzn. Nie wiem. Doprawdy nie wiem.

- Ci inni mężczyźni też idą na całego?

- Raczej nie. Wie pan - kochać się można, ale szanse mają znikome. Po pierwsze - pilnuje mąż, a po drugie - ona jest jednak dość wybredna. Korotkiewicz też kocha się, jak sądzę, platonicznie. Nigdy się nim nie interesowała.

- Może ktoś spoza filharmoników?

- Może. Chyba, tak. Artyści nie są mordercami.

- Eligiusz Niewiadomski był artystą malarzem.

- O! Tam w grę wchodził fanatyzm polityczny. A zresztą wyjątek potwierdza regułę. Nie, nie! Tu marny zupełnie inny punkt wyjścia.

- No, to zostaje nam mąż, albo ktoś spoza orkiestry.

- Tak... A, jeśli chodzi o jej męża, to uważaj pan. Już kilku ludzi pobił. Jest to osobnik bardzo niebezpieczny, którego lepiej unikać.

* * *

Pociejkę należał do ludzi wścibskich, i chociaż odwagą nie grzeszył, szedł uparcie w kierunku, który raz sobie wytknął. Jako człowiek samotny, czasu miał dużo, a

ponieważ zarabiał kiepsko, z rozrywek nie korzystał i mógł się oddać całkowicie temu, co przedsięwziął.

Tym razem kierowała nim ambicja: chciał udowodnić, że jest dobrym detektywem. Prócz tego, obiecał sobie, że pomści artystę, a okrutne morderstwo wstrząsnęło nim do głębi.

Kiedy filharmonicy wrócili do Warszawy z tournée, złożył wizytę Korotkiewiczowi. Okazało się, że jest to człowiek duży, ciężki i powolny, a poza tym - żonaty i z trojgiem dzieci. Przyjął detektywa w swoim mieszkaniu pod nieobecność rodziny.

Zmarły był dla mnie tylko znajomym - powiedział oboista. - Bardzo mało o nim wiem. Mówiłem to policji, mówię i panu. Konkurenta w nim nie miałem, bo jestem dęty, a on był strunowy.

- Ale miał romans z panią Nieborowską? - Pocijko uderzył bez zwłoki, wpatrując się uważnie w twarz gospodarza.

Korotkiewicz machnął ręką, niespieszony

- A, pan o tym! Ktoś nagadał na mnie, że to niby wzdycham do niej, tak?

- Coś tam obito mi się o uszy.

- I... Co też ludziom przychodzi do głowy? Mam rodzinę. Czy to nie wystarczy? A, że ona mi się podoba? To i co z tego? Gdzie mnie tam do niej? Równie dobrze mógłbym wzdychać do gwiazdki z nieba. Czy pan wie, kto to jest - Zyta Nieborowską? Panie, to jest kobieta nieosiągalna. Zresztą, do niej wzdycha każdy...

- Każdy?
- Jak ją pan zobaczy, to pan zrozumie.
- Wiele ładnych kobiet mieszka w Warszawie.
- Wiele ładnych kobiet! - zawołał oboista kiwając głową.

- Dajmy spokój. Szkoda mówić.
- Co w niej jest nadzwyczajnego?
- Panie, widział pan płomień zapałki?

- Też, coś...

- No, a widział pan płonąca chałupę, lub stertę słomy na polu?

- Widziałem.

- No, właśnie. To jest ogień i to jest ogień, a różnica jest?

- Jest. Tu mamy taką samą różnicę. Do płonącej zapałki każdy się przyzwyczaił, ale nie każdy widział wielki pożar. I nie objaśni go pan człowiekowi, który widział tylko płomyk zapałki.

Pociejko zapadł w zadumę. Potem spytał, a raczej rzekł do siebie:

- Dla takiej kobiety można popełnić zbrodnię?

- Z całą pewnością. A kto jest podejrzany?

- Niech się pan zastanowi. Gdyby na przykład jej mąż zdobył dowód na to, że ona go zdradza - mógłby zabić? Zna go pan?

- Ciekawa myśl. Ależ tak. Ten zazdrośnik mógłby to zrobić. A od dawna coś węszył.

- I ja tak sędzę. - Pociejko wstał, pożegnał się i

wyszedł na ulicę.

Dzień był pogodny, ciepły. Na około - sporo ludzi. Kręcił się po mieście trochę bez celu, zaglądał to tu, to tam, cały czas myśląc o Nieborowskim: „Wiem, draniu, że to ty. Nikt inny. Tym razem uświadomiłeś sobie, że grozi ci prawdziwe niebezpieczeństwo, bo skrzypek przewyższał cię pod każdym względem; nawet materialnie mógł cię zdystansować, ponieważ kariera wirtuoza wiolinisty gwarantowała przyływ pieniędzy mogących olśnić najbardziej wymagającą kochankę. Czuleś, że przystojny skrzypek odbierze ci żonę, że jest to tylko kwestia czasu. Opłaciłeś, bydlaku, jakiegoś rzezimieszka i rzecz została załatwiona. A teraz siedzisz sobie spokojnie, mając z pewnością doskonałe alibi. O Kropiwnickim ludzie powolutku zapominają, więc i twoja żoneczka zapomni albo już zdążyła zapomnieć. To zmartwienia masz już za sobą. Ale czeka cię niespodzianka. Policja przegrywa i pewnie przegra ostatecznie. A jednak jest ktoś, kto wygra z tobą. Taki jeden mały, niepozorny człowieczek, za którego nie dałbyś pewnie złamanego grosza”.

Pociejko wszedł do rozmównicy telefonicznej. Nakreśli numer Jaśminowicza i powiedział, że wie już, kto zabił Kropiwnickiego. Oczekiwał gratulacji, a tymczasem tamten zbył go kpina i powątpiewaniem w zdrowy rozum łysych detektywów. Trochę zły. udał się do Stefanii Lange, spodziewając się od niej pełnego poparcia swej tezy. Poprosiła go do buduaru.

- Siadaj - rzuciła lekko, owijając się szlafrokiem z czarnego jedwabiu. - Co to za rewelacja, że przychodzisz w południe?

Pociejko zapalił papierosa, nalał sobie wina, które tu zawsze stało na okrągłym stoliku i rzekł, patrząc jej w oczy:

- Czy pamiętasz jeszcze naszego skrzypka?

- Skrzypka? Masz na myśli morderstwo?

- Tak...

- A! - przerwała mu ledwo zaczęte zdanie. - Przykre rzeczy odchodzą w przeszłość. Takie jest życie.

- Tym razem będzie inaczej.

- Bo, co?

- Bo wiem, kto kazał go zabić.

Stefania Lange spojrzała na detektywa z zaciekawieniem.

- Policja nie wie, a ty wiesz? Kto?

- Nieborowski.

- A, któż to jest ten Nieborowski?

- Hrabia. Podobno. Jeszcze nie sprawdziłem.

Dama w szlafroku zacisnęła wargi, rozciągając je lekko, co świadczyło u niej o dezaprobachie.

- To fatalnie.

- Dlaczego?- Opowiedz mi wszystko po kolei.

Pociejko spełnił jej prośbę, kładąc nacisk na zazdrość, jako motywację i zupełny brak innych możliwości.

Stefania Lange słuchała uważnie. Potem w milczeniu podniosła się i wzięła do ręki gruby notes. Przewracała

kartki najwidoczniej szukając czegoś. Robiła to z nadzwyczajną powagą. Wreszcie znalazła coś, co ją interesowało. Przeczytała i odłożyła notes.

- O co chodzi? - zagadnął Pocijko z niepokojem. Zamierzasz oskarżyć syna hrabiego Feliksa Nieborowskiego, Karola. Jest to rodzina stara i majątna. Wszystko wskazuje na to, że - bardzo ustosunkowana.

- Co to ma za znaczenie?

- Większe niż przypuszczasz.

- Paragraf obejmuje nawet arystokratów, więc...

- Głupi jesteś, Stasiu.

Pocijko zniecierpliwił się.

- Ależ on nasłał zbira.

- Masz dowody?

- Jeszcze nie mam, ale znajdę. Będzie mi potrzebna twoja pomoc, Stefanio.

- Wykluczone - powiedziała chłodno.

- Czy ja dobrze słyszę? Zachęcałaś mnie do wytropienia sprawcy. Chciałaś mi nawet zapłacić, i to dobrze, z czego ja zrezygnowałem. A teraz...

- Zapomnij o mojej pomocy. I, w ogóle, zapomnij o tej sprawie.

- Chwileczkę... Wyłumacz mi skąd ta zmiana.

- Zostaw to policji.

- Policja robi swoje, a ja mam prawo robić swoje. O co ci chodzi? Wpadłem na trop i chcę drania oddać w ręce sprawiedliwości. Naturalnie, kiedy już będę mieć wszystko czarne na białym, zgłoszę to policji.

- Mnie w to nie mieszaj. A, jeżeli będziesz trwać przy swoim - zrezygnuję z twoich usług.

- Wytłumacz mi...

Stefania Lange westchnęła. Dłuższą chwilę królowała w buduarze cisza. Na koniec padły słowa ucinające całą rozmowę:

- Twoje dochodzenie od dziś - skończone. Jeżeli się dowiem, że nadal węszysz, to zamknę ci drzwi przed nosem. Zrozumiałeś? A na pocieszenie mogę ci tylko powiedzieć, że twoje domysły do niczego nie prowadzą. Takie rozumowa nie może tylko rozśmieszyć. Dziwię się, że doświadczony człowiek, w dodatku detektyw, mówi takie głupstwa. Gdyby każdy mąż z powodu zazdrości zabijał swego rywala, to na kuli ziemskiej zabrakło by wkrótce ludzi. Idź do domu, włóż głowę pod kran i puść strumień zimnej wody. Potem, otrzeźwiwszy się przyjdź do mnie i podziękuj mi za zbawienną radę.

* * *

Pociejko wyszedł przygnębiony. Zaczął szukać przyczyny strachu Stefanii, ale mógł jedynie snuć domysły. Może bała się zadrzeć z arystokracją, może nie chciała kryminalnego rozgłosu, ale mogła też przestraszyć się dociekliwości policji, która być może znalazłaby w działalności Stefanii coś, co powinno pozostać w ukryciu. Tak czy owak, należało zaprzestać dochodzenia na własną rękę, jako że Stefania nigdy nie rzucała słów na wiatr, i

mogła mu naprawdę zamknąć drzwi przed nosem, a to oznaczałoby utratę lichego zarobku, ale zawsze - zarobku; do zbierania informacji o swoich gościach znaleźć mogła bez trudu kogo innego.

Wszedł po schodach na czwarte piętro i znalazł się w swoim pokoju. Padł na łóżko i myślał: „Taki łobuz śmieje się teraz w kułak z całego wymiaru sprawiedliwości. Zabił człowieka cudzymi rękami, i wszystko ujdzie mu na sucho. Dlatego, że jest sprytny, bogaty i ustosunkowany. Do diabła, co wart jest ten świat?! A taki Kropidło gnije w ziemi, bo trafił na babę mającą zazdrosnego męża. Cudzej żony nie powinien uwodzić, ale czy to nie było odwrotnie? Może to ona go zaciągnęła do łóżka? Podobał się kobietom, a temu kurwiszonowi po prostu uległ. Na pewno wabiła go przeciągłymi spojrzeniami, a potem pokazała mu - co trzeba, i chłopak zgłupiał. Przez taką dziwkę. Teraz pewnie uwodzi następnego, bo taka musi mieć zawsze fujarę w kroku. Co, za draństwo!

Nakręcił numer telefonu hotelu „Europejskiego”. Może zastanę Gołmonta myślał. „To jedyny człowiek, z którym warto rozmawiać, który nie boi się nikogo i niczego”. Ale Gołmont wyjechał z Warszawy. Pocijko zamówił rozmowę zamiejscową, podając numer telefonu w Dębogórze. Po godzinie oczekiwania zgłosił się lokaj, który oświadczył, że pan hrabia w ogóle jest, tylko pojechał właśnie z wizytą do narzeczonej.

Pocijko spakował walizeczkę i ruszył na dworzec kolejowy. Kupił bilet trzeciej klasy do Łukowa przez

Siedlce i usadowił się w przedziale pociągu osobowego.

Z Łukowa poszedł pieszo do Dębogóry, choć to był wieczór i daleko. Przybył na miejsce zmęczony i głodny. Kazali mu czekać w hallu, nie okazując najmniejszej życzliwości.

Gołmont wrócił późno i zdziwił się na widok małej, nędznej figurki detektywa, którego znał tyle o ile, a spotykał wyłącznie w domu Stefanii Lange, gdzie zresztą bywał rzadko.

- Co pana do mnie sprowadza? - zapytał, oddając służącemu kapelusz.

- Przepraszam pana hrabiego, ale musiałem przyjechać, bo to dla mnie bardzo ważne.

- Długo pan czeka? - Gołmont podał mu rękę z przyjaznym uśmiechem.

- Nie. Długo siedłem od stacji. Kawał drogi...

- Jadł pan co?

Pociejko westchnął.

- Nie. Chcę tylko porozmawiać z panem hrabią chwilkę i pójdę sobie... Pójdę na stację.

Gołmont położył mu rękę na ramieniu.

- Nigdzie pan nie pójdzie - rzekł, a potem zawołał lokaja. - Kolację zaraz podawać dla mego gościa. Ja też coś zjem. Szybko. A Rózia, albo tam która niech przygotuje spanie, bo gość mój zanocuje.

Lokaj spojrział niechętnie na przybysza, i nie ukrywając dezaprobaty, ruszył do kuchni.

- Dziękuję, panie hrabio... - rzekł Pociejko. - Po co tyle

ze mną ceregieli...

- Do jadalni marsz! To rozkaz.

Detektyw oszołomiony gościnnością usiadł i najpierw podjadł sobie, a potem, pociągając z kielicha doskonale wino francuskie, jął szukać odpowiednich słów.

- Najpierw, proszę pana hrabiego o dyskrecję - powiedział - bo Stefania, jak się dowie, że tu byłem, to mnie wyrzuci. Rozmawiałem z nią, opowiedziałem wszystko, ale ona umywa ręce. A ja wiem już kto zabił tego skrzypka, wtedy na schodach.

Gołmont uniósł brwi.

- Doprawdy?

Pociejko znów opowiedział wszystko od początku. Gołmont wysłuchał i zapytał:

- Co pana skłania do zajęcia się tą sprawą? Przecież nikt za to nie zapłaci.

Mały człowieczek opuścił głowę.

- Muszę zaprzestać, bo Stefania... Chciałem... Szkoda mi tego skrzypka, a widzę, że kara ominie zabójcę i mocodawcę. Trudno mi się z tym pogodzić.

- Czego pan ode mnie oczekuje?

- Widzi pan... ja nie wiem jak się dostać do tych ludzi. Oni nie zechcą ze mną rozmawiać, a i służba może mi dostarczyć informacji. Musiałbym tam pójść.

- Ja też ich nie znam. I wolę nadal nie znać.

- Ze mną i policja...

- O! Umówię pana z oficerem prowadzącym to śledztwo.

- Oni mnie zlekceważą. Dowodów brak, a taki Nieborowski z pewnością chytrze się zabezpieczył, więc brak też punktu zaczepienia. Z nim trzeba inaczej... Jego trzeba podejść, walcząc tą samą bronią - sprytem. Spotykać, rozmawiać, obserwować.

- Pańskie przypuszczenia mogą być bezpodstawne.

- Brak mi dowodów. Fakt. Ale ja czuję, że to on.

- Intuicja?

- Tak.

- Podobno jest to metoda przestarzała.

- A jednak - czuję, że to jego robota.

- Myślę, że zarówno malarz, jak i oboista przejaskrawili postać Nieborowskiego. Kochają się w żonie, więc męża ukazują w złym świetle. Trudno mi uwierzyć, że Nieborowski opłacił bandytę. To nie jest człowiek tego pokroju. Takie rzeczy zdarzają się rzadko w naszym środowisku. Świństwa - tak, ale żeby wynajmować nożownika... Wątpię. Poza tym, nożownik może się wygadać po pijanemu. Za duże ryzyko. Chyba zawiodła intuicja.

- Ktoś zabił. To - fakt. Czy pan pojmuje? Taka zbrodnia nie może ujść bezkarnie.

- Nie ujdzie. A teraz - spać.

- Dziękuję. Myślę - że już niedługo wejdzie mi to w przyzwyczajenie: grzecznie iść spać, a rano grzecznie przystąpić do wykonania zadań, które ktoś zleca, bez względu na to, czy są to zadania piękne, czy brzydkie. Na tej drodze może nawet dojdę do jakiejś takiej zamożności,

a wtedy osiągnę pewnie wysoki stopień zadowolenia.

- Mam o panu lepsze zdanie. Nigdy nie będzie pan oportunistą. Jest miejsce w naszym świecie dla ludzi prawych. Na szczęście.

- Zaczynam w to wątpić. Prawy człowiek przegrywa.

Gołmont poklepał swego gościa po plecach.

- Jeżeli stoi na chwiejnym gruncie, jeżeli opiera się na domysłach, tak jak pan teraz, jeżeli zechce pokonać zło samymi tylko dobrymi intencjami, porywem serca. Zapamiętaj, detektywie, prawy człowiek także potrzebuje oparcia i siły. Dlatego niech pan jeszcze poczeka. Trzeba mieć konkrety, żeby przystąpić do tej rozgrywki.

V

Gołmont nudził się. Sypiał długo, trochę czytał, odwiedzał narzeczoną, polował, ale czegoś mu brakowało. Pewnego popołudnia, leżąc w hamaku, uświadomił sobie nagle, że musi wyruszyć do Amazonii. Chociaż na parę tygodni. Ponad pół roku siedział w kraju, oglądając te same twarze, te same miejsca, drepcząc w kółko jak Olatyńscy, jak Dorniewski i Jaśminowicz. Uświadomił sobie jednak jeszcze i to, że właśnie minęła połowa września, a wyprawa, nawet krótka zabierze sporo czasu, grożąc przesunięciem terminu ślubu. Jak ten problem rozwiązać - nie wiedział. Bez entuzjazmu wsiadł do samochodu i pojechał do Ossowca. Wyjawiał Hance szczerze, co czuje, czego pragnie, a w końcu zapytał, czy

bardzo się na niego pogniewa, jeżeli połązi trochę po brazylijskich bezdrożach. Hanka z początku była zdziwiona, a nawet trochę zła, potem jednak powiedziała, że się zgadza, pod warunkiem, że około piętnastego grudnia zobaczy go w doskonałym humorze. Bardzo był jej za to wdzięczny. Nie zwlekając, zaczął się przygotowywać do podróży. Sprzęt i ubrania były w doskonałym stanie, więc nic potrzebował niczego uzupełniać, pozostało jedynie załatwić formalności i kilka drobnych sprawunków. Już następnego dnia wsiadł do samochodu i pognął do Warszawy. Zatrzymał się jak zwykle, w „Europejskim”. Poszedł osobiście do inspektora Klimaszewskiego i polecił mu Pocijkę jako wartościowego detektywa, umówił na spotkanie, a uzyskawszy zapewnienie, że mały człowieczek nie będzie zlekceważony, wybrał się do Jaśminowicza. Było późne popołudnie.

Grubas powitał go z otwartymi ramionami.

- Jak się masz, Monti? Gdzież to bawiłeś tak długo?

Odbyłeś przedślubne rekolekcje?

Gołmont usiadł wygodnie i strzelił palcami.

- Jadę - rzekł z błyskiem w oczach.

- W świat?

- Zgadłeś.

- Przed ślubem?

- Przed.

- Sans blague!

- A jednak! Łaskawie wyraziła zgodę.

- Dokąd się wybierasz?
- Brazylia.
- Zdązysz wrócić na Święta?
- Jutro wyjeżdżam. Powinienem zdążyć.
- Duży bagaż?
- Nie.

Jaśminowicz podszedł do telefonu.

- I tak cię odprowadzę. - Ujął słuchawkę. - Odwołam pozowanie.

- Co?
- Zamówiłem portret, i od paru dni pozuję.

Gołmont śmiał się.

- Z głową - pół biedy, ale brzuch wyskoczy ci poza ramy. Kto uwieczni twoje sadło?

- W pobliżu mieszka doskonały portrecista. Niejaki Teo Faustyn. Jasna dwadzieścia cztery. Mam blisko. A teraz przestań klapać dziobem. - Jaśminowicz nakręcił numer i po chwili zaczął mówić do słuchawki: - Dobrze, że jesteś, Rafał. ...Tak, odwołuję jutrzejsze pozowanie. ... Odprowadzam przyjaciela na dworzec. ... Nie, mam gościa. ... To nie jest taki gość, którego można po prostu zabrać ze sobą. Ale zapytam, bo może akurat ma na to ochotę. - Jaśminowicz zwrócił się teraz do Gołmonta: - Teo zaprasza do „Adrii”. Pójdziemy? - Gołmont skinął głową, że owszem. - Zgoda. Czekać na nas przed domem za parę minut.

Wyszli na ulicę. Rysią skierowali się w stronę Jasnej. Wysoki przystojniak pomachał na nich ręką.

- Przedstawiam ci malarza - rzekł Jaśminowicz. - Teo Faustyn, czyli wielkie ladaco. A to jest hrabia Gołmont, czyli lew salonowy, z lekka nietypowy.

- Bardzo mi miło - rzekł malarz. - Nigdy jeszcze nie malowałem lwa.

- No i nieprędko pan namaluje, bo jutro wyjeżdżam na dłużej - powiedział uprzejmie Gołmont.

- Ale po powrocie...

- Po powrocie - przerwał Jaśminowicz - idzie od razu do ołtarza w celu zaobrączkowania. Jak normalny gil.

Niebo otulały chmury, zapowiadając deszcz. Powiał lekki wiatr i przyniósł, jakby z daleka, trochę jesieni. Między kamienicami pociemniało. Kręciło się sporo ludzi. Zabłyśły latarnie. Minęło ich jakieś rozbawione towarzystwo.

- Idziemy do „Adrii”? - Malarz zdjął kapelusz, kłaniając się leciwej, dystyngowanej damie. - Miałem z nią wiele kłopotu - mruknął konfidencyjnie. - Babsztyl koniecznie chciał mi pozować do aktu, twierdząc, że ma jędrne pośladki.

- Skorzystałeś? - rzucił Jaśminowicz, rozglądając się i myśląc o czym innym.

- Odmówiłem i dostałem po mordzie.

- Chodźmy.

Przecięli Świętokrzyską i doszli do Moniuszki. Zamierzali skrócić w prawo, kiedy Faustyn zatrzymał się nagle.

- Zyta - powiedział.

Od strony Filharmonii szła szybko młoda kobieta. Ostre obcasy jej pantofelków stukały coraz bliżej. Spod kapelusza wypływała czarna fala włosów połyskujących zielono w świetle ulicznej latarni.

- Lucrezia Borgia w przebraniu - rzucił Jaśminowicz.

- Daję słowo.

Malarz zastąpił jej drogę bez wahania.

- Zyta, co ty tu robisz? - W jego głosie drgała namiętność.

- Idziesz do mnie? - Nie zatrzymując się, ominęła go i pośpiesznym gestem kazała mu odejść. - Zyta, idę z tobą...

- Daj mi spokój - osadziła go na miejscu - on tu może gdzieś być.

- Ale...

- Idźże sobie! - Poszła w stronę Świętokrzyskiej, a po chwili znikła im z oczu.

Jaśminowicz westchnął głęboko i rozłożył ręce.

- Fatamorgana i błyskawica - rzekł.

Malarz patrzył w stronę, gdzie zniknęła. Na twarzy miał jeszcze refleks zachwyty, ale jego miejsce zajmował grymas zawodu.

- Coś podobnego - mruknął.

- Miraż czy rzeczywistość? - zapytał Jaśminowicz.

Gołmont milczał.

- Przeleciała jak kometa - rzekł Faustyn. - Ale dokąd? O tej porze?

- Wszystko chciałbyś wiedzieć, ty farbiarza? Jak ty poznałeś taką kobietę? Jakim cudem?

- Ach...

- A ty, co? - Jaśminowicz szturchnął łokciem Gołmoma. - A ten milczy uparcie. Rozumiesz to co mówię? Uuu!

- Idziemy do "Adrii" - powiedział Faustyn. - Muszę się czegoś napić.

Zajęli stolik z dala od podium orkiestry, której zresztą jeszcze nie było. Panował dyskretny gwar bo goście popołudniowi zdążyli już przyjść; ci nocni mieli jeszcze dużo czasu.

Faustyn i Gołmont pili koniak, Jaśminowicz zamówił jedzenie. Siedzieli, nie odzywając się, aż wreszcie literat nie wytrzymał:

- Warszawa ma jedną wadę: mieszka w niej zbyt wielu pomyleńców. Przeważnie są to podróżnicy i malarze. Czy mam wygłosić dłuższy monolog? D'accord, avec plaisir. Otóż, kiedy byłem małym chłopcem, mamusia często powtarzała: pamiętaj synku, że świat składa się z tego, co dziwne i z tego, co powszednie, a ty musisz dokonać wyboru. Jeżeli wybierzesz to, co dziwne, możesz się wspiąć wysoko, ale zawsze będziesz się bać że spadniesz w przepaść, bo większość ludzi prędzej czy później spadała jeżeli poprzestaniesz na tym, co powszednie, całe życie będziesz tęsknić, ale nie spadniesz i nie połamiesz sobie kości. Smutne jest to, że ani jedno, ani drugie nie daje pełni szczęścia. Słuchacie mnie?

- Twoja mamusia miała rację, niestety - powiedział Fustyn.

- Ty też tak sądzisz, Monti? - spytał Jaśminowicz.

- Sądzę. - Gołmont palił papierosa i przyglądał się swemu kieliszkowi. Był uprzejmy i nieobecny. Malarz zauważył to i nachmurzył się.

Jaśminowicz stracił cierpliwość.

- Teo, masz natychmiast objaśnić mego przyjaciela, kto to był. Mnie też.

- Proszę bardzo: Zyta Nieborowska, najelegantsza kobieta w Warszawie. Lat dwadzieścia sześć. Jest żoną zazdrośnika i tyrana. Harfistka orkiestry symfonicznej, ale gra też doskonale na fortepianie. Nie lubi męża, literatów, podróżników i wiejskiego życia. Jest niezależna, nowoczesna i kapryśna. Kobiety jej nienawidzą, mężczyźni kochają. To wszystko, co wiem.

- Kiedy przedstawisz nas pani Nieborowskiej?

- Nigdy - odparł malarz spokojnie i z nagłą satysfakcją.

- Dlaczego?

- Bo ona niechętnie zawiera znajomości.

Jaśminowicz pokiwał głową.

- Zwłaszcza z literatami i z podróżnikami?

- Niestety, taka już jest. Więc - z daleka!

- Ale ciebie lubi, bo jesteś artystą?

- Może nie tylko dlatego? - Faustyn zrobił minę bardzo tajemniczą.

- Oczywiście, do portretu ci pozowała?

- O, nie tylko do portretu. To jest kobieta, która ubiera się gustownie, a rozbiera się z wdziękiem. Ale - zmieńmy

temat.

- Chyba, tak.

Gołmont położył pieniądze na stoliku, poprosił Jaśminowicza, żeby uregulował rachunek, a potem nagle wstał, chwycił malarza wpół, uniósł z nadzwyczajną łatwością i roztrącając krzesła, wyszedł z nim na ulicę. Tam wypuścił go z żelaznego uścisku, a następnie trzasnął dwukrotnie w twarz. Kiedy odchodził, Faustyn wypluwał zęby i stękał, leżąc na trotuarze.

* * *

Zasapany Jaśminowicz dogonił przyjaciela, kiedy już wchodził do hotelu. Weszli razem do apartamentu Gołmonta. Grubas opadł bez siły na kanapę i sięgnął po wodę mineralną, która zawsze stała na stoliku.

- Dwa zęby z przodu - powiedział Jaśminowicz, złapawszy oddech. - Dwa zęby. Urodę Tea szlag trafił. A, to ci historia...Uf! Bijesz, kochasiu, za mocno: nie masz wycucia w tych swoich łapach.

Gołmont umył ręce i wrócił do saloniku.

- Przesadzasz. Trzepnąłem go po pysku bardzo lekko.

- Lekko! A, to kapitalne! Lekko. A jaki gwałt w lokalu! Ludzie zaczęli się ubierać, kelnerzy wpadli w popłoch, po Faustyna przyjechała karetka pogotowia, bo nie mógł stanąć o własnych siłach i do tego gadał coś od rzeczy. No, chryja, że proszę siadać.

- Mielesz ozorem - rzekł Gołmont. - Karetka nie

mogła tak prędko przyjechać.

- Racja. Ale telefonowali po nią. Teo z pewnością pojechał do szpitala. Chyba doznał wstrząsu mózgu.

- Bardzo dobrze. Zacznie myśleć.

- O kobiecie tak mówić nie powinien... zgadzam się z tobą, wszelako mogłeś poprzestać na zwykłej reprimendzie, a tak... będą kłopoty.

Gołmont zapalił papierosa i nalał po kieliszku koniaku. Potem usiadł wygodnie, założył nogę na nogę i z uśmiechem zapytał:

- Czy musisz się zadawać z hołotą? Ciągnie swój do swego? Jeżeli jeszcze raz mi przedstawiś takiego hycla, to każę służącemu, żeby cię wygrzmocił po brzuchu trzepaczką. Poprawisz się?

- Monti, malarze to nie hołota.

- Wiem. Ale jak widzisz, wśród malarzy także trafiają się Lego rodzaju indywidua. Jak wszędzie.

- Powiedz mi, dlaczego broniłeś tej kobiety? Nawet jej nie znasz. Widzisz... ona chyba nie zasługuje na twoją obronę. Teo chciał nam dokuczyć, zauważywszy twoje zafascynowanie panią Zytą, ale reszta, co mówił - to chyba prawda. Nie wybij mi zębów za to, co teraz powiem: moim zdaniem jest to typowy wamp. Jeśli wolisz: femme fatale. Ja jestem podobno niezłym obserwatorem, no i chyba - psychologiem. Pamiętasz pierwsze słowa wypowiedziane na jej widok? Moje „ja” zareagowało natychmiast tymi właśnie słowami: Lucrezia Borgia! Nie muszę ci chyba przypominać, że Lucrezia

Borgia słynęła nie tylko z demonicznej, nieprawdopodobnej urody. Przynosiła także śmierć. - Jaśminowicz zaczerpnął tchu.

- Przeszła koło nas szybko, właściwie - mignęła, jednak pierwsze wrażenie, to najważniejsze, zostało. Dla mnie, jest to kobieta groźna. Jest w niej coś, co budzi we mnie dziwny lęk. Tyle jest różnych kobiet, ale nie! Ona jest inna. Powab jej przekracza wszelkie wyobrażenia. Nie widziałem jeszcze tak podniecającej kobiety. A, co to oznacza? Jak myślisz? - Jaśminowicz czekał na odpowiedź, jednakże Gołmont sączył koniak i odpowiedzi nie dał. - To ja, wypowiem głośno, co to oznacza - za ciebie. Otóż oznacza to zazdrość wieczną, udrekę nieznośną, a co najgorsze - ciągłe awantury. Zgadzasz się ze mną, prawda? Wiem, że się zgadzasz, bo myśleć potrafisz, choć... afrykańskie słońce trochę ci mózg wysuszyło. Więc, nie myśl o niej, Monti. A zwłaszcza teraz, przed ślubem. - Jaśminowicz westchnął. - Czy ty w ogóle jutro możesz jechać? Coś mi się zdaje, że powinieneś oczekiwać sekundantów, bo Teo z pewnością wyzwie cię na pojedynek.

- Zostaję w Warszawie - powiedział Gołmont.

- Ach, tak... Mogę pójść do niego i skłonić go do przełożenia pojedynku, tym bardziej że... dłuższy czas będzie się musiał kurować, wstawiać zęby... To akurat pokryje się z twoją wyprawą. Pójdę jutro rano.

- Zostaję - powtórzył Gołmont. - I przestań głądzić.

* * *

Po odejściu Jaśminowicza, Gołmont położył się na wznak, podłożył ręce pod głowę i przymknąwszy oczy, zapadł jakby w półsen. Nawet nie drzemał, ale obrazy, jakie przesuwały mu się przed oczyma, miały w sobie coś ze zjaw sennych. Właściwie, był to wciąż ten sam obraz ruchomy jak w kinie: młoda kobieta zbliżała się szybko, stukając obcasami, prawie biegła, pochylona nieznacznie do przodu, we wciętej jesionce z leciutkiej materii, która jakby oblepiała mocne, bujne ciało. Obraz nie utracił żadnego szczegółu: ani swobody ramion, ani zarysu piersi, ani gibkiej, młodej talii, ani rozkosznie rozszerzonych bioder. Potem na chwilę zniknął cień kapelusza, i twarz kobiety pojawiła się w świetle latarni.

Gołmont wiedział, że tej twarzy nigdy nie zapomni. To była ta twarz, o której śnił całe życie, nic nikomu o tym nie mówiąc, będąc przekonanym, że spotykać tę kobietę, tę twarz może tylko w marzeniach, że naprawdę jej nie ma. A teraz miał już pewność, że jest.

Ogarnęło go dziwne, bo spokojne uszczęśliwienie. Była naprawdę, była tam na ulicy. Istniała, tchnąc życiem. Tą kobietą była Zyta Nieborowska. A więc to ona. To ta kobieta na którą czekał. Wiedział, że nawet po ślubie z Hanką, czekałby na nią zawsze, bo żył marzeniem o niej także wtedy, kiedy miał żonę. „Jakie to dziwne” myślał. „Jakie to dziwne. Zyta Nieborowska. Tak niewiele brakowało, a ożeniłbym się z Olatyńską, chyba tylko

diabli wiedzą po co. A więc jesteś. Jesteś tu gdzieś, niedaleko. A jeżeli, Zyto, odtrącisz mnie, to - zginiemy oboje. W tej samej chwili. Oboje".

Wstał i sięgnął po książkę telefoniczną. Odszukał nazwisko: Nieborowski. Był to Karol Nieborowski, Nowy Świat 2. Następnie podniósł słuchawkę i polecił, by natychmiast przyniesiono mu kosz czerwonych róż.

Kiedy boy hotelowy wniósł zamówione kwiaty, Gołmont przywiązał do jednej z łodyg swój bilet wizytowy z dopiskiem: „Jaśnie Wielmożnej Pani Zycie Nieborowskiej w hołdzie, od melomana zakochanego w harfie". Potem zapłacił, dał suty napiwek i kazał zanieść kosz na wskazany adres.

Jeszcze tego wieczora rozległ się dzwonek telefonu.

- Słucham, Gołmont...

W czarnym krążku dudnił poirytowany głos:

- Dziękuję za kwiaty, w imieniu mojej żony. Mówi Nieborowski. Nie sądzi pan, panie hrabio, że kolor kwiatów jest mało taktowny?

- Czy mogę prosić, by do aparatu podeszła pani Nieborowska osobiście?

- W żadnym razie.

- To chyba zbyt kategoryczna odmowa.

- Moja żona nie ma zwyczaju rozmawiać z nieznajomymi. Pan będzie łaskaw zapamiętać.

- Oczywiście... Jaki jest u państwa dzień przyjęć? Nie miałem szczęścia poznać żony pana.

- Żona moja życzy sobie, aby pan zainteresował się

innym instrumentem. Jeżeli o mnie chodzi, zgadzam się z moją żoną: pańska wizyta sprawiłaby nam jedynie kłopot, tak więc... z całym szacunkiem dla pana hrabiego - wyrażam...

- Pańskie zdenerwowanie świadczy o tym, że ma pan coś na sumieniu. Czyżbym się mylił?

- Pan się posuwa do impertynencji - warknął Nieborowski, hamując gniew. Pozwoli pan, hrabio, że zakończę naszą rozmowę i naszą znajomość.

Gołmont uśmiechnął się, zadowolony.

- O! Byłbym zapomniał: interesują mnie również skrzypce, a to zdaje się, pana specjalność. Miałem zamiar rozmawiać na ten temat z Kropiwnickim, ale ktoś kazał go zamordować, więc liczę na to, że pan go zastąpi. A'propos, wy znaliście się, prawda?

- Co to ma znaczyć? Co pan insynuuje?

- To, że jednak spotkanie nasze dojdzie do skutku. A insynuacji tu nie ma.

- Kropiwnickiego nie znałem - warczał Nieborowski. - Pan posuwa się stanowczo za daleko.

- Za pół godziny spotkamy się u mnie w hotelu, na dole. - Gołmont mówił teraz tonem rozkazującym. - W przeciwnym razie, ja pojedę na ulicę Nowy Świat dwa i zadam ci draniu kilka pytań, wyręczając policję. Powtarzam: za pół godziny - u mnie w hotelu.

* * *

Gołmont wszedł do małego pokoju, gdzie czekał już tęgi mężczyzna z krzaczastymi brwiami. Usiadł naprzeciwko i tym razem bez wstępu, rzekł ostro:

- Nie obchodzi mnie pańska żona, a kwiaty posłałem, żeby zacząć naszą rozgrywkę.

- Więc zainteresowanie moją żoną było tylko pretekstem?

- Tylko.

- O co mnie pan oskarża?

Gołmont przeszył swego gościa zimnym spojrzeniem, w którym zamigotała nienawiść.

- O zamordowanie człowieka.

- Też coś! - Nieborowski wytrzymał spojrzenie odpowiadając równie gwałtowną nienawiścią. Siedział pochylony jakby do skoku, z zaciśniętymi pięściami. - Żeby mnie oskarżyć, trzeba mieć dowody. Gdzie one są?

- Znajdę. Znajdę opłaconego mordercę.

- Policja szuka mordercy.

- Ktoś znajdzie. Policja, czy ja, to bez znaczenia.

- A pan udowodni, że ja opłaciłem nożownika?

- Udowodnię.

Nieborowski zarechotał.

- Zobaczymy!

- Zobaczymy.

- Proszę bardzo, niech mnie pan oskarża. Na co tu czekać, skoro dowody, to tylko kwestia czasu? Oskarżenie można ogłosić na przykład w gazecie, choćby jutro. Proszę bardzo.

- Wezwałem pana - rzekł Gołmont cedząc słowa - żeby panu oświadczyć otwarcie i prosto w oczy, że nie spocznię, dopóki nie wsadzę pana do kryminału, wystąpię zaś z oskarżeniem wtedy, kiedy uznam, że nastał właściwy moment. Od dziś czynić będę starania, by dowieść pańskiej winy i tu przestrzegać będę prawa, ale prywatnie uważam pana za łotra, któremu należałoby już teraz skrócić kark.

- Mógłbym pana wyzwąć na pojedynek za taką obelgę - powiedział Nieborowski.

- W takim razie czekam na pańskich sekundantów.

- A, nie! Ja będę walczyć inaczej. Są lepsze sposoby. I też w zgodzie z pańskim założeniem. Od dziś - między nami wojna. Czas pokaże kto wygra. Chcę tylko wiedzieć, co pana do tej wojny skłoniło? Przecież ja panu w drogę nie wchodziłem. Do tej chwili.

Gołmont wstał.

- Rozmowa skończona. Won, łajdaku!

VI

Następnego dnia czytelnicy „Expressu Porannego” znaleźli intrygujący nagłówek: „Rycerski hrabia”. „Wczoraj, w jednym z renomowanych lokali stołecznych - donosił dziennik - pewien artysta wygłaszał opinie uwłaczające czci kobiety. Słyszając to, pan Gerwazy hrabia Gołmont spoliczkował gadułę, naruszając mu szczękę, wskutek czego artysta ów, zamiast do domu, trafił do

szpitala. Pan hrabia, znany podróżnik, słynie z siły fizycznej, która bardzo przydaje mu się w trudach wędrówek po afrykańskich bezdrożach. Tym razem przypomniał plotkarzom, że są jeszcze rycerscy mężczyźni, którzy za szkalowanie kobiety biją po gębie. W imieniu kobiet, składamy dżentelmenowi podziękowanie za postawę godną szlachcica i mężczyzny". W innej gazecie ktoś napisał: „Hrabia Gołmont, znany globtroter, wystąpił wczoraj w roli obrońcy honoru kobiety. Malarz Teo Faustyn, nie umiejący poskromić swego języka, utracił w rezultacie kilka zębów, co zapewne uczyni go mniej wymownym na czas dłuższy. Czy będzie pojedynek - nie wiemy, bo malarz przebywa w szpitalu, mamy jednak nadzieję, że malarz opamięta się, i na pojedynek nie wyzwie, gdyż oznaczałoby to jego śmierć".

Gołmont rzucił w kąt gazety, bardzo niezadowolony.

W tym momencie recepcja zaanonsowała przybycie miłego gościa.

Po chwili do apartamentu wszedł Kazimierz Dorniewski, jak zwykle wytworny i opanowany, nieskory do gestykulacji i głośnych rozpraw. Na twarzy miał uśmiech.

- Co to za historia? - zapytał.

Gołmont machnął ręką.

- Był przy tym Rafał. On informował prasę. Jestem pewien.

- Napisali całą prawdę?

- Tak. Na szczęście zachowane zostało w tajemnicy nazwisko kobiety.

- A, ja mogę wiedzieć?

- I tak się dowiesz, jeżeli zechcesz. Ale - nie ode mnie.

- Tak też myślałem. Poza tym - nie zechcę. - Dorniewski spojrział na przyjaciela. - Czego szukałeś w towarzystwie Faustyna? To zdolny malarz, ale człowiek bez busoli.

- Przypadkowe spotkanie.

- Przypadek rządzi światem. Przypadkowo zdarza się zawsze to, co najważniejsze. Tym razem jednak źle trafiłeś.

Gołmont zamyślił się. Potem powiedział:

- Chyba masz rację: rola przypadku jest ogromna.

- Co ty w ogóle robisz w Warszawie? Czyż nie powinieneś siedzieć teraz w Ossowcu?

- Dziś miałem wyjechać do Brazylii. Na parę tygodni. Ossowiec wyraził zgodę.

- Ach, tak.

- Słuchaj... czy ty chodzisz na koncerty symfoniczne?

- Naturalnie.

- Często?

- W Paryżu często.

- A tu, w Warszawie?

- Od czasu do czasu.

- Do Filharmonii?

- Tak. Przeważnie.

- A, co tam jest teraz w programie?

Dorniewski wydał wargi.

- Nie wiem. Filharmonicy byli na tournée w Szwajcarii. Teraz, zdaje się, przygotowują coś nowego. Dlaczego pytasz?

- Zabierzesz mnie na koncert?

- Ty chcesz iść na koncert? Przecież namawiałem cię kiedyś. O ile dobrze pamiętam, nazwałeś mnie...

- Dobrze, cofam epitety. Kogo ty tam znasz? Mam na myśli muzyków.

- Nikogo. O co ci chodzi? Może to w związku z tym tragicznym zdarzeniem?

- Nie. - Gołmont uśmiechnął się. - Właściwie, tak... - Miał przed sobą człowieka, któremu ufał, czemu więc miałby ukrywać przed nim to, co i tak nie mogło pozostać długo w ukryciu. - Nie. To co innego.

- Może się jednak zdecydujesz? - Dorniewski także uśmiechnął się. - Do czego zmierzasz?

Gołmont postanowił zapytać wprost. Za zwierzeniami wprawdzie nie przepadał, ale sytuacja wymagała tego; Dorniewski mógł ułatwić ominięcie dalszych komplikacji, ukazując drogę najkrótszą.

- Czy znasz panią Nieborowską?

- Tylko z widzenia. Gra na harfie.

- Szkoda, że tylko z widzenia...

- Zanadto jesteś tajemniczy.

- Miałem nadzieję, że możesz mnie przedstawić tej pani... że znajdziesz okazję.

- A, więc o to chodzi. Teraz rozumiem.

- Szkoda.

Dorniewski strzepnął pyłek z klapy marynarki.

- Nie żałuj.

- ?

- Chcesz żebym ci to wyjaśnił po przyjacielsku, czy oficjalnie?

- Po ludzku.

- Avec plaisir. Pani Nieborowska ma niełatwe życie, wbrew pozorom, a takie kobiety nie przynoszą szczęścia. Wciągają jak rzeczny wir. To nie jest zła kobieta, ani łatwa; ja zresztą za mało wiem, ale rozmawiałem z pewnym kompozytorem, starym człowiekiem, który zna to środowisko, a on powiedział mi bez ogródek: niech pan omija z daleka. Ta harfistka rozpała namiętności, chociaż wcale tego nie pragnie. Wyszła za mąż fatalnie, bo trafiła na obłąkanego tyrana. Teraz tego z pewnością żałuje - po niewczasie.- Jak się to wszystko skończy - trudno przewidzieć, można jednak przypuszczać, że sielanka - wykluczona. Po co masz wchodzić do tej rzeki pełnej wirów? Żyjesz na samym szczycie, z dala od intryg i awantur; jesteś panem swego losu, masz swoją piękną pasję życiową, masz zostać mężem uduchowionej, spokojnej kobiety, w tej chwili jest to czysta, niewinna dziewczyna. Pomyśl. Czy warto ryzykować? W imię czego? Biegu rzeki nie zmienisz. - Dorniewski zrobił krótką pauzę, żeby znaleźć słowa na at. - To nie w twoim stylu. A uroda kobiety, tak krótko trwa i tak mało znaczy, że... Albo jest się orłem, albo jest się wróblem. Ty

urodziłeś się orłem, więc pozostań nim.

- Czy wiesz dlaczego łażę po brazylijskich błotach? Bo muszę, bo uciekam stąd, bo szukam tego, czego nie ma w salonach na szczycie. Szukam. Sam nie wiem czego. A może wiem. Może teraz już wiem?

- Masz Hanke. Czy to mało?

- Mało.

- Chwilowo. Ona ma duszę.

- Żyjesz w wieży z kości słoniowej, wśród swoich obrazów i bibelotów z serwskiej porcelany, i jest ci dobrze. Otacza cię cisza i poezja, a ty, jak przystało na estetę, zrywasz z życia chwile czystego piękna, jak rzadkie kwiaty w oranżerii. To cię upaja i oszalałmia. Dlatego wydaje ci się, że dotykasz szczęścia. Non plus ultra. A to jest tylko kwestia gustu. Gdybym cię zaprowadził do portowej spelunki w Casablance, umarłbyś natychmiast na sam widok nagiego życia, a po śmierci zdziwiłbyś się, że ja tam spokojnie siedzę, słuchając dziwnej muzyki, która nie przypomina nawet Beethovena, piję rum i pozwalam jakiejś kobiecie, zagubionej i zabłąkanej na bezdrożach świata, opowiedzieć historię jej nieudanego życia. A tam właśnie nie nudzę się.

- Rozumiem cię - ty nie kochasz Hanki.

- Nie, do wszystkich rogatych diabłów!

- Ach, tak...

- Tak.

- Ale ożenisz się z nią?

- Nie.
- Ach, tak... Jak z tego wybrniesz, rycerzu?
- Nie jestem rycerzem.
- Kim więc jesteś?
- Takim właśnie zabłąkanym typem na bezdrożach świata.

- Dziwny z ciebie człowiek, Monti. Jakie jest twoje prawdziwe imię?

- Bene natus - włóczęga.

- Dokąd idziesz?

- Przed siebie.

- A ideały? A społeczeństwo? A rodzina?

- Znam tylko jeden imperatyw kategoryczny - rzekł Gołmont nagle zamyślony. - Chwycić broń i bić się o całość granic, kiedy zajdzie potrzeba. Tylko to.

- A więc: Bóg, honor i ojczyzna?

- Tylko to.

Dorniewski wydał wargi, unosząc jednocześnie brwi.

- Co powiesz Olatyńskim?

- Ja nic nie powiem. - Gołmont spojrzał na przyjaciela wymownie. - Ty im wszystko wyjaśnisz.

- Litości.

- Tak będzie najlepiej.

- Oni mnie tam otrują.

- Nie przejmuj się. Zostaniesz pomszczony, a pogrzeb wyprawię ci okazały. Jeśli chcesz, każę cię zabalsamować.

- Jesteś zdecydowany?

- Tak.

Zaległa cisza. Potem zeszli na dół i usiedli w restauracji. Sala była niemal pusta. Tylko parę osób spożywało obiad. Słońce wchodziło do wnętrza: panowała miła, ciepła atmosfera.

Przy obiedzie, Dorniewski długo obserwował przyjaciela, a wreszcie rzekł w filozoficznej zadumie:

- Odnoszę wrażenie, że nie możesz znaleźć swego miejsca w życiu. Ogarnęło cię zniechęcenie, które jest złym doradcą. Najlepszy dowód; byłeś o krok od małżeństwa z Olatyńską, co pociągnęłoby za sobą fatalne następstwa. Ale wycofanie się także niczego jeszcze nie rozwiązuje. Pomijając już skandal, idziesz donikąd.

- Gdybyś zobaczył świat, zrozumiałbyś, że jest wiele ciekawych dróg.

- Bywam w świecie. Znam świat.

- Znasz jedynie kawiarnie i salony. To nic nie znaczy. Prawdziwy świat ma inną twarz.

- Świat bez obrazów, bez greckiej rzeźby i włoskiej architektury mało mnie obchodzi. Wulgarne targowisko życia, wrzący garnek namiętności budzi we mnie jedynie wstręt. Zajmij się folklorem, sztuką ludów prymitywnych, skoro już musisz łązić po afrykańskim buszu i amerykańskim błocie. Tylko sztuka da ci zadowolenie i cel w życiu. Są to wartości trwałe, wieczne, a przy tym - czyste i szlachetne. Ominą cię rozczarowania, fałsz świata, jego brud oblepiający na każdym kroku. A salon i paryska kawiarnia to odpoczynek, przyjemnie spędzony

czas, dobre maniery, ucieczka od chamstwa. Co masz przeciwko temu?

- Od czasu do czasu - tak, jednakże a la lonque, to nuda, jałowa konwersacja i płaskie plotki. Zaduch.

- Przesadzasz. Roznosi cię fizyczna energia, a to odciąga od wartości duchowych. Tylko szympanś wiecznie skacze i walczy. Musisz poskromić w sobie szympanśa. Pokłoń się Apollinowi. W przeciwnym razie coraz częściej wybijać będziesz zęby swoim oponentom. Czyż nie piękniej jest odwrócić się od łobuza ze wzdrganiem, okazując swoją wyższość?

- Upodabniasz się do zimnego posagu. Ostygną twoje uczucia. Trzeba żyć. Kontemplacja skamieniałego piękna zaprowadzi cię do krainy bezruchu i chłodu. Tam nie ma życia, tam jest tylko trwanie. Bezruch, to śmierć. Czy o to ci chodzi? A kobieta?

- Kobieta? Po co? Kobieta, to najczęściej zwierzęcy żar ciała, nie mający nic wspólnego z czystym pięknem.

- Ty umierasz! Jak można żyć bez kobiety?

- Prawdziwie. Czysto.

- Czysto?

- Kobieta ma mózg po to, żeby wypełnić czaszkę. Myśli pochwa. Wszystko sprowadza do... Ach! Czyż mam ci to tłumaczyć? Mówiłem już nie raz, że przeciętna kobieta, to tylko cuchnące sromem łóżko, w którym tarzasz się z nią, pocisz i oblepiasz jej śliną i jej szlamem. Owszem, bywają kobiety wyjątkowe, ale one nie ciągną do wyrka, żeby się nasycić spermą. Przeciętna -

powtarzam - kobieta dąży tylko do jednego: żeby wchłonąć twego członka, to znaczy kawał mięsa, żeby się ordynarnie zlać, doznając fizycznej, niskiej rozkoszy. Kiedy zabraknie mężczyzny, onanizuje się świeczką. Dyszy wstrętne i pławi się we własnym sosie. Obrzydliwe. Wolę obrazy i posagi.

- Tak szczerze jak dziś, rozmawialiśmy ostatnio chyba z rok temu - powiedział Gołmont, odstawiając ostrożnie kieliszek. - Już wtedy oderwany byłeś od życia, ale teraz odszedłeś znacznie dalej. Widzę, że w tym czasie zdążyłeś podciąć własne korzenie.

- Ja? - zdziwił się Domiewski.

- Oczywiście. Kochasz obrazy, greckie posagi, a zapominasz o tym, że sztuka żywi się właśnie kobietą. To kobieta jest treścią sztuki, poezji, a nawet muzyki.

- Uproszczenie.

Gołmont zapalił papierosa. Był pogodny i spokojny.

- Skąd w tobie ta awersja? Ty po prostu brzydzisz się kobietą. A przecież urodziła cię kobieta.

- Ach, posługujesz się znanym sofizmatem.

- Żyj sobie w celibacie, tylko dlaczego przestałeś rozumieć sens życia?

- Masz na myśli kobietę?

- Tak.

- Kobieta to, zdaniem twoim, sens życia?

- Chodzi mi o co innego. Dla mnie kobieta jest dopełnieniem mężczyzny. Życ z kobietą, to znaczy po prostu w pełni żyć. A to, co ciebie tak mierzi, mnie

właśnie dopełnia. To smak istnienia. Ciało kobiety jest piękne, a to, co daje mi jej ciało, napełnia mnie szczęściem. Kwestionując prawa natury, podcinasz korzenie. Nie obawiasz się zboczenia?

- Chroni mnie umiłowanie piękna. Prawdziwego.

- Miłość, to piękno. Zmysły, to też piękno.

- Nonsens. Chuć jest przeciwieństwem piękna.

- Jesteś drzewem bez owoców. Usychasz. Lubię folklor, ale pragnę tylko kobiety. Właśnie w łóżku. Tym razem mam na myśli kobietę, którą udało mi się zobaczyć na ulicy. I albo ją zdobędę, albo przepadnę.

- Wiem, o kim mówisz. Ale uważaj, ona cię zgubi. Ostrzegam.

- Femme fatale?

Dorniewski wykonał nieokreślony gest.

* * *

Gołmont pożegnał się z przyjacielem i wrócił do swego apartamentu. Podniósł słuchawkę telefoniczną i nakręcił numer Filharmonii. Odezwał się męski, basowy głos:

- Słucham.

- Hrabia Gołmont. Chcę mówić z panią Nieborowską.

- Kończy się próba, nie wiem zresztą czy jest.

- Biegnij pan szybko i dowiedz się.

- Ale...

- Bez gadania, jeśli chcesz nadal pracować.

- Tak jest panie hrabio... Już idę. - Po paru minutach znów zabrzmiał głos w słuchawce, wyraźnie zdyszany: - Pani Nieborowską zaraz podejdzie. Proszę o cierpliwość.

Gołmont czekał. Widocznie próba jeszcze trwała. Bas poszedł pewnie do samego dyrygenta, tak się przeraził. „Szumu narobił niepotrzebnie” pomyślał Gołmont z uśmiechem na twarzy. „A może to i lepiej? Tylko, co ona powie? Gorzej będzie, jeżeli nie zechce rozmawiać”.

Minęło sporo czasu.

- Nieborowską - nadleciał wreszcie niski głos, zdradzający brak zainteresowania. Tak odezwała się kobieta, o której myślał od wczoraj bez przerwy. - Czego pan chce?

- Moje nazwisko - Gołmont.

- Wiem. Przerażony człowiek prosił dyrygenta., żebym podeszła do telefonu, bo hrabia może go zwolnić. No więc?

- Dyrygenta też mogę zwolnić. I zrobię to, jeżeli nie zmieni pani tonu.

- O co panu chodzi? - spytała Nieborowską ciszej i łagodniej.

- Los całej orkiestry zależy od pani odpowiedzi, więc proszę się dobrze zastanowić, nim ta odpowiedź padnie. Chcę, żeby pani uczyła muzyki mego syna. Lat siedem, podobno muzykalny, mieszka w Warszawie: szofer będzie go przywozić do pani mieszkania w ustalone dni. Towarzyszyć mu będzie bona.

- Nie udzielam lekcji. Już od dawna.

- A więc podpisuje pani wyrok na orkiestrę?

Nieborowską westchnęła głośno.

- To chyba zły sen. Jak pan może?

- Mogę. Czekam na panią w restauracji Goldsteina w pobliżu Filharmonii. Proszę przyjść po próbie i bez asysty. Przypominam: dobroć i uczucia litości są mi obce, ale słowa dotrzymuję.

- Dobrze, przyjdę - powiedziała z źle ukrywaną nienawiścią.

* * *

We wnętrzu restauracji panował półmrok. Paliły się tylko kinkiety i świece na stolikach. Był to niewielki, ale elegancki lokal słynący z doskonałych dań i wysokich cen. Okrągłe stoliki nakryte były zawsze śnieżnobiałymi obrusami, a kelnerzy kłaniali się w pas i poruszali się bezszelestnie.

Gołmont zajął miejsce w głębi sali, gdzie między lustrami stała rozłożysta palma. Na razie niczego nie zamówił. Sięgnął po papierosa i zamyślony obserwował płomień świecy. „Jest wściekła. No cóż, postarałem się o to z najlepszym skutkiem. Ciekawe, czy wie już o przygodzie Faustyna? Kwiatów z pewnością nie otrzymała, bo zacny małżonek do tego nie dopuścił. Chyba w ogóle nic jej o mnie nie powiedział. Po co ja się w to pakuję? Hm... hm... Pytanie? Tyle lat musiało minąć. Przypadek, czy tak miało być? Dziwny początek. A jeżeli

przeholowałem? Co mnie podkusiło? To zwykły szantaż. Ja i - szantaż. Hm... Dorniewski jest mente captus, ale ja także na pochwałę nie zasługuję. To pewne. Zyta. Zytamarzenie. Przeznaczenie. Zyta. Orkiestra. Cholerna orkiestra. Do wszystkich diabłów - będę musiał chodzić na te sakramenckie symfonie. Zemsta losu za moje bezideowe istnienie. Jak ja to wytrzymam?"

Minął kwadrans, pół godziny, a ona wciąż nie pojawiała się w szerokich drzwiach. „Nie przyjdzie”, myślał. „Postanowiła zaryzykować. Może liczy na to, że moje pogrożki są bez pokrycia w możliwościach. Może naradziła się z tym jakimś zafajdanym dyrygentem i doszli do wniosku, że mają wystarczające oparcie w ludziach, którzy roztaczają opiekę nad Filharmonią, że mam za mało siły. Może w tej chwili bawią się moim kosztem, podkpiwając sobie z durnego bufona”.

Gołmont obrzucił wzrokiem salę. Przybyło trochę gości. Na podium dla orkiestry usadowił się bębniista, a obok stanął skrzypek i chudzielec brodacz z harmonią ręczną. Barczysty chłopak zwijał dywan, odsłaniając parkiet do tańca.

Nagle w drzwiach pojawiła się Nieborowska. Była w wierzchnim okryciu. Twarz jej tonęła w mroku. Najwyraźniej szukała kogoś.

Gołmont podszedł do niej, czując że pobladł. Jego wysoka, barczysta postać zaskoczyła ją. Prawdopodobnie spodziewała się zastać grubego łysonia z bezczelną gębą.

- Witam panią - powiedział i wskazał jej zajęty przez

siebie stolik.

Oddała mu swoją leciuchną jesionkę, którą zaniósł do szatni. Kiedy wrócił, siedziała już spokojna i obca.

- Pozwoli pani? - zapytał.

Skinęła głową w milczeniu, więc usiadł i przywołał kelnera.

- Dziękuję - powiedziała. - Ja tylko na moment.

Gołmont odesłał kelnera, dając mu suty napiwek: - Zamówimy coś później - rzekł, po czym zwrócił się do Nieborowskiej: - Myślałem już, że pani nie przyjdzie.

Podniosła na niego oczy, i w tym momencie zakreśliło mu się w głowie. Siedziała przed nim kobieta - czarny płomień. Z jej jakby smutnej twarzy szło ku niemu coś, czego nie mógł pojąć, coś co ogarniało duszę i ciało jak gwałtowny, wprost szalejący pożar. Czarny płomień w obcisłej, białej sukni.

Poczuł, że ma suche wargi i nie jest w stanie wymówić słowa. Odruchowo zapalił papierosa, spojrzawszy w sufit, jak gdyby szukał ratunku. On, Gołmont.

- Nie jestem dobrą nauczycielką - powiedziała trzeźwiącym głosem.

Zapanował nad sobą.

- Tak... To znaczy, pani wie najlepiej.

Coś jakby uśmiech przemknął po jej twarzy, ale tak nikły, że można go było raczej wyczuć.

- Polecę panu kogoś lepszego.

- Wykluczone - zaproponował Gołmont nagle przytomniejąc.

- Czy pana syn uczy się muzyki?

- Tak. To jest... Nie.

Nieborowska spojrzała na zegarek.

- Dlaczego pan mnie szantażuje? Co zawiniła orkiestra?

Gołmont bezwiednie wzruszył ramionami.

- Orkiestra? Ja... musiałem coś powiedzieć. Akurat to przyszło mi do głowy.

- Mam mało czasu. I, w ogóle, trudno mi zgadnąć o co panu chodzi.

Gołmont zrozumiał, że Zyta mu ucieka.

- Proszę zostać. Pani nie może tak teraz odejść. Wczoraj posłałem pani kwiaty.

- Do Filharmonii?

- Do domu.

- Dziękuję. Więc, pana syn...

- Chwilowo przebywa poza Warszawą.

- A szkoła? - Nieborowska przyjrzała się Gołmontowi uważnie. - Jest chory?

- Nie. Jest teraz u mnie w majątku. To znaczy - w domu. Chwilowo...

- Jak ma na imię pana syn?

- Yyy... Ma bardzo oryginalne imię. To szalenie miły chłopiec. Bardzo muzykalny...

- Wrócimy do tej rozmowy. - Nieborowska znów spojrzała na zegarek. - Mój mąż...

- Ja panią proszę. Bardzo mi zależy na muzycznym wykształceniu mego syna.

Nieborowska wyjęła papierosa z leżącej na stoliku papierošnicy. Gołmont podsunął jej płonąą zapalkę.

- Panie hrabio - powiedziała zaciągnąwszy się dymem
- pan nie ma syna.

- Ja?

- Tak, pan. Po co ta komedia?

Gołmont odzyskał spokój. Już nie potrzebował kłamać. Popatrzył na nią i rzekł cicho:

- Przepraszam. Wczoraj szliśmy do „Adrii” z Jaśminowiczem i Faustynem. Pani nas mijala, a Faustyn...

- Ach, tak...

- Zobaczyłem panią po raz pierwszy w życiu. Posłałem pani kwiaty i natychmiast zatelefonował do mnie mąż. To było krótkie spotkanie... Ja musiałem dzisiaj panią zobaczyć.

- Musiałem..?

- Tak.

- Mój mąż...

- Mąż! - Nagle Gołmont ušwiadomił sobie, że gra orkiestra. Na parkiecie kręciły się pary w rytmie tanga.

- Mąż!

- Cest la vie.

- Zje pani ze mną kolację?

Nieborowska przykneła na chwilę oczy.

- Tak - powiedziała z determinacją.

* * *

Jedząc milczeli dość długo. Gołmont chciał zapytać, ale zrezygnował. Później, jednak musiał:

- Ten malarz... Czy pani zna go od dawna?

- Od dawna.

- Rozumiem...

Nieborowska poruszyła się, jakby ją to słowo dotknęło. Przesunęła palcem kieliszek, ostrożnie, żeby nie wylać wina.

- Wątpię - powiedziała. - Pan go nie lubi.

- Nie lubię.

- Ja też.

Gołmont obrzucił ją śmiałym spojrzeniem.

- To dobrze.

Wciąż bawiła się kieliszkiem.

- Czy to pan jest tym podróżnikiem, o którym piszą w gazetach, że chce mocno żyć?

Twarz Gołmonta pojaśniała, jakby padł na nią refleks dawnych przeżyć tam, daleko. Ale trwało to krótko; skupienie powróciło, żeby bez reszty być tu.

- Po prostu, samotność nie pozwala mi usiedzieć na miejscu. Tak, to ja. Podróżnik, to za wielkie słowo. Włóczyłem się trochę po świecie. Po zakamarkach świata.

- Szukał pan czegoś? - Nieborowska siedziała zamyślona, ale w dziwny sposób obecna.

- Kiedy otacza nas pustka, zawsze czegoś szukamy. Przeważnie nie tam gdzie trzeba. Jak somnabulicy.

- Czegoś?

- Tak. Nie mając kogoś, szukamy czegoś. Wieczna

pogoń, wieczna nadzieja. Pani ma męża i swoją muzykę, ja - nie mam nic. Tylko - pustkę.

- Męża - powtórzyła z goryczą. - Pan ma więcej niż ja. A muzyka... to tylko ucieczka w krainę ułudy. Bez powodzenia.

- Zatańczymy?

- Potrzebuje pan wejścia w ten rytm, żeby zagłuszyć coś?

- To zupełnie co innego. Prośba i pragnienie. Wstała.

- Chodźmy.

Weszli na parkiet. Gołmont uczuł dreszcz, obejmując ją. Zrobił to delikatnie, ale przyciągnął ją ku sobie, wykorzystując prawo tanga. Ich ręce złączyły się, a kiedy przycisnął lekko jej szczupłą kibić, przywarł do jej piersi i wtargnął udem między jej uda. Były masywne, wpuściły go aż do brzucha. Miała szerokie biodra upodabniające ją do amfory, biodra kobiety stworzonej dla mężczyzny, biodra tęskniące. Czuł jej oddech, czuł jej włosy. Ogarnęło go gwałtowne podniecenie; pragnął jej, wiedział, że jeżeli jej nie posiadzie, trawić go będzie gorączka. Miał świadomość, że poczuła już mocny napór jego członka. Dość brutalny płciowy atak sprawił mu tak wielką przyjemność, że nie był w stanie odmówić sobie tego, chociaż wiedział, że ryzykuje. Ale udawał, że nic się nie stało, że jest to normalny dotyk ciała kontaktującego się z nią w tangu, które z natury swej usprawiedliwia zbliżenie.

Nieborowska przyjęła to zbliżenie, a nawet wychodząc

mu na przeciw, przywarła do Gołmonta i było w tym coś jak oddanie i przyzwolenie na inicjatywę mężczyzny. Nie ukrywała, że jest jej dobrze z nim. Właśnie z nim.

- Czy pani przebaczy mi ten mój telefoniczny podstęp?
- zapytał, dotykając ustami jej włosów. Wymawiał słowa szeptem i tak delikatnie jak tylko umiał. - Musiałem panią poznać, spotkać się z panią zaraz, natychmiast. Dziś miałem jechać do Brazylii. Wszystko zostało przygotowane, bilet w kieszeni. Ale wczoraj zobaczyłem panią. Jak niewiele brakowało, a wyruszylibym na kolejną wyprawę, znów omijając to, co najważniejsze.

Kiedy wrócili do stolika, Nieborowska była zarumieniona i oddychała szybko, a jednocześnie ostrożnie, ukrywając to, co ich połączyło.

- Kiedy pan wyjedzie? - W jej głosie zabrzmiała nutka przekory.

- Na żart odpowiem żartem: jutro, jeżeli pojedzie pani ze mną. - Po krótkiej chwili Gołmont dodał z uśmiechem: A właściwie, co stoi na przeszkodzie?

- Chociażby mój mąż.

- Mąż pani powinien trzymać się z daleka. Dla mnie ważne jest tylko to, co pani myśli.

- Pan go jeszcze nie zna. - Nieborowska znów spojrzała na zegarek i w jej oczach pojawił się lęk. - Muszę już wracać do domu. Trudno mi będzie wytłumaczyć takie spóźnienie.

- Zaraz złapiemy taksówkę. - Gołmont podniósł do ust jej palce. - Dziękuję za ten wieczór. - Zrozumiał, że dłużej

z nim zostać nie może i że teraz musi ją pożegnać, więc trzymając wciąż jej piękną rękę, dodał szybko: - Muszę panią jutro zobaczyć. Gdzie i o której?

Uśmiechnęła się.

- A jeżeli nie przyjdę?

- To ja przyjdę do Filharmonii.

- Proszę tego nie robić. Niech mi pan obieca.

- Więc gdzie i o której?

- Radzę panu zrezygnować. Niech pan się strzeże mego męża.

- Gdzie mam czekać?

Nieborowska popatrzyła na Gołmonta swoimi ogromnymi oczami, w których dawno już zgasła niechęć.

- Od dwunastej do trzeciej mam próbę.

- O trzeciej podjadę dużym, czarnym Fordem.

- Nie. O trzeciej może już czekać mój mąż. Wyjdę o pół do trzeciej.

* * *

Odwiózł ją pod sam dom, a potem pieszo wrócił do hotelu. Położył się w ubraniu na kanapie i leżał tak długo, rozmyślając. Nawet nie próbował sobie wmawiać, że chce się z nią tylko przespać, że jest mu obojętny jej związek z innym mężczyzną, a przeczuwał taką możliwość. Wierność mężowi można było z góry wykluczyć; należała do kobiet łatwo nawiązujących znajomości, zepsutych powodzeniem i chyba uległych.

Gołmont czuł to cały czas, ale teraz uświadomił sobie tę rzeczywistość z całą mocą i nagle odczuł bardzo boleśnie. Oczyma wyobraźni zobaczył ją z innym. Jeszcze wczoraj mógł się z tym pogodzić, dziś - już nie. Jeszcze wczoraj była kobietą, z którą chciał się spotkać, teraz przeistoczyła się w istotę upragnioną i na samą myśl, że prawdopodobnie jest jeszcze ktoś, rozgorzał w nim gwałtowny bunt. Mąż - rzecz naturalna, ale kochanek - przenigdy.

Wstał i zaczął chodzić po pokoju tam i z powrotem. W tej chwili znikło już pragnienie, by mieć ją natychmiast, jeszcze dziś; gotów był czekać, ale na nią należąca tylko do niego.

Nalał sobie koniaku i zapalił papierosa, zaciągając się łapczywie. „A może nie jest łatwą kobietą?” myślał. „Może właśnie jest odwrotnie? Może tylko ja wyzwalam w niej namiętność? Mężczyźni - tak, ale ona może być inna. Często tak bywa, że wampa z wyglądu wszyscy posadzają, a ona... Kogoś mogła mieć, oczywiście... Skąd mogła wiedzieć, że ja się pojawię? Skąd? A teraz, kiedy już jestem przy niej... Do wszystkich diabłów!”

Gołmont wypił koniak. Poszedł do łazienki, wziął kąpiel, a potem, już przykryty kołdrą usiłował zasnąć, żeby prędzej nastąpiło jutro. Nie przyszedł jednak sen. W ciemnej sypialni cały czas była Nieborowska. Niewidzialna, ale była. Jej oczy płonęły, jej ciało dotykało go, jej niski głos wibrował w ciszy, „To dopiero będzie wyprawa” myślał. „W nieznane. Żegnaj spokoju. Żegnaj

Brazylio, żegnaj Afryko. Teraz nie pojedę za nic. Teraz... A kiedy pojedę? I do czego to prowadzi? Nigdy nie zaznam przy niej spokoju. Chyba, że ją zabiorę z Warszawy i będę mieć przy sobie. Ale jak długo to wytrzyma? Przyzwyczajona do ludzi, do hołdów mężczyzn, do ruchu i gwaru. Jak długo? Ktoś musi ustąpić: albo ona, albo ja. Będę musiał przyjąć jej zwyczaje, jej upodobania. I będę musiał zaakceptować ludzi, których zna, z którymi się przyjaźni. Będę musiał zburzyć cały mój styl życia. A czy w zamian za to, ona dochowa mi wierności? Czy potrafi odtrącić każdego, kto podejdzie z komplementami, z potokiem pięknych słów, ze spojrzeniem wyrażającym miłość, pożądanie? A jeżeli trafi się mężczyzna w jej guście? Co wtedy? Jeżeli będzie wytrwały, czuły i romantyczny? A mąż? Ten włochaty dureń? Czy potrafię ich rozwieść? Nawet gdybym tego dokonał, dzięki moim... A! Zanim to nastąpi, ten goryl będzie ją... Do wszystkich diabłów!"

Gołmont wyskoczył z łóżka i zaczął biegać tam i z powrotem po sypialni. Nalał sobie kieliszek koniaku, połknął zawartość i zapalił kolejnego papierosa. „Dziś jeszcze mogę się wycofać” myślał. „Jutro... być może nie będę w stanie. Spotkam się z nią, przywiozę ją tu. A potem ją zerznę. Zerznę! I już nie będę w stanie odejść. I będę się już tylko kręcić na tej wielkiej karuzeli. Wokół niej. I prawdopodobnie zostanę jej broszką, kotylionem. Aż pewnego dnia powie mi ze złością: nie męcz mnie, nie zanudzaj i w ogóle daj mi spokój. Pewnie tak samo było z

mężem, którego teraz zdradza i nie znosi. Bo to jest samica potrzebująca coraz to nowych samców. Tak, tak właśnie jest. To ten typ. Kawał baby z wiecznie zieżącą pochwą, z rozwartymi wargami, które robią się mokre na widok byka. W tej chwili tym bykiem jestem ja, a za tydzień może ją oczaruje inny byk, który jej zajrzy w oczy i powie: carissima, ja wędnę bez pani. A potem w tańcu, tak jak ja dzisiaj, wepchnie jej swojego palanta między nogi i usłyszy: «O pół do trzeciej, bo później czeka mąż, nie mówiąc już o tym, no, Gołmoncie». Co wtedy zrobię? Zabiję ją? Nie, nie będę w stanie. Oszalały, będę wyć pod jej drzwiami jak pies. Będę chodzić za nią, będę ją śledzić, będę spadać coraz niżej, aż upokorzony, złamany strzelę sobie w łeb".

Gołmont wziął do ręki mały oksydowany pistolet. Był to Mauser kalibru 6,35. Mieścił się doskonale w kieszeni spodni albo marynarki nie obciążając jej zbyt. Czarny otwór lufy wyglądał niewinnie, ale oznaczał koniec. „O, nie" myśli Gołmonta biegły szybko. „Tak być nie może, do tego nie może dojść. Uciekaj bracie od tej damy póki to jest jeszcze możliwe. Póki jesteś sobą. Teraz będzie ciężko, potem - za późno. Uciekaj. Papier. Napiszę do Rafała i do Kazika".

„Drogi Rafałku! Jestem jeszcze w Warszawie, ale kiedy będziesz czytać ten list, wsiałę do pociągu i pojedę do Paryża, a stamtąd dalej. Wyjeżdżam na długo. Może nawet na rok. Od czasu do czasu wpadnij do Dębogóry, a najlepiej posiedź tam i napisz w spokoju następną książkę.

Konstanty Łaza to dobry rządca, więc da sobie radę jak zawsze, ale różniej, mu będzie, kiedy znajdzie u ciebie odpowiedź na każde pytanie. Napiszę z podróży i jeżeli założę gdzieś bazę, to będziecie mogli do mnie pisać. Temu malarzowi powiedz, że po powrocie dam mu satysfakcję, jeżeli zażąda, ale najpierw niech się nauczy szermierki i niech dużo strzela, bo żartować z nim nie myślę. Daj teraz list Kazikowi Dorniewskiemu. Drogi Kaziu! Wyjeżdżam na długo do Ameryki Południowej. Dam znać w odpowiednim czasie. Jedź do Olatyńskich i wytłumacz Hance, że zrywam z nią dla jej dobra. Nie nadaję się na męża, byłbym przeto złym dopełnieniem jej osobowości. Przykro mi, że nie mogę do niej nawet napisać, ale cóż bym jej mógł powiedzieć? Jest młoda, więc szybko o mnie zapomni, co oby się stało jak najprędzej. Wpadaj też do mojej Dębogóry, jeżeli nie pojedziesz do swego Paryża. Ściskam Was, Monti".

Gołmont zaadresował kopertę i zadzwonił na boya, a kiedy ten przyszedł, wręczył mu list i znaczący napiwek.

- Zaniesiesz to jutro osobiście.

Drugi list napisał do Nieborowskiej.

„Szanowna Pani! Proszę mi wybaczyć: nie przyjdę, wyjeżdżam na długo, za granicę i pewnie się więcej nie spotkamy. Kłamać nie lubię, powiem więc wprost: uciekam, ponieważ boję się pani. Dziś tylko pragnę pani, ale jutro nadeszłaby miłość, a wtedy byłbym zgubiony, bo jako prosty człowiek, nie byłbym w stanie dorównać artystom konkurentom; nie znam się na muzyce, orkiestra

symfoniczna mnie męczy, więc na koncerty nie chodzę. Mój świat jest inny; włóczęga po bezdrożach Ameryki Południowej, dokąd jadę, daje mi to, czego z kolei Pani przyjąć nie zechce, przyzwyczajona do wygód, życia towarzyskiego i atmosfery Warszawy. Słowem, lepiej znajomości naszej nie przedłużać. Nie spotkałem i zapewne nigdy już nie spotkam drugiej kobiety tak pięknej i tak fascynującej, zatem przyznaję: uciekam wbrew sobie. Jako człowiek znacznie starszy, kieruję się, po prostu, rozsądkiem, Żegnam, Gołmont".

Ten list, zaadresowany do Filharmonii, wrzucony został następnego dnia do skrzynki pocztowej.

VII

24 października, w dniu swoich imienin, Rafał Jaśminowicz urządzał zawsze wielkie przyjęcie. W jego dużym mieszkaniu na Marszałkowskiej gromadzili się przyjaciele i znajomi, a miał ich wielu, bowiem jego pogodne, łatwe usposobienie zjednywało mu ludzi. Poza tym, stoły uginały się od jedzenia, a jak wiadomo wszystkim wtedy dopisuje humor i czas upływa przyjemnie.

Tak też było i tym razem. Na krótko albo na dłużej, goście przychodzili już od południa.

Jaśminowicz wyświeżony i uśmiechnięty, wbity w smoking, sypał dowcipami, śmiał się, bawił przybyłych, a i sam cieszył się życiem. Atmosfera była cudowna, damy

świeciły dekoltami, panowie prawili im komplementy.

Dorniewski siedział zamyślony, na uboczu, pod oleandrem. Solenizant przysiadł się do niego na moment.

- Cóż ty tak przeżywasz? - zapytał. - Czyżbyś zamierzył stać się normalnym człowiekiem?

- Nie dokuczaj mi, bo ja i tak mam wyrzuty sumienia.

- O! To coś nowego. Co cię gnębi?

- Gdybym nie ja, byłby tu dziś między nami Gołmont. Nagadałem mu, nawybrzydzałem, więc zrezygnował ze spotkania z kobietą, którą sobie upatrzył, i czmychnął do Ameryki.

- Jesteś w błędzie. Czmychnął, ale do Afryki. Wczoraj otrzymałem kartę z życzeniami wysłaną z Marsylii. Odpłynął frachtowcem „Espoir” do Abidjan'u. Już dawno tam jest.

- Gdzie, bo z geografii zawsze miałem trójkę?

- Wybrzeże Kości Słoniowej.

- Mon Dieu! Toż tam go ugotują i zjedzą.

- Da sobie radę. - Jaśminowicz popijał wino i uśmiechał się. - O jakiej ty kobiecie mówisz? Czy może o pani Nieborowskiej?

- Zgadłeś.

- No, nie pochlebiaj sobie; od niej nie potrafiłbyś go odciągnąć, nawet gdybyś zapuścił brodę a ogolił czuprynę. Dowiedziała się od Tea że jestem przyjacielem Gołmonta i spotkaliśmy się w cukierni Lardellego.

- Co ty mówisz? Czego chciała?

- Była z nim na kolacji, a następnego dnia wyjechał.

- Nie może być? - Dorniewski otworzył szeroko oczy ze zdziwienia.

- Napisał do niej kretyński list oświadczając, że się jej boi, że z muzyką symfoniczną jest na bakier i wątpi, by jej świat stał się jego światem, a także vice versa. Woli pójść tam, gdzie nie dozna rozczarowań.

- Ma rację, zwłaszcza, że jej świat, to tacy ludzie jak ów Teo. Wiedząc, co ten malarzyna nagadał na nią, poszła jednak do niego. Sam to powiedziałaś przed chwilą. Wart Pac pałaca, a pałac Paca. Ta pani nosi swoją godność kobiecą na kapeluszu razem z kokardą, ale... w sypialni kapelusz się zdejmuje i odkłada na bok.

- Surowo ją osądzasz - powiedział Jaśminowicz.

- Surowo? Czy wyobrażasz sobie, że poszła do fagasa Teo na wspólne czytanie Biblii?

- Ona nie poszła do niego, tylko spytała telefonicznie. Dorniewski machnął ręką.

- Być może jestem trochę uprzedzony do kobiet w ogóle, myślę jednak, że pani N zasłużyła sobie na moją opinię o niej. Po co spotkała się z tobą?

- Prosiła o adres Montiego.

- Dałeś jej?

- Przecież nie mam.

- To dobrze.

- Ale dam jej, kiedy będę mieć.

- To źle. Powinna pamiętać, że jest mężatką.

- Głupstwa mówisz. Jej mąż, to tyran. Bił ją. Dowiedziawszy się, że była z Montim na kolacji,

posiniaczył ją. Trzy dni nie mogła się pokazać ludziom; Bił ją, a nawet zgwałcił.

- Mąż żonę?

Jaśminowicz zmarszczył brwi.

- Ona jest bardzo nieszczęśliwa. Czuje wstręt do męża. Podejrzewam, że to zmierza do smutnego finału. Wiesz, że pojechałem do Olatyńskich, tak jak prosiłeś. Powiedziałem, że Monti zwraca wolność Hance. Wiesz co było potem? Matka Hanki złożyła wizytę Nieborowski i oskarżyła panią Zytę o romans z narzeczonym córki. Zrobiła to w obecności jej zacnego małżonka. Możesz sobie wyobrazić, co potem nastąpiło. Olatyńska krzyczała jak przekupka zapowiadając zemstę, a Nieborowski, szalejąc jak rozjuszony buhaj zapewnił ją, że zniszczy Gołmonta nie przebierając w środkach. Jest człowiekiem bardzo groźnym, więc Monti będzie w opałach, kiedy wróci do kraju. Pani Zyta na próżno przekonywała ich, że oskarżenia są bezpodstawne. Tamci dwoje płoną nienawiścią i kto wie, czy nie zaczną planować razem zemsty. Pani Zyta pragnie ostrzec Montiego. Chciała napisać i prosi, bym ja to zrobił, kiedy już będzie adres. Jej mi szkoda, bo Monti poradzi sobie.

- A ten malarz zażąda satysfakcji?

Jaśminowicz wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia, bo podtrzymywanie tej znajomości uważam za zbyteczne, ale wątpię, by na to poszedł. Monti zrobiłby z niego kotlet.

Reszta wieczoru upłynęła przy stole. Kolacja

przeciagnęła się do późnych godzin nocnych. Panował gwar i ogólna wesołość. Strzelały korki od szampana, tańczono przy muzyce, bo Jaśminowicz sprowadził trzyosobową orkiestrę.

* * *

Dorniewski wrócił do domu zupełnie trzeźwy. Kazał przygotować kąpiel i zaraz poszedł spać, nastawiając budzik na ósmą rano.

Wstał z trudem, ale o jedenastej był już przed Filharmonią.

Nieborowska zauważyła, że ktoś na nią czeka. Przystanęła, zęby zapamiętać wygląd i powiadomić policję. Przypuszczała, że to wynajęty przez męża detektyw.

- Dzień dobry - powiedział Dorniewski, uchylając kapelusza i podchodząc bliżej. - Znam panią z widzenia. Nazywam się...

- Proszę odejść! - rzuciła Nieborowska dość obcesowo. - Nazwisko szpicla jest dla mnie niczym.

- Przychodzę pomówić z panią o Gołmoncie. Nieborowska spojrzała na zegarek.

- Kim pan jest?

- Przyjacielem Montiego. To znaczy - Gołmonta.

- Ach, tak... Mam teraz próbę. O co chodzi?

- Kazimierz Dorniewski. Może po próbie? Zawahała się, a następnie odeszła od drzwi Filharmonii.

- Po próbie mąż na mnie czeka. Chodźmy gdzieś usiąść. Zajęli miejsce w najbliższej cukierni.

- Zajmę pani tylko kwadrans.

- A więc - do rzeczy.

- Służę. Powiedział mi wczoraj pan Jaśminowicz, że ma pani przykrości z powodu hrabiego Gołmonta.

- Tak. Gdzie on teraz jest?

- W Afryce równikowej. Adresu nie posiadam.

- Nie? No, to o co chodzi?

- Proszę go zostawić w spokoju.

- Pan oszalał.

- Nie.

- W takim razie... Homoseksualista?

Dorniewski uśmiechnął się mimo woli.

- Posądzenie zgoła absurdalne.

- Mój panie, ja... czas jest zbyt cenny, żeby...

- Mam człowieka, który podejrzewa, że Kropiwnickiego zamordował mąż pani. Szuka dowodów.

Nieborowska zapaliła papierosa. Patrzyła uważnie na swego rozmówcę, starając się odgadnąć do czego zmierza i w czyim imieniu występuje. Była nagle zdenerwowana, starając się to ukryć.

- Znam pana pięć minut... Na ten temat...

- Rozumiem pani nieufność. Może jednak umówimy się tak, żeby mieć do dyspozycji chociaż godzinę.

- Mam godzinę. Skreśliam dzisiejszą próbę.

- Doskonale.

- Słucham.

Dorniewski machinalnie przygładził włosy.

- Czy ten człowiek, prywatny detektyw może liczyć na pomoc? Bez pani pomocy...

- Powtarzam: nasza znajomość jest zbyt krótka...

- Zabito tego skrzypka na schodach, a my siedzieliśmy piętro wyżej. Jeszcze był ciepły, kiedy wybiegliśmy zaalarmowani. Zналиśmy go osobiście. Czy pani pojmuję teraz, że oburza nas ta śmierć. Nie chcemy wnikać w pani życie osobiste. Wiemy, że był pani kochankiem, ale to nie nasza sprawa. Chcemy tylko posadzić na ławie oskarżonych zabójcę, bez względu na to kim on jest, a tymczasem policja stoi w miejscu i wszystko wskazuje na to, że stać będzie nadal, ponieważ zabójca posłużył się płatnym nożownikiem i urządził to tak, że na żaden trop wpaść nie można. Nie ma, oczywiście, stuprocentowej pewności, ale istnieje podejrzenie iż tym sprytnym zabójcą jest mąż pani, a dopóki policja nie złapie owego nożownika - nic nie można zrobić. Mąż pani miał motyw. Wiedział przecież, że pani sypia z Kropiwnickim. Czy chce pani kryć mordercę?

- Ja? - Nieborowska myślała o czymś intensywnie. Widać było, że ta myśl sprawia jej przykrość. - Ja nienawidzę mojego męża i chcę, by został powieszony, bo to on - ma pan rację. Ale nawet ja, nie posiadam dowodów jego winy. Chcę pana jeszcze o coś zapytać. Czy hrabia Gołmont spotkał się ze mną tylko po to, żeby coś ode mnie wyciągnąć i posunąć do przodu śledztwo? Proszę o szczerą odpowiedź.

Dorniewski zrozumiał momentalnie, że ta właśnie myśl najbardziej dokuczała Nieborowskiej.

Zdziwiło go to bardzo, gdyż sądził, że strata kochanka jest raną jeszcze świeżą i boli najbardziej.

- Zapewniam, że nie to było jego intencją. Rozmawiał ze mną o pani, chcąc znaleźć kogoś ze sfer muzycznych, aby ten ktoś mógł go pani przedstawić. Zależało mu tylko na tym, by zbliżyć się do pani. To człowiek prostolinijny, do głębi szlachetny i przy tym samotny. Ujrzał panią po raz pierwszy w życiu wtedy, kiedy szli do „Adrii” z Jaśminowiczem i Faustynem, a pani minęła ich zamieniwszy kilka słów z malarzem. Od tej chwili opuścił go spokój, a był właśnie zaręczony z panną Hanką Olatyńską. Poszli do „Adrii” i tam Faustyn zaczął się przechwalać, że pozuje mu pani do aktu, dając do zrozumienia, że... to jasne, co miał na myśli... Monti jest człowiekiem honoru i przy nim nie można takich rzeczy mówić o kobietach, więc wywłókł go siłą z lokalu, a na ulicy dal po pysku, jak to się mówi. Ponieważ jest człowiekiem ogromnej siły, więc wybił niechcący zęby. A, jak się później dowiedziałem, następnego dnia spotkał się z panią. Trudno mi powiedzieć co go skłoniło do wyjazdu, niejednocześnie zerwał z panną Olatyńską. To wszystko. Jeszcze raz zapewniam, że obca mu była myśl śledzenia i wypytywania.

Nieborowska siedziała zamyślona z jakąś dziwną mgiełką w oczach, jakby była daleko. Potem przeniosła wzrok na swego rozmówcę, i coś lśniło w jej oczach, coś,

czego Dorniewski nie mógł pojąć.

- Pan jest przyjacielem hrabiego... - powiedziała.

- Tak. Czysta, bezinteresowna, męska przyjaźń.

- Więc niech mi pan powie... dlaczego zerwał z panną Olatyńską? Właśnie teraz?

- Mogę pani zdradzić jedynie moje odczucie.

- Proszę o to.

- Zajął pani jej miejsce. Według mnie - raz na zawsze. Dlatego wyjechał.

- Dlatego?

- Tak. Bo zrozumiał też, że wymknie mu się pani prędzej czy później, a to trudno znieść. Wolał uciec, żeby zapomnieć.

- Zapomni?

- Nie. Dzień, kiedy panią spotkał, był fatalnym dniem w jego życiu. Odradzałem mu to. Radziłem, żeby omijał panią z daleka. Pani go zniszczy. Szkoda.

- Pan mu to powiedział?

- Tak.

- Jest pan człowiekiem, który nie umie kłamać?

- Nie umiem. I nie będę.

- Dlaczego tak źle pan o mnie myśli?

- Kobiety często niszczą mężczyznę. Takie kobiety jak pani niszczą zawsze i okrutnie. Takie kobiety jak pani nie są podporą w życiu. Są - treścią życia.

- To źle?

- Źle, bo takie kobiety jak pani nigdy nie należą do mężczyzny całkowicie, bez reszty, a tego właśnie nie

można znieść. Gołmont nigdy by się z tym nie pogodził. Pragnąłby panią mieć wyłącznie dla siebie, a przecież... to absurd.

- Skąd ta pewność?

- Znam życie.

Nieborowska zapatrzyła się w okno.

- Wiele złego o mnie mówią. Czy uwierzy mi pan, że nigdy nie pozowałam do aktu? Faustyn kłamie. Nigdy też do niego nie należałam. I nigdy do tego nie dojdzie.

- Wierzę. Dlaczego mówi mi pani o tym?

- Bo proszę, żeby pan napisał to, co powiedziałam - hrabiemu Gołmontowi. Proszę mi dać słowo, że pan napisze. Słowo honoru.

- Daję słowo honoru, że napiszę.

- Czy da mi pan też jego adres?

Dorniewski spojrzał na nią badawczo. Wiedział, że winien odmówić, ale sam prosił ją o tę rozmowę, a teraz należało ponieść konsekwencje. I należało grać fair. Nie chciał decydować za Gołmonta. Nie miał prawa.

- Dam, jak mi go prześle. Chwilowo wiemy tylko, że wsiadł na frachtowiec w Marsylii i odpłynął do Afryki równikowej; konkretnie - do Wybrzeża Kości Słoniowej. Jest to strefa bardzo niebezpieczna, uciążliwa klimatycznie, a do tego - jak sądzę - pełna elementów przestępczych. Obrzeża świata, gdzie obowiązuje prawo pięści. Miejmy nadzieję, że wróci stamtąd.

Nieborowska westchnęła.

- Dlaczego on tam pojechał?

- Cóż pani chce? Desperacka ucieczka.
- Głuptas. Czy mamy tam nasz konsulat?
- Skądże. To kolonia francuska, dzika i gorąca.
- Trzeba zatelegrafować do władz francuskich w tamtej stolicy, żeby go odnalazły.

- Po co?

- Niech pan to zrobi. Proszę. Krótkich parę słów: Natychmiast proszę wracać do Warszawy. Podpis: Zyta Nieborowska.

- Dlaczego?

- Koszty pokryję.

- Proszę tak nie mówić. Koszty znaczą tu najmniej. Pytam o coś innego.

Zamiast odpowiedzi, wydarła kartkę z małego notesu i napisała automatycznym, ołówkiem: „Monti, wracaj natychmiast. Zyta”. - Proszę nadać depeszę tej treści - powiedziała Nieborowska, wręczając kartkę Dorniewskiemu. - Dopisze pan tylko to, co trzeba - do francuskiego gubernatora, czy kogo tam, pojęcia nie mam. Wyśle pan tę depeszę jeszcze dziś? Najlepiej chyba - z ambasady francuskiej u nas. Zrobi pan to?

- Tak.

- Dziękuję. - Podała mu rękę, wstając. - Będę się dowiadywać telefonicznie. Numer pana znajdę w książce. Proszę mnie nie odprowadzać.

* * *

Dorniewski pojechał natychmiast do ambasady i załatwił wszystko jak należy, prosząc, żeby odnaleziono Gołmonta bez względu na wydatki. Zostawił swój bilet wizytowy, a następnie wrócił do siebie i nakręcił numer telefonu.

- Halo, Faustyn.

- Tu Dorniewski. Kontaktować może się pan przez Jaśminowicza.

- Co mogę dla pana zrobić?

- Przyjąć do wiadomości, że jest pan świnią.

- Pan oszalał!

- Nie. Rozmawiałem właśnie z panią Nieborowska.- Gołmont, po powrocie z zagranicy, ja już teraz mogę przyjąć pańskich sekundantów.

* * *

Dni płynęły wolno, ale płynęły. Złota jesień traciła barwę, liście opadały coraz gęstrzymi welonami. Potem zaczęły padać deszcze, a jeszcze później przyszła zima; w grudniu, na kilka dni przed świętami spadł śnieg, chwycił mróz.

Dorniewski siedział w Warszawie. Do pojedynku z Faustynem nie doszło, bo Jaśminowicz ostrzegł go, że jeżeli wyśle swoich sekundantów, to stanie do walki z człowiekiem, który strzałem z rewolweru rozbija szklanę z dziesięciu metrów. Malarz przestraszył się i dał spokój. Zresztą słowo: świnią gościło w niejednej konwersacji,

był więc zdania, że nie należało przesadzać.

Od Gołmonta przyjaciele spodziewali się listu, ale daremnie. Jaśminowicz pocieszał siebie i innych niemieckim przysłowiem: „Keine Nachricht, gute Nachricht”.

Nieborowska telefonowała kilka razy do Dorniewskiego, jednakże miał dla niej niezmiennie odpowiedź: nic, cisza, milczenie.

Pod koniec grudnia zaproszono go do ambasady francuskiej. Przyjął go sam ambasador i oświadczył, że poszukiwania wszczęto, ale bez rezultatu; rozesłani ludzie nie natrafili nawet na ślad hrabiego Gołmonta, który najprawdopodobniej wyruszył w głąb lądu. Mogło być też i tak, że wysiadł w zupełnie innym porcie i w ogóle był gdzie indziej. Dalsze poszukiwania zostały wstrzymane.

Nieborowska, dowiedziawszy się o tym, przestała telefonować.

- Pocijko wywęszył, że w tajemniczy sposób zaginął niejaki Zenek Piwko, uchodzący za największego mistrza we władaniu nożem. Ten młody apasz z Powiśla, cieszący się jak najgorszą sławą, wielokrotnie karany, przepadł bez wieści.

Wreszcie Dorniewski wyjechał do Paryża.

W styczniu, w Warszawie pojawił się mieszkający stale na zachodzie Europy i znany tam, skrzypek Jewgienij Jamarow, wysoki, szczupły blondyn za którym szalały kobiety. Z pewnym zdziwieniem Jaśminowicz spostrzegł pewnego razu Nieborowską właśnie w jego

towarzystwie. Było to na uroczystym bankiecie.

VIII

20 kwietnia „Express Poranny” zamieścił wiadomość, która zelektryzowała wielu ludzi: „Polski globtroter, Gerwazy hrabia Gołmont nie żyje. Z dobrze poinformowanego źródła nadeszła wiadomość, że ten znany arystokrata wędrujący stale po świecie, zabity został we Francuskiej Afryce Zachodniej. Tragedia wydarzyła się na początku bieżącego roku w jednej z przystani rzecznych Wybrzeża Kości Słoniowej, gdzie kwitnie handel przemytniczy i gromadzą się męty społeczne z różnych stron świata. Hrabia, znany ze swej sprawności fizycznej nie dał sobie rady, napadnięty przez przemytników; mimo pomocy pewnej szansonistki, która próbowała go ukryć, zginął od kuli, broniąc się i zabijając kilku napastników. Smutną tę wiadomość kierujemy przede wszystkim do przyjaciół, albowiem rodziny zmarły nie posiadał”.

Pociejko, który pierwszy przeczytał to doniesienie, wszedł chwiejąc się, na drugie piętro i zadzwonił. Otworzyła mu pokojówka. Odepchnął ją i poczłapał do sypialni Stefanii Lange. Ta zerwała się od toalety i zakryła piersi, bo była jeszcze w zwiewnym peniuarze.

- Chyba jesteś pijany! - krzyknęła oburzona. - Wynoś się!

Mały detektyw wytarł łzę i podał jej gazetę.

- Najpierw to przeczytaj - wychrypiał.

Stefania Lange przebiegła wzrokiem tłusty druk na pierwszej stronie. Potem wypuściła „Express” i upadła. Zemdloną trzeba było długo cucić. Kiedy już odzyskała przytomność, wciąż leżąc na łóżku, gdzie ułożyła ją służba, powiedziała słabym głosem: - Czułam, że tak się skończy to jego wędrowanie. Po co? Dlaczego?

- Szukał burzliwych dróg - rzekł Pocijko. - Trudno mi tylko zrozumieć jak to się dzieje, że solidni ludzie odchodzą, a kanalie żyją. Gdzie tu sprawiedliwość?

- Bez Montiego, mój salon też chyba umrze. I ja.

- Kochałaś go.

- Zawsze. Miałam różnych mężczyzn, ale kochałam tylko jego.

- Nawet nie wiadomo gdzie jest pochowany.

- I nigdy się nie dowiemy.

- Ja znajdę jego grób. Pojadę tam i znajdę, choćbym miał...

- Głupi jesteś, Stachu. Zginałbyś tam pierwszego dnia. Tu wystawię mu pomnik. Z czarnego marmuru. I tylko ja zapłacę. Ty też, bo masz serce.

- Ja też. Idę teraz do Jaśminowicza, żeby mu dać gazetę, której nigdy nie bierze do rąk.

Wyszedł i poczłapał na Marszałkowską.

Jaśminowicz siedział przy stole, wcinając jaja na szynce. Był w wyśmienitym humorze. Otrzymał właśnie sporą sumę za najnowszą powieść.

- Zje pan coś? Proszę bardzo.

Pociejko ominął stół i usiadł na kanapie, położywszy przed gospodarzem gazetę.

- Widzę, że jestem pierwszy z tą wiadomością.

- Co? Zła recenzja? Ktoś opluł moją powieść? Do diabła, mam w nosie recenzje! Każdy impotent literacki wyżywa się na tym, kto powołał do życia bohaterów...

- Niech pan przestanie. Hrabia Gołmont nie żyje.

Jaśminowicz wstał, nie wypuszczając widelca.

- Bredzisz pan - rzekł i bladł patrząc na złamaną figurkę detektywa. - To... głupi żart, tak?

- Niech pan zajrzy do „Expressu”.

Pisarz złapał gazetę. Potem usiadł i bardzo wolno wciągnął powietrze, jakby się bał, że go brakuje. Po dłuższej chwili przeczytał raz jeszcze i odłożył „Express” nie wiadomo dlaczego najdalej jak tylko mógł.

- Nie wierzę! - rzucił nagle, lecz natychmiast umilkł. - Monti... - Znów wstał i zaczął chodzić po jadalni. - A, ta wiadomość, to niby skąd? Kto zna takie szczegóły? - Ruszył do swego gabinetu, odszukał numer telefonu, nakreślił i zawołał do słuchawki: „Express”? /.../ Tu mówi Jaśminowicz, a chcę rozmawiać z naczelnym... /.../ Kiedy wróci? /.../ Czy jest redaktor Rybka? /.../ Proszę go poprosić do telefonu. /.../ Antosiu, Rafał mówi, skąd ta depesza? /.../ Pewne, pewne! Co to znaczy, pewne źródło? Kto zna takie szczegóły? O takich rzeczach może wiedzieć tylko ten kto był przy tym. /.../ Tański? Tańskich jest dużo. Gdzie? /.../ Malarz?... Henryk Tański, Marszałkowska piętnaście? Dziękuję ci, jadę.

Jaśminowicz i Pocijko, nie zwlekając złożyli wizytę malarzowi Tańskiemu, który przyjął ich w obszernej pracowni, z której promieniowało powodzenie. Wisiało tu kilka obrazów świadczących o niepospolitym talencie artysty. On sam zdradzał energię wiecznej młodości, mimo sześćdziesiątki. Był duży a jego jasne oczy miały moc, jaką daje prawy charakter.

- Siadajcie panowie - rzekł.

- Dziękuję. - Jaśminowicz wyciągnął z kieszeni „Express Poranny”. - Jesteśmy przyjaciółmi Gołmonta. Skąd pewność, że on nie żyje? Na Boga, niech pan mówi kto był świadkiem tragedii? Jak to możliwe?!

- Rozumiem panów. Może opowiem od początku?

- Tak, bo ja w to nie wierzę.

Tański zapalił fajkę.

- Zaproszony zostałem do Paryża, żeby namalować portret pani Brigitte Borgeaud i zajęło mi to sporo czasu. Wieczorami chodziłem do teatrów, ale kilka razy brałem udział w przyjęciach. Na raucie u hrabiny Laffont, zupełnie przypadkowo, przedstawiono mnie prefektowi policji, który przebywa stale właśnie w Afryce, odwiedzając jedynie Paryż. Jest to miły, łatwy w obejściu człowiek. Kiedy dowiedział się, że jestem z Warszawy, zapytał czy znane mi jest nazwisko Gołmont. Powiedziałem, że nie. A on na to: „Nie będę w takim razie zanudzać pana smutną historią, jaka miała miejsce w dżungli nad Zatoką Gwinejską”. Słuchała go pewna młoda egzaltowana dama. Poprosiła, żeby opowiedział tę

historię, ponieważ lubi takie rzeczy. No i opowiedział. Policja w mieście Abidjan zawiadomiona została o strzelaninie nad rzeką Comoe. Z raportu wynika, że patrol przybył do ukrytej w dżungli przystani nad rzeką, zbudowanej na palach. Tam właśnie gromadzili się przemytnicy, handlarze, ludzie spod ciemnej gwiazdy. Diamenty, kawa i tak dalej. Mieli tam coś w rodzaju hotelu, spelunki z prostytutkami, słowem miejsce, gdzie dobijano targu a i można odpocząć, zabawić się.

- Co tam robił nasz przyjaciel? - Jaśminowicz złapał się za głowę. - Jak mógł szukać schronienia w takim piekle?

- To pozostanie tajemnicą. Wdał się w jakąś awanturę. Pobił kogoś i wtedy zabrała go ze sobą jedna z prostytutek, a właściwie szansonistka, chyba rodem z Grecji czy z Portugalii - nie pamiętam. Ukryła go w swoim zakamarku i pewnie na tym by się skończyło, ale zaczęto jej szukać, żeby zaśpiewała. Zastali ją w łóżku z panem Gołmontem i wybuchła awantura. W strzelaninie zginęło dwóch znanych i poszukiwanych przemytników i - niestety wasz przyjaciel. Szansonistka została lekko ranna, więc mogła najwięcej zeznać. Zabitych pochowano w tropikalnym lesie.

- A dokumenty hrabiego Gołmonta?

- Kto o tym myślał? Panowie, Afryka to nie Europa.

- Może gdzieś są.

- Zgroza!

- Przykro mi, że właśnie ja... Zapisano go: monsieur

Golmont.

- Musimy odnaleźć tę szansonistkę - powiedział Jaśminowicz. - W tym celu trzeba szukać kontaktu z policją w Abidjan.

- Z największą chęcią pomogę panom - rzekł malarz. - W ambasadzie francuskiej mam znajomych.

- Tak, tak, koniecznie.

Jaśminowicz i Pocijko opuścili dom Tańskiego pogrążeni w smutku. Długo milczeli. Potem pisarz uścisnął rękę detektywowi jakoś dziwnie - i serdecznie, i odruchowo zarazem, a potem oddalił się szybko, chcąc być sam.

Strata przyjaciela była dla niego ciosem nad wyraz dotkliwym. Znali się od piętnastu lat, a przypadli sobie do gustu od początku. W miarę jak płynął czas, wzajemne zaufanie i sympatia przeszły w stan więzi duchowej, i chociaż usposobienia ich były bardzo odmienne, zaczęli się wzajem uważać za ludzi bardzo sobie bliskich do tego stopnia, że nie chowali przed sobą niczego w tajemnicy. Żartowali z siebie nieustannie i czuli się ze sobą tak dobrze, jakby się znali sto lat. A teraz wszystko to runęło w przepaść. Już bezpowrotnie. Co zostało? Nic, prócz wspomnień. I tylko stał w oczach wysoki, mocny, leciutko pochylony, jak gdyby pod ciężarem potężnych barów i rąk żylastych, żelaznych, z nikłym ni to uśmiechem, ni to grymasem na hardej twarzy, ostrej, a jednocześnie tak dziwnie przyjaznej. Niezrównany, wspaniały i dziwny Monti, człowiek, którego obecność zmieniła cały świat.

Monti, którego już nie ma.

Jaśminowicz wstąpił na pocztę i nadal depeszę do Paryża, gdzie przebywał teraz Dorniewski. Treść była krótka: „Monti zabity w bójce z przemytnikami. Szczegóły zna policja w Abidjan”.

Jeszcze tego dnia Jaśminowicz zatelefonował do Nieborowskiej. Oczywiście do Filharmonii, Powiedziano mu jednak, że wyjechała na kilka dni, że prawdopodobnie wróci dopiero na swoje imieniny.

Dwudziestego siódmego kwietnia zastał ją w domu, gdzie przyjmowała już pierwszych gości.

Podniosła słuchawkę:

- Zyta Nieborowska.

- Witam panią i składam życzenia imieninowe - bardzo szczere i serdeczne. Mówi Jaśminowicz.

- Dziękuję. Może zajrzy pan?

- Jestem w bardzo złym nastroju. Po prostu nie mogę. Prosiła mnie pani kiedyś o adres hrabiego Gołmonta. Obiecałem zatelefonować, kiedy czegoś się dowiem.

- Ma pan już? Proszę mi teraz nie dyktować. Spotkajmy się w Filharmonii.

- Pozostał na stałe w Afryce. Pisanie do niego jest bezcelowe. Każdy list, nawet od pani, poczta Abidjanu w najlepszym razie zwróci.

- Ach, tak... Czy on się tam ożenił?

- To można raz na zawsze wykluczyć.

- Jakaś tajemnica?

Jaśminowicz roześmiał się z goryczą.

- Bynajmniej.

- Co on tam robi? Proszę mówić jaśniej. Mam gości, a pan...

- Racja. Przepraszam, że tak bezceremonialnie przerwałem pani szampańską zabawę. Proszę mi wybaczyć... Żegnam...

- Halo! Co panu jest?

- Ach, nic. Jest mi po prostu smutno.

- Więc proszę przyjść cło mnie. Mam sporo gości i wszyscy są w doskonałych humorach.

- Wierzę. Ale jak mógłbym przyjść na pani imieniny, skoro nie byłem na jego pogrzebie?

- Na czyim pogrzebie?

- Gołmonta.

W słuchawce zapanowała cisza. Tylko z daleka dobiegał gwar rozbawionego towarzystwa. Po dłuższej chwili dał się słyszeć szept:

- Co pan powiedział?

- Tylko to, że Gołmont nie żyje. - Jaśminowicz odwiesił słuchawkę.

IX

Majątek jaki pozostał po Gołmoncie, stał się kością niezgody. Wypowiedzi różnych ludzi zmierzały w, zgoła nieraz, przeciwnych kierunkach. Na łamach prasy jedni utrzymywali, że należy koniecznie znaleźć spadkobiercę, inni - że ponieważ nie ma bliskiej rodziny, trzeba

wszystko przeznaczyć na cele publiczne i charytatywne. A majątek był znaczny: sześć tysięcy hektarów ziemi ornej i ogromne lasy. Prócz tego: tartaki, gorzelnie i browar. Główny majątek, to Dębogóra z okazałym pałacem pełnym cennych obrazów, rzeźb, księgozbiór liczący kilka tysięcy woluminów i masą innych przedmiotów wartościowych. W niektórych folwarkach znajdowały się piękne dwory, także szczerze wyposażone.

Administrator Gołmonta, Stanisław Tyszowiec, był człowiekiem wiekowym i od dawna nie zajmując się właściwie niczym, wiedział tylko tyle, że pan hrabia załatwiał wszystko osobiście z rządcami i kierownikami, spotykając się z nimi od czasu do czasu.

W prasie przeważały opinie, że trzeba ogłosić komunikat wzywający wszystkich tych, którzy mogliby ubiegać się o prawa spadkowe. Tak też uczyniono, i niebawem zgłosiły się trzy osoby, mające niejaki szanse. Wobec tego, że zmarły nie pozostawił testamentu, każda z tych osób dowodziła, że ma prawa największe. Była to stara, zdziwaczała ciotka Helena Lichnowiczowa, samotnie gospodarująca w swoim niewielkim majątku ziemskim na Wołyniu, Edward Bortnowski - adwokat, daleki krewny oraz Adam Spodek, także daleki krewny handlujący towarami kolonialnymi. Prócz tego, z roszczeniami wystąpiła dalsza rodzina zmarłej tragicznie żony Gołmonta.

Postanowiono czekać na dalsze zgłoszenia, tym bardziej, że podobno byli jeszcze jacyś krewni w Stanach

Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Czas płynął.

Wreszcie zaczęto też przebąkiwać, że hrabia miał syna z nieprawego łoża. Ta wiadomość wywołała największe zainteresowanie. Kiedy podchwyciła to prasa i ludzie dowiedzieli się o tym, do walki o sukcesję stanęło ośmiu kandydatów, a zanosilo się na więcej. Sprawa stała się głośna.

Do Warszawy przyjechali też oboje Olatyńscy. Zgłaszali największe pretensje, utrzymując że oficjalne narzeczeństwo nie zostało zerwane i córka ich powinna odziedziczyć cały majątek, do czego wystarczającą podstawą jest to, że jeszcze za życia Gołmonta dano na zapowiedzi w kościele parafialnym. Gdyby żył hrabia z pewnością dotrzymałby słowa zaręczynowego i ślub odbyłby się w zaplanowanym i ustalonym terminie.

Oboje złożyli wizytę Jaśminowiczowi, domagając się by uznał za niebyłą swoją wizytę w Ossowcu, kiedy to przywiózł wiadomość, że do małżeństwa nie dojdzie. Z pewnością nic się naprawdę nie stało, a przykre słowa podyktował hrabiemu zły humor, co jeszcze niczego nie przesądza, bowiem chwilowe kaprysy mijają, a verbum nobile pozostaje, zwłaszcza gdy chodzi o rzecz tak ważną jak ślub z dziewczyną.

Jaśminowicz potwierdził, że prośba Dorniewskiego oparta była jedynie na słowach wypowiedzianych w luźnej przyjacielskiej rozmowie, że Gołmont mówił wtedy pod wpływem silnego wzruszenia, ale upierał się, by

wezwać z Paryża Dorniewskiego, który w razie potrzeby złoży jako świadek stosowne zeznania. Na kamuflaż, w najłagodniejszej formie, Jaśminowicz nie przystał. Olatyńscy prosili, grozili, wpadli w histeryczny szał i rwali włosy z głów, wreszcie jednak wyszli z niczym, oskarżając Jaśminowicza o złą wolę, małostkowość, podłość i zapowiadając karę bożą, która naprawdę spadnie na niego, aby pomścić krzywdę biednego dziecka - Hanki.

Największą jednak niespodziankę zgotował Karol Nieborowski. Kręcił się jak w ukropie, zaniedbał nawet śledzenie żony, i pewnego dnia pojechał do Wołkowian.

Było to w połowie czerwca. Zajechał przed pałac otoczony bujną zielenią lata, ale owładnęła nim tylko jedna myśl, więc na nic nie zwrócił uwagi i wpadł do hallu jak burza. Ojca nie było, ponieważ wyszedł właśnie na gumno, ale to bardzo Karolowi sprzyjało. Odszukał brata i zamknął się z nim w najgłębszym zakamarku pałacu.

- Słuchaj mnie uważnie - rzekł. - Majątek nasz chyli się ku upadkowi, a zaradzić temu nie można, bo za daleko sprawy zaszły. Już myślałem, że wszystko przepadło, aż tu nagle sam diabeł chyba zsyła nam ratunek.

- To dobrze - powiedział roztropnie Stefan i pokazał, w uśmiechu szczerbę po wybitych zębach. - To bardzo dobrze. Masz większą gotówkę?

- Co tam gotówka! Milionerami możemy zostać, jeśli los zacznie nam sprzyjać. Wiesz, że jako bracia powinniśmy się wspierać, i nawet - kiedy to i owo nas

różni, trzeba iść ręką w rękę jak na braci przystało. Słyszałeś ty o śmierci Gołmonta?

- Nie.

- To posłuchaj: ukatrupili go jacyś zbóje w Afryce, ale w kraju zostały jego pałace i tysiące hektarów ziemi. Był to bogacz.

- I co?

- A to, że musimy ten jego majątek, te wielkie majątności uchwycić. Jeżeli uda się mój plan, to ja obejmę jego Dębogórę, a ty tu zostaniesz panem. Musimy jednak przekonać ojca. Musi on z kolei przekonać sąd, że jest, że... był zaufanym przyjacielem starego Gołmonta, który już nie żyje od lat. Kto wie, czy... Bo, widzisz ja napisałem na starym kawałku papieru taki kodycył. Trzeba, żeby ojciec oświadczył, że ten dodatek do testamentu starego Gołmonta był u niego przez te wszystkie lata. Testament dostał młody Gołmont, co to go teraz zabili, a kodycył - nasz ojciec, jako przyjaciel z dawnych lat... Przyjaciel starego Gołmonta.

- A nie rozpoznają tego pisma?

- Wykaligrafowałem atramentem, a potem jeszcze podniszczyłem trochę i podgrzałem w duchówce, więc papier wygląda wiarygodnie. No, jeżeli odkryją to... - Wtedy stary będzie wisieć, a nie my.

- Tak, bracie... A może nie należy ci się coś od życia? Stary zrobił z ciebie niewolnika.

- A ty, to niby jesteś anioł?

Karol machnął ręką, potem przygłodził krzaczaste

brwi.

- Może i bywam przykry, ale każdy miewa złe chwile.

W głębi duszy kocham cię, boś mój brat.

- Pokaż to pismo.

- Ale - między nami sztama?

- Zgoda. Niech będzie sztama.

Karol podał bratu pożółkły papier.

- Wygląda dobrze.

- Może i dobrze. - Stefan zaczął czytać głośno: „Cały mój majątek, wszystko co posiadam, ja Piotr hrabia Gołmont zapisuję mojemu synowi urodzonemu w roku 1895 w Dębogórze. Wszelako los rozmaicie zarządza ludźmi, a i to zdarzyć się może, iż i młody z padółu tego schodzi przed czasem. Gdyby takóŜ się stało i syn mój Gerwazy w pojedynku ustrzelon by został, albo innym sposobem życia by był zbawion, tedy wolą moją jest, aby majątności moje własnością się stały przyjaciela mego serdecznego, którym jest Feliks Nieborowski z Wołkowian. Ten w dbałości utrzymać powinien całe gniazdo moje i przodków moich. Tak postanawiam świadom tego co czynię i tak zarządzam, a nikt niechaj się woli mojej nie sprzeciwia. Czynię to wiadomym". Nie ma daty i podpisu.

Karol wzruszył ramionami.

- Skąd ja mogę wiedzieć kiedy to było dokładnie? A tak - papier naderwany, zamoczony... Treść wystarczy. Reszta zależy od skłonności sądu.

- Grubo szyte.

- Grubo, grubo! Jak można inaczej? Spróbować warto, a nóż się uda? Wiesz co to oznacza? Koniec kłopotów materialnych. Raz na zawsze. A teraz słuchaj co powiem...

* * *

Wieczorem zaczął padać deszcz. Daleko przetoczył się po niebie grzmot. Nadciągnęła burza. Przez otwarte jeszcze okno wszedł chłodny powiew i targnął firanką. Park napęlił się szumem - wiatr uderzył w korony starych drzew i jakaś groza opadła z ciemnych chmur.

Ponure wnętrze komnaty zdawało się wchłaniać delikatne światło niewielkiej lampy. Zegar bił godzinę, gdzieś zaskrzypiały drzwi.

Stary hrabia leżał na tureckiej sofie i myślał o synu, który znów pewnie przyjechał po pieniądze.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Ciche, niedobre.

- Proszę - powiedział hrabia.

Do komnaty weszli dwaj synowie.

- Ojciec śpi? - zapytał Karol.

- Nie.

- Chcemy porozmawiać. Pozwoli ojciec?

- Siadajcie. Ja tu pozostanę.

- Idzie burza - rzekł Stefan, po czym zamknął okno i usiadł w pobliżu.

Stary, chudy człowiek okrył się pledem, jakby mu było zimno. Jego łysa czaszka błyszczała w mroku.

- Macie kłopoty?

- Karol ma sposób na wszystkie kłopoty. - Wampirzą twarz Stefana rozjaśnił uśmiech.

- Nie wierzę - gderał hrabia. - Ty, Karolu masz tylko jedno wyjście, żeby odsunąć nasz upadek, ale ty uważasz, że to ponad twoje siły. Błędzisz jak zwykle.

- Tym razem wszystko zależy od ciebie, ojciec.

- No, to mów. - Hrabia spojrzał badawczo na starszego syna.

- Mam sposób - powiedział Karol. Przysunął lampę i położył przed ojcem sfalszowany dokument. - To jest ten sposób.

Hrabia Nieborowski przeczytał i oddał papier.

- Zachwycające.

- Ojciec, warto spróbować.

- Nonsens.

- Dlaczego?

- Nikt w to nie uwierzy. Przecież to bzdura!

Karol oddychał głęboko, żeby nie wybuchnąć złością. Postanowił przekonywać i panować nad nerwami, co ostatnio udawało mu się coraz rzadziej.

- Wiem, ale tam nikt nie będzie tego analizować, bo nikomu w sądzie na tym nie zależy. Ci, którzy się zgłaszają, są bez szans. Może z wyjątkiem tej starej ciotki. Ja się nią zajmę i ustąpi z placu. Mamy wielki atut w rękach: ojciec jest właścicielem ziemskim, więc daje gwarancje, że majątki Gołmonta będą...

- Nonsens! - powtórzył hrabia, przerywając synowi. -

Z daleka widać, że to kodycył fałszywy. Takie rzeczy wymagają innej formy. A zresztą, ja nie znałem tej rodziny; jeżeli pokażą mi fotografie, to skompromitują mnie natychmiast, bo wymagać będą przecież wskazania palcem Piotra Gołmonta, a ja tyle o nim wiem, co nic. W ogóle, jest to... A, szkoda mówić!

- Ojczy musimy spróbować, Przecież jest to prawdziwa fortuna! Ciężkie miliony!

- Ale ja nie jestem oszustem!

- Dla ratowania naszych... dla dobra naszej pozycji musimy przecież coś zrobić, a mamy właśnie okazję...

- Trzeba spróbować - dodał Stefan.

- Głupstwa pleciesz! - krzyknął hrabia.

Karol zrozumiał, że szansa wymyka mu się z rąk. Sam wprawdzie nie bardzo wierzył w powodzenie swego planu, ale liczył na to, że ojciec zaangażuje cały swój autorytet starego człowieka i arystokraty, a on ze swej strony obieca komu trzeba ogromną łapówkę, i to dodawało mu otuchy. Grał przecież o wielką stawkę, bo o swoją pozycję, o dobrobyt i utrzymanie domu w Warszawie na najwyższym poziomie, wreszcie o Zytę, która jak sądził, pozostanie przy nim, jeżeli otoczy ją jeszcze większym zbytkiem, jeżeli, dzięki pieniądząm windować ją będzie coraz wyżej w środowisku artystycznym. Odmowa ojca kładła kres wszystkim tym nadziejom. Huczało mu w głowie, nerwy odmawiały posłuszeństwa; ogarniała go wściekłość.

- To nie są głupstwa! - wrzasnął. - Tu chodzi o moją

przyszłość, o przyszłość mego brata! A ojciec odmawia, bo tak jest wygodnie.

- Nie podnoś głosu! - Hrabia usiadł i spojrzał groźnie.
- Twoja żona doprowadzi cię do upadku, więc miej pretensje do niej. Mnie zostaw w spokoju.

- A ja mówię, że to trzeba wykorzystać. Staremu Nieborowskiemu uwierzą.

- Wykluczone! Fałszerstwa nie popełnię.

- Ojciec to musi zrobić!

- Precz!

Karola poniosła furia. Z zaciśniętymi pięściami, z pianą na ustach przyskoczył do ojca, wołając:

- Będzie, jak ja chcę!! Ja od dziś decyduję!

- Precz!!!

Karol pochylił się jak do skoku i rzucił rozkazującym głosem, w którym kipiała nienawiść:

- Stefan! Zrób to!!!

Wampir rozjaśnił twarz złym uśmiechem i wyciągnął z kieszeni bębenkowiec. Kolejny grzmot przetoczył się po niebie i w tym momencie huknął strzał. Lufa niemal dotykała łysej głowy. Stary człowiek drgnął jakby w nim coś pękło, a potem przechylił się na bok i tak już znieruchomiał.

Na dworze wył wiatr. Błyskało się teraz niemal bez przerwy i grom bił za gromem.

Karol wytarł chusteczką kolbę rewolweru, a następnie włożył w dłoń trupa.

- Dobrze, Stefanku - powiedział. - Pamiętaj tylko, żeby

się nie wygadać... choćby po pijanemu. Zabiłeś ojca, więc musisz trzymać język za zębami.

- Zabiliśmy razem - mruknął Stefan. - To ty ułożyłeś wszystko, a potem dałeś mi rewolwer.

- Oczywiście. Ty zabiłeś, ale nasz interes jest wspólny. Ja będę działać, ty będziesz milczeć jak grób. Jeżeli chcesz żyć.

- A, co teraz?

- Zobaczysz. - Karol podszedł do wiszącego łańcucha obciążonego mosiężną kulką i pociągnął energicznie.

Po chwili wszedł lokaj.

- Pan hrabia sobie życzy... - rzekł głośno, jak człowiek o przytępionym słuchu.

- Patrz, co za nieszczęście - powiedział Karol. - Mój ojciec popełnił samobójstwo.

- Co?

- Pan się zastrzelił!

* * *

Karol hrabia Nieborowski, teraz już pan na Wołkowianach wysłał umyślnego do Lubomia, wzywając lekarza i policję. Po wystawieniu świadectwa zgonu, przybyły podkomisarz zezwolił na pochowanie zwłok, uznawszy iż denat sam pozbawił się życia. Był tym co prawda zaskoczony, ale widział już w życiu niejedno, więc przestał się dziwić. Zresztą obydwaj synowie zaręczyli, że nie było żadnej napaści z zewnątrz, więc

można było rzecz zakończyć. Po obiedzie, policja i lekarz odjechali do miasteczka, a Karol zamknął się w swojej sypialni i jął rozmyślać. Sytuacja jego nie była dobra, wszakże teraz mogło i powinno się wiele zmienić. Należało tylko sprzedać las. Gorzej rzecz się miała w sferze planów: sąd będzie podejrzliwy, a samobójstwo staruszka rzuci zapewne dodatkowy cień na kodycył; należało założyć, że powędruje on do rzeczoznawcy grafologa, jeżeli pozostały jakieś próbki pisma po starym Gołmoncie. Istniało też niebezpieczeństwo porównania pisma jego samego. Ta ekspertyza mogła dać fatalne wyniki. Co prawda, kodycył napisany został kaligraficznie, ale specjalista, przy pomocy mikroskopu, gotów był wywęszyć fałszerstwo, a wtedy groził nawet kryminał. „Trzeba to jeszcze raz przepisać, najlepiej cudzą ręką i też kaligraficznie” myślał Nieborowski „bo może być źle. Stefana też muszę ukatrupić, ale to już później, bo dwa samobójstwa, jedno po drugim, z pewnością mogłyby kogoś zaintrygować. Nie, nie - ostrożności nigdy za wiele. Co za dużo, to nie zdrowo”.

Nieborowski wrócił do Warszawy, zaraz po pogrzebie i tu dowiedział się, że jakiś adwokat wystąpił z żądaniem, by dokonać ekshumacji zwłok Gołmonta, a dopiero potem rozporządzać majątkiem nieboszczyka, którego należało przedtem zidentyfikować. Zawiązała się od razu polemika, albowiem pewien profesor dowodził, że zwłoki Gołmonta pochowane w glebie tropiku, być może w miejscu podmokłym, musiały ulec szybkiemu rozkładowi,

co udaremni identyfikację i całe przedsięwzięcie uczyni absurdalnym.

Tymczasem zgłosiło się pięciu następnych młodych ludzi, których matki utrzymywały, że chłopców spłodził Gołmont. Kres tej grotesce postanowiła położyć ciotka Lichnowiczowa. W tym celu ogłosiła w prasie warszawskiej, iż jest jej wiadomym, że Gerwazy nie mógł mieć dzieci, gdyż cierpiał na impotencję po śmierci żony, a okresami zapewne także wcześniej, a jego plemniki były zawsze martwe.

Jaśminowicz napisał krótki ostry artykuł kończący się słowami: „Śmierć hrabiego Gołmonta sprawiła, że wypęłzły z błota wszystkie gady, które teraz próbują wpełznąć do kwitnącego ogrodu. Te paskudztwa, oblepione szlamem cuchnącym, obrażają pamięć człowieka, którego ludzie, prawdziwi ludzie kochali. Pluję na te poczwary, a od sądu domagam się, by majątek szlchetnego człowieka przeznaczyć na szlchetny cel, na przykład na sierocińce w całej Rzeczypospolitej. Hańba płazom, cześć pamięci niezapomnianego Gołmonta. Monti, śpij spokojnie w obcej ziemi, tu w twojej ojczyźnie kochają cię nadal ci, w których sercach żyjesz”.

Po przeczytaniu artykułu, ciotka Lichnowiczowa wniosła sprawę do sądu przeciwko autorowi-oszczercy. Domagała się materialnego odszkodowania za obrazę jej honoru i uczuć jakie zawsze żywiła do Gerwazego.

Jeszcze przed rozprawą ogłoszony został w jednej z poczytnych gazet tekst dodatku do testamentu, z którego

wynikało, że wszystkie dobra po Gołmoncie powinien odziedziczyć hrabia Nieborowski, dziedziczący je po samobójczej śmierci Feliksa Nieborowskiego. Ogólny ten zamęt spowodował reakcję zupełnie nieoczekiwaną: pojawiły się w prasie kpinki, docinki, uszczypliwe komentarze i dowcipy.

Jaśminowicz zasapany i oburzony próbował dojść kto te głupstwa wypisuje. Od Pocijki dowiedział się, że jednym z anonimowych autorów jest Karol Nieborowski. Tego było za wiele.

* * *

Mieszkanie państwa Nieborowskich znajdowało się na głównym piętrze. Po pierwszym dzwonku we wnętrzu było cicho jak makiem zasiał. Po drugim - to samo. Jaśminowicz przyszedł bez uprzedzenia, wiedziony chęcią nawymyślenia człowiekowi, którym dotychczas pogardzał, a któremu teraz należało dać nauczkę. Już miał odejść, kiedy usłyszał wyraźny szmer. Zadzwoił jeszcze raz, ale długo i natrętnie. Po pewnym czasie jakiś męski głos zapytał po francusku:

- Kto tam?

- Ja w bardzo ważnej sprawie - powiedział Jaśminowicz także po francusku, ale ze swoim wileńskim akcentem.

- Rosjanin? - zapytał tamten z wyraźną nutką sympatii w głosie i już po rosyjsku.

- Da - odrzekł Jaśminowicz, który znał dobrze język rosyjski.

Zgrzytnęła zasuwą i drzwi stanęły otworem. W przedpokoju sterczał wysoki, przystojny blondyn bez marynarki i bez krawata, najwidoczniej czujący się tu bardzo swobodnie. Dyskretnie tarasując przejście, Rosjanin spytał z uśmiechem:

- Wy kto?

- Idi k'czortu - mruknął Jaśminowicz i siłą wtargnął do wnętrza. Z wielkiego przedpokoju wszedł szybkim krokiem do buduaru, z którego padało światło. Tu stanął jak wryty. Oto, na rozłożystej pluszowej kanapie na wpół siedziała, na wpół leżała Zyta Nieborowska w rozpiętej bluzce i bez pantofli na nogach. W ręku trzymała kieliszek z winem. Cicho grał patefon.

- Ja do męża - wykrztusił Jaśminowicz. - Dzień dobry ... Zechce mi pani wybaczyć.

Zerwała się jak oparzona, wsuwając stopy w pantofelki na obcasach.

- Ależ... - zawołała zmieszana. - To, pan...

- Co się stało? - zapytał Rosjanin po francusku.

- Nic - rzuciła szybko, odzyskując pewność siebie. - To zwykłe nieporozumienie. - I do przybysza: - Pan Jamarow jest lekarzem. Właśnie osłuchiwał mnie... Co pana sprowadza? Mąż wyszedł...

- To zrozumiałe - rzekł po polsku Jaśminowicz z przekąsem - nie chciał przeszkadzać podczas badania. Ale ja - tu podniósł głos, żeby mu nie przerwała - z awanturą

do męża, więc proszę zachować spokój. Będę milczeć i wyniku badania nie zdradzę.

Jamarow stał zakłopotany, jednakże Nieborowska postanowiła zaatakować, wiedząc, że to najlepsza obrona:

- Dziwne ma pan obyczaje. Wypraszam sobie!

- Obyczaje, dość dziwne - jak na mój gust, to pani specjalność - powiedział Jaśminowicz. - Z mojej strony - tylko przypadek. Zapewniam panią jednak, że to in flagranti pozostanie tajemnicą.

- Mam nadzieję! Rycerz, tak?

- Nie rycerz. W przeciwieństwie do innych jestem po prostu odporny na pani wdzięki. I to jedyna przyczyna. Pani mnie ani ziębi, ani grzeje.

- To wulgarne.

- To - też! - rzucił ostrym tonem, wskazując jej rozpiętą bluzkę. - Ponieważ stosuje pani kamuflaż - badanie lekarskie!! Koń by się uśmieł! Już teraz wiem kim pani jest i dlatego wyraziłem się wulgarnie. - Żegnam! - I wyszedł.

* * *

Do rozpatrzenia sprawy spadku powołano wreszcie specjalną komisję, w skład której weszli prawnicy i ziemianie, a ponieważ wszystko wskazywało na to, że rzecz się przeciągnie, ustanowiono też komisarza z wysoką pensją, mającego dopilnować, aby nie ucierpiała uprawa roli i hodowla, zanim wszystko zostanie

rozstrzygnięte. Człowiekiem tym został Jan Omulewicz, pięćdziesięcioletni agronom, człowiek poważny a nawet surowy, łysiejący, z bródką i wąsami. Wyglądał dostojnie, a do pracy zabrał się z całą energią.

Jaśminowicz bardzo był rad z takiego obrotu rzeczy. Poznał go osobiście i wyrobił sobie o nim jak najlepsze zdanie.

Sam zabrał się do pisania powieści, której bohaterem był Gołmont. Było to odstępstwo od gatunku łatwej, podszytej humorem prozy; tym razem chodziło o ukazanie uroczego człowieka tonącego w samotności.

Jaśminowicz zajął się pracą, a wszystkie inne sprawy odsunął. Bardzo chciał przedłużyć życie Montiego, przynajmniej w powieści.

Nie wiedział, jak to wytłumaczyć, ale największy żal czuł do Nieborowskiej. Potępiał ją. Może dlatego, że była ostatnią kobietą, która zawładnęła uczuciami przyjaciela, a potem nic sobie z tego nie robiąc, poszła do pierwszego lepszego grajka. Zresztą, była w pewnym sensie odpowiedzialna za śmierć Gołmonta, który wyjechał przez nią, a przy tym, nie wiadomo dlaczego, zamiast do Ameryki, pojechał do Afryki. Pewnie też z jej powodu. W powieści zamierzał sportretować ją, by dać wyraz przekonaniu, iż właśnie kobieta mogła zachować go przy życiu, pod warunkiem, że nie byłaby to kobieta - demon.

Korespondując z Dorniewskim, przedstawił mu swój zamysł i otrzymał aprobatę. Inni, którzy znali Gołmonta, obiecali także służyć pomocą, aby książka mogła ukazać

całą historię życia podróżnika, któremu podróże nie wystarczały i ziemianina, który nie mieścił się w tradycyjnym modelu życia.

Upalny czerwiec dobiegł końca, a w lipcu Jaśminowicz zawsze wyjeżdżał nad morze. Tak też zamierzał postąpić i teraz. Spakował walizki, włożył do jednej z nich małą płaską maszynę do pisania, bo zawsze nad morzem trochę pisał i wysłał służącego po bilet. Następnego dnia po południu miał wyruszyć do Juraty.

X

- Koniak - powiedział Gołmont. Kelner wygładził serwetę na stoliku.

- Courvoisier?

- Courvoisier.

- Już podaję.

Był wczesny wieczór. Miękki, fioletowy mrok opadał na miasto wraz z przyjemnym chłodem. W ogródkowej kawiarni wszystkie miejsca były zajęte. Od stolików szedł szmer intymnych szeptów, gwar rozmów, czasem rozległ się śmiech. Kelnerzy roznosili lody, ciasta i trunki. Od parasoli padał głęboki cień. Wkrótce, chłopak w czerwonej kamizelce zaczął roznosić świece osadzone w szerokich, kolorowych kloszach osłaniających płomyk. Za barierą szumiała ulica.

Koniak był dobry. Gołmont zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko dymem. Siedział sam, bo tak chciał.

W południe przyleciał samolotem z Wiednia. Zajął pokój w małym hotelu, a potem wyszedł na miasto przypomnieć sobie Warszawę; wrócił po dziesięciu bez mała miesiącach, do nikogo nie telefonując, nikogo nie odwiedzając. Patrzył teraz na ludzi, na domy, na światła i drzewa z dziwnym uczuciem: oto otaczało go życie jego miasta, bliskie, znajome, a jednak coś się zmieniło, a może tylko czegoś mu brakowało. Tam, na szerokich drogach dalekiego świata wszystko było obce, a jednak - jakby bardziej normalne i spokojne, chociaż wcale nie było takie spokojne. Coś się zmieniło. Coś odeszło. Ale co?

Patrzył na ludzi, słyszał poszczególne głosy, a mimo to widział jeszcze teraz i słyszał wszystko, co zostało za nim daleko, wśród ostrej, mocnej zieleni, w jasności upalnych dni i w gęstej czerni nocy.

Na twarzy miał afrykańskie słońce, a w sercu - znów warszawską pustkę. Siedział oparty swobodnie o poręcz trzcinowego krzesła, lekko pochylony, brązowy, nieobecny. Jego ostre rysy przyciągały uwagę, jego ciemne oczy zdawały się hipnotyzować. Palił w skupieniu i wśród wielu ludzi widać było tylko jego. Tylko on tu był. Reszta tylko go otaczała.

Zamówił jeszcze jeden kieliszek koniaku.

Nagle usłyszał cichy okrzyk:

- Monti!

Podniósł wzrok i zobaczył wysokiego chudzielca w okularach, szczerzącego zęby, nie umiejącego

pohamować radości. Był to dystyngowany starszy pan, profesor - historyk raediewista - Antoni Huget.

- Witam pana profesora - rzekł Gołmont. Wstał i nieco zdziwiony poddał się wylewnemu uściskowi ramion odwzajemniając uścisk przez grzeczność.

- Chłopcze kochany, mój Boże, co za radość! Gołmont zaprosił profesora do swego stolika gestem ręki.

- Pan sam, bez małżonki?

- Sam, bo żona pojechała do rodziny. - Huget usiadł i wpatrywał się w Gołmonta jak w obraz. - Boże wielki, co za radość! Zosia, to chyba oszaleje ze szczęścia. Monti, jak to było? Mówże!

- Nałaziłem się. Nic w tym nadzwyczajnego.

- Ależ, chłopcze, ty żyjesz!

- Tak, a... to pana dziwi?

Huget nabrał tyle powietrza w płuca, że omal nie pękł. Potem wolno wypuścił je i machinalnie poprawił okulary.

- No, jakże? Przecież... cała Warszawa wie, że zostałeś zabity w Afryce.

Gołmont uniósł brwi.

- A! To chodzi pewnie o tę strzelaninę koło Abidjanu?

- Oczywiście!

- Ale kto powiedział, że mnie zabito? Huget znów zaczął się śmiać.

- Gazety, radio, ludzie! Wszyscy. Wiadomość przywiózł malarz Tański z Paryża.

Gołmont także uśmiechnął się.

- Gdybym wiedział, przyjechałbym wcześniej. Kto w

Paryżu rozpuścił taką plotkę?

- Policja. Biłeś się z przemytnikami. Dwóch zastrześliłeś, a w końcu sam... Wielki Boże!

- Trzech, dla ścisłości.

- Trzech? Nie dwóch?

- Trzech. Walili do mnie, to prawda, ale bez większego skutku. Dostałem w udo jedną kulę. Zamieszanie było ogromne.

- Opowiadaj po kolei. Co za historia! Gołmont pokiwał głową.

- Teraz już wiem. Estrella...

- Estrella? To imię kobiety? Ta szansonistka?

- O tym też wiecie?

- Naturalnie. Ukryła cię, ale oni was znaleźli.

- Nie znam jej imienia. Estrella, to po hiszpańsku - gwiazda. Tak ją nazywają.

- Więc to Hiszpanka?

- Tak.

- Dlaczego mówisz, że to ona? Co zrobiła?

- Pewnie powiedziała policji, że zostałem zabity.

- W jakim celu?

Gołmont, zamyślony nagle, uśmiechnął się ciepło.

- Żeby nie miał kłopotów. Wśród policjantów, tam, trafiają się też przekupieni.

- Przez przemytników?

- Tak.

- Ty powędrowałeś dalej, a ona została i wszystko załatwiła jak trzeba?

- Z pewnością.
- A policja dotarła do przystani następnego dnia?
- Albo jeszcze później.
- Ona też była ranna?
- Nie. Tylko poturbowana. Starła się mnie zasłonić.

Swoim ciałem.

- Dlaczego?
- Tak bywa.
- Wspaniała dziewczyna.
- Bez wątpienia.
- Co tam robiła? Zawodowa śpiewaczka?
- Wędrowna prostytutka.

Huget syknął zawiedziony.

- Desperacja, czy upodobanie?
- Bo ja wiem? - Gołmont westchnął. - Zwichrowane życie. Samotność, pustka, rezygnacja...

- Gdzie ciebie tam poniosło? Czego tam szukałeś?
- Mojej własnej ścieżki.

- Ty? Ty, przed którym wszystkie drogi stoją otworem? Chyba żartujesz? - Gołmont milczał. - Monti, czego ty szukasz, włóczęc się po tych wertepach?

- Profesorze, tego, czego mi brak.
- Masz wszystko.

Gołmont roześmiał się bezgłośnie, w zamyśleniu. Potem rzekł, jak do dziecka:

- Mam, mam.

Profesor poprawił okulary.

- Tu. widzisz także było wielkie zamieszanie. Wszyscy

dyskutowali co zrobić z twoimi dobrami pozostawionymi bez testamentu.

- I co? - Twarz Gołmonta znów zajaśniała pogodnie. - Mam jeszcze chociaż pokoik w moim pałacu?

- Nic jeszcze nie postanowił sąd. Wyznaczył tylko komisarza, pana Omulewicza, który miał dopilnować, by nic nie zostało zmarnowane. W ogóle powołano specjalną komisję. Jedni byli za przeznaczeniem majątku na sierocińce, a inni za oddaniem w ręce prywatne. Zgłosiło się kilku twoich krewnych, a i synów nieślubnych masz z piętnastu.

- No, no, aż tylu mam potomków?

- Ach, mówię ci, istna komedia. Ale... Trudno się dziwić bo przecież coś trzeba postanowić, wobec braku testamentu. Twój majątek jest ogromny. Największe szanse miała pani Helena Lichnowiczowa z Wołynia. Podobno twoja ciotka.

- Pocziwa ciotka Helena.

- Ale byli też inni.

Gołmont machnął ręką.

- Zrobiłem sporo zdjęć. Mam też notatki. Spróbuję z tego sklecić jakąś małą książeczkę. Literacko zaokrągli to mój przyjaciel, Jaśminowicz. Literat.

- A, tak - podchwycił Huget - ten człowiek pisał o tobie i strasznie wymyślał tej całej gromadzie zainteresowanych. Uważa ciebie za wzór obywatela. Gotów ci pomnik wystawić. Podobno strasznie rozpaczał.

- Wiem ile jest wart. Jego serce jest równie wielkie jak

jego brzuch. Mówi pan, że rozpaczał?

- Tak. Nie tylko on, mój chłopcze.

- A, Dorniewski? Tego dziwaka pan zna.

- Wyjechał do Francji. Siedzi tam od dawna.

- Prasa bardzo mnie oczerniała?

- Ależ skąd! Przykre było tylko to, z czym wystąpił hrabia Nieborowski.

Gołmont spojrzał bystro na profesora.

- Nieborowski?

- Tak. Zresztą z tym wiąże się tragiczny finał starego - Feliksa, który popełnił samobójstwo. Tam, u siebie, na kresach. Poznałem go kiedyś. O, jego synów też. Mroczna rodzina. Interesuje cię to.

- Tyle o ile.

- Jak się okazało, stary był w posiadaniu dodatku do testamentu twego ojca.

- Dodatku?

- No wiesz, to się nazywa kodycyl.

- I co?

- Rzekomo ojciec twój uczynił, jedynym spadkobiercą swych dóbr właśnie Feliksa Nieborowskiego, w razie gdybyś poległ lub zginął na przykład w pojedynku.

- I właśnie teraz popełnił samobójstwo?

- A, no tak.

- Czy to nie dziwne?

- Dziwne.

- Z roszczeniami wystąpił jego syn?

- Starszy.

- Karol?
- Karol. Znasz go?
- Właściwie - nie.
- Marna kreatura.
- Rzeczywiście, jest taki dokument?
- Podobno, ale pachnie mi to mistyfikacją.
- A więc, Karol Nieborowski... Tak...
- Widzę, że to cię poruszyło.
- A, nie ważne.

- Zapamiętałem ten szczegół, ten... incydent, bo mam o Nieborowskim jak najgorsze zdanie. I, w ogóle... to przykra dla mnie historia. Widzisz, żadna tajemnica... Za Karola wyszła córka mego przyjaciela, kolegi z ławy szkolnej. Robiłem, co mogłem, żeby to małżeństwo udaremnić, ale... jednak pobrali się.

- A, co się stało z tym przyjacielem?

- Umarł przedwcześnie, pozostawiając żonę i córkę, Potem umarła - też przedwcześnie - żona, a córka... fatalnie wyszła za mąż. Stąd znam Nieborowskich.

Gołmont patrzył tępo w przestrzeń. Siedział bez ruchu.

- Pana to martwi? - rzekł nie zmieniając pozycji.

- Bardzo. Józef Feluś, świętej pamięci mój przyjaciel był cichym, skromnym człowiekiem, z gruntu uczciwym. Jako lekarz zajmował się raczej biedotą, więc mało zarabiał. Nie zostawił wiele umierając, a bardzo chciał, żeby córka miała lepsze życie. Obiecałem mu, że będę jej pomagać.

- Przecież wyszła za bogatego człowieka, więc życie

ma lekkie.

- Chodzi o co innego. - Huget mówił wyraźnie zmartwiony. - Pieniądze, pieniądze... Do szczęścia trzeba czegoś więcej. To niedobrana para. Ona - artystka, wrażliwa, a on - brutal, człowiek marny.

- Czemuż więc nie weźmie z nim rozwodu? - zapytał Gołmont niby to obojętnie. - A, może też odseparować się. Od zaraz. Narzeka, ale jest z nim.

Huget kręcił głową. Coś go dręczyło.

- Tak się tylko mówi. Ona żyje w ustawicznym strachu. Ten okropny człowiek grozi jej, że... Ale, po co ja ci o tym mówię?

„Po co?” myślał Gołmont. „Właśnie. Po co? Teraz już mi lżej, jakoś dam sobie radę, ale lepiej o niej nie mówić. I nie widywać. Posiedzę jeszcze dzień, dwa w Warszawie. Potem zaszyję się gdzieś. A jak to nie pomoże, wyjadę znów daleko”.

- Widuje ją pan, profesorze?

- Rzadko. Ona jest harfistką. Gra w orkiestrze symfonicznej. To niepospolita kobieta. Wszystko układa jej się teraz znośnie, i tylko ten mąż...

- No cóż, jest to kobieta młoda, piękna, urzekająca, więc mężczyźni... Wiesz... - ciągnie ich do niej, ale nie przypuszczam żeby robiła coś co rzucałoby cień na reputację. Zresztą... trudno się dziwić, że szuka towarzystwa. Kto przebywa pod jednym dachem z Karolem Nieborowskim ten może zrobić wszystko w odwecie losowi. On ją bił. Czy ty pojmujesz? I zgwałcił ją

na dywanie po zażartej walce. - Huget zacisnął pięści. - Tak, kiedy dowiedział się, że umówiła się z tobą - zgwałcił ją, bo wiesz, że ona sypia oddzielnie. Pytasz dlaczego siedzi z nim pod jednym dachem. Odpowiedź nie nastęcza trudności: zapowiedział, że jeżeli odejdzie od niego, to znajdzie ją nawet za granicą, i - zabije. To jego słowa, a on gdy o to chodzi, słów nie rzuca na wiatr. To monstrum. - Po krótkiej pauzie, Huget dorzucił: - Udajesz, że jej nie znasz, ale... to bez sensu. Mówiła mi, że spotkaliście się, więc rozmawiaj ze mną szczerze. Monti, ja ciebie rozumiem... Widzisz, tak już jest - róże cudownie pachną, a jednocześnie kolą do krwi; można jej wiele zarzucić, ale najpierw trzeba wszystko zrozumieć. Ona ma dwadzieścia sześć lat. Pomyśl: młoda kobieta, która chce żyć, skazana została na niewolę u zniechęconego tyra. Zanim ją potępisz - spróbuj zrozumieć. Człowiek często błądzi, ale nie zawsze oznacza to, że jest zły, zepsuty albo głupi. Errare humanum est.

* * *

Gołmont wrócił do hotelu, zjadł kolację, wziął kąpiel i położył się. Czuł, że właściwie postąpił, wyjeżdżając z kraju na dłużej, wszakże zadowolenie ominęło go i tym razem, bo skutek był mizerny. Wyjeżdżając daleko, chciał odejść jeszcze dalej, a teraz po powrocie ogarniał go znów wichor rozprasający zasady i postanowienia, a walka z

huraganem rzadko uwieńczona zostaje zwycięstwem. Zawsze hołdował tezie, że kto ucieka, ten przegra z sobą samym, nawet jeżeli wygrywa z innymi, bo ucieczka nie niszczy przyczyny, tylko ją odsuwa.

Nadeszła godzina myśli, pytań i postanowień. Wszystko stało w miejscu, a nawet szło do tyłu. Jedno tylko już było załatwione: zerwał z Olatyńską. Postąpił brzydko, ale mądrze, wyzwalając siebie i oszczędzając Hance rozczarowań. Dopiero kiedy zobaczył Zytę, zrozumiał, że myśl o małżeństwie z Hanką była kardynalnym błędem. Małżeństwo to przyniosłoby jedynie duszną atmosferę klęski życiowej, beznadziejną codzienność, a także poczucie winy. To jedno zdołał ominąć. Ale, tylko to. A, poza tym? A, w ogóle? Gdzie był, dokąd szedł, co miał przed sobą? A, czego w swoim życiu dokonał? Jak to się stało, że mając czterdzieści lat musiał sobie zadać takie pytanie? Jak to się stało, że będąc człowiekiem zdolnym i zdrowym znalazł się oto tego wieczora w obcym miejscu, w jakimś hotelu sam, zagubiony wiedząc na pewno, że otacza go pustka, że wrócił z daleka, ale nadal jest daleko, tu, to znaczy gdzieś, właściwie - nigdzie? Pustka. Tylko pustka. Zmarnowane lata, trochę ulotnych przeżyć i wieczna Tęsknota do czegoś, co nawet nie miało imienia. Cisza. Nikt nie mówi, nikt nie woła, jakby powiedział poeta. Nikt bliski, nikt kto mógłby wypowiedzieć dobre, kochane słowo ogrzewające serce. Obojętność świata, nie licząc paru ludzi, którzy go lubią i gotowi są dać mu miły uśmiech, który oznacza

tylko to, tylko uśmiech i nic więcej. Imię miała tylko kobieta pozostająca w jego marzeniach, chociaż chciał ją zgubić. A jednak od tej kobiety nie mógł zaczynać nowego rozdziału życia, bo brakowało tego, co najważniejsze: zaufania. „A jeżeli zostałem w jej myślach?” powiedział do siebie z nadzieją. „Jeżeli zostałem na zawsze? Na zawsze? Potem dowiedziała się, że mnie zabili przemytnicy, więc siłą rzeczy musiałem odejść w nieistnienie, tam, dokąd czasem tylko zagląda wspomnienie. Bieżący dzień zawsze zwycięża, a człowiek żywy, wychodzący naprzeciw, zawsze jest tym, kto jest, podczas gdy ten, kto był, jest już tylko tym, kto - był. Czyż można sobie wyobrazić Zytę żyjącą wyłącznie wspomnieniem, w dodatku jednym wspomnieniem, jednym wieczorem? Czyż można tego oczekiwać? Zyta? Zyta tęskniąca do mocnego istnienia w jedności z mężczyzną? Absurd!”

Gołmont palił papierosa po papierosie. Chodził wzdłuż pokoju, pełen był siebie i tym wyraźniej czuł, że z wszystkich stron dotyka go jedno wielkie nic.

„Co zrobić?” myślał. „Od czego powinien zacząć? W jaki sposób odnaleźć się w miejscu - moim? A może powinienem pracować dla dobra publicznego? Może i powinienem... ale... Może jednak pozostać przy podróżach - pisać o tym, oddać się temu całkowicie? Przybliżyć ludziom to - tamto - cały świat, o którym tak mało wie u nas przeciętny człowiek? Przecież to jedno potrafię. Tak. Tylko to. Tylko. A reszta, ta cała reszta, ważna, moja

reszta odnajdzie swoją dróżkę wśród wielu zakrętów. Jakoś to będzie. Coś nastanie, coś się wydarzy, coś przyjdzie. Ale nie tu. Tu - nie. Trzeba wyjechać. Uporządkować sprawy majątkowe i - wyjechać. Ten Omulewicz... Muszę zobaczyć co to za człowiek. Może będzie dobrym administratorem. Porozmawiam. Raz w miesiącu przyjedzie do mnie do Marsylii, ja też tu wpadnę od czasu do czasu. A ja... Teraz napiszę wstępną książeczkę bogato ilustrowaną. Ludzie będą to czytać. Egzotyka. Tak. Zawsze czyta się chętnie to, co przynosi jakąś inność, byle zrozumiałą, nie odbiegającą od pragnień, uczuć, od tego, co jest w kręgu doznań i myśli. Tak zawsze było i tak chyba będzie. Trzeba zacząć. Robić coś, robić. Potem znów wyjadę, zorganizuję wyprawę na szerszą skalę. Wezmę jakiegoś naukowca, może dwóch. Postawię konkretny cel. Tylko to. Tylko to".

Nastał wieczór. Potem zapadła głucha noc.

Gołmont biegł myślami daleko, ale wychodził od teraz, od dziś. I poczuł, że jest mu lżej. Uchwycił coś, co dawało mu oparcie. Wiedział, że jest to droga mogąca dać zadowolenie i poczucie przydatności. Będzie robić to i dla siebie, i dla innych ludzi. „To tak wiele" myślał. „Dać coś z siebie. Żyć nie tylko dla swoich doznań. Poczuję więź z ludźmi. Nie będę taki samotny. Nie będę? Przyjdę i stanę? Nikt nie stoi. Wszyscy biegną, wszystko się zmienia. Każdy czegoś chce i w tym chceniu jest sam. Ale... zawsze trochę... A, już to, że się coś robi, tak wiele znaczy. Byle wyrwać się z pustki. To jest najgorsze".

Usnął nad ranem. Zmęczony rozterkami pograżył się w mocnym, krzepiącym śnie tak bardzo, jak tylko może to uczynić zdrowy, silny organizm.

Tuż przed południem dotarły do jego pokoju jakieś hałasy. Obudził się od razu. Umiał natychmiast odzyskać przytomność, co było niezbędne w dalekich podróżach, kiedy okoliczności zmuszały do sprawnego poderwania się ze snu bardzo szybko, bo zależało od tego życie. „Ki diabeł?” pomyślał. „Nigdzie nie ma spokoju”.

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi.

Gołmont wyskoczył z łóżka i szybko włożył na pidżamę szlafrok sięgający podłogi.

- Wejść! - rzucił donośnie.

Na progu stanął właściciel hotelu, zdradzając wyraźne zakłopotanie.

- Jaśnie pan hrabia raczy wybaczyć - rzekł - ale tam - wskazał ręką za siebie - czekają dziennikarze, których nie możemy usunąć.

- No, to co?

- Oni chcą z panem hrabią rozmawiać.

- Z jakiego powodu?

- „Express Poranny” zamieścił wiadomość, że jaśnie pan hrabia nie umarł, no i...

- Ilu ich jest?

- Czterech. Z aparatami do fotografowania.

- Proszę ich zaprowadzić do salonu. Zaraz zejdem.

Gołmont przyczesał się i zszedł na dół w szlafroku i w rannych pantoflach. Zachowywał się dość nonszalancko.

- Dzień dobry panom - powiedział.

Rozległ się trzask magnezji, błysnęło kilka razy, a potem dziennikarze natarli na przybyłego.

- Pan hrabia Gołmont?

- Kiedy pan?...

- Czy wracając do kraju wiedział pan, że my, tu?...

- Jak doszło do tego?...

- Jak?

- Co to było?!...

Gołmont uciszył ich wzniesioną ręką i spokojnie usiadł w fotelu.

- Wystarczą wam pytania, czy chcecie odpowiedzi?

- Cisza! - zawołał wysoki człowiek z muszką pod szyją. - Pan hrabia nie może dojść do słowa.

- Odpowiadam na pierwszy atak - powiedział Gołmont. - Nie wiedziałem, że zaszło nieporozumienie. Doszło do tego prawdopodobnie bez czyjejkolwiek zlej woli. Tam, w dzikiej Afryce tropikalnej policja pracuje w innych warunkach i w inny nieco sposób. Informacje także zbiera się inaczej. To jest teraz bez znaczenia.

Dziennikarze notowali szybko.

- Z jakiego powodu został pan zaatakowany przez przemytników? - zapytał ten z muszką.

- Trudne życie, zagrożenie, napięte nerwy i alkohol. Tam łatwo ludzie wybuchają agresją. Byłem obcy, a obcy zawsze jest podejrzan.

- Czy musiał pan strzelać?

- Na głupie pytania nie odpowiadam.

- Przepraszam...

- Czy próbował pan najpierw uciekać? - zapytał inny dziennikarz.

- Tak. Chciałem uniknąć strzelaniny.

- Czy to prawda, że ukryła pana w swojej sypialni hiszpańska śpiewaczka?

- Tak. Sypialnia, to zbyt eleganckie określenie. Tam była przystań rzeczna zbudowana na wysokich palach. Knajpa, spelunka, mordownia z przyległościami.

- Co pan tam robił?

- Po drodze wstąpiłem na kolację - rzekł Gołmont śmiejąc się. - Miałem do wyboru: towarzystwo krokodyli lub przemytników. Płynąłem łodzią. Wybrałem to drugie.

- Miał pan ze sobą broń palną?

- Nie, strzelałem ze scyzoryka.

Rozległ się śmiech.

- Jak pan się czuje teraz, wiedząc już, że w kraju uznano pana za zmarłego?

- Czuję wewnętrzne ożywienie.

- To byli pierwsi ludzie, jakich pan zabił?

- Nie.

- Zabijał pan już przedtem?

- Nie mam w szlafroku broni, bo zabiłbym pana w tej chwili, za tak postawione pytanie.

- Proszę jaśniej.

Gołmont uderzył dziennikarza ostrym spojrzeniem.

- Nad Amazonką strzelał do mnie z łuku Indianin. Strzały zatrute są zwykle substancją zwaną curare.

Strzelałem w obronie życia. Zabiłem, panie ciekawski, żeby nie zostać zabitym. Słowo: zabić! - ma różne znaczenia. Niech pan tego słowa używa we właściwym kontekście. To należy do pańskich obowiązków.

- Czy ma pan dość podróży?

- Nie.

- Co pan teraz chce zrobić?

- Pożegnać panów. Wszystkiego najlepszego.

Gołmont wyszedł z salonu i wrócił do siebie na górę. Po drodze wziął ze stolika w recepcji pachnący jeszcze farbą drukarską numer „Expressu”.

Zapalił papierosa i czytał: „Podróżnik, hrabia Gołmont - w Warszawie. Informuję o tym wszystkich zainteresowanych z radością. Na szczęście, raport policji abidjańskiej był nieścisły - tym trzecim zabitym, był przemytnik - bandyta, a nasz wspaniały globtroter wyszedł z opresji cały i zdrowy, ale o fatalnej pomyłce policji dowiedział się dopiero po powrocie do Warszawy. Zdziwienie budzi przede wszystkim to, że podróżnika uznano za zabitego, nie dokonawszy ekshumacji i identyfikacji. Nikt nie pojechał do Afryki w tym celu, a przecież od tego należało zacząć. Profesor Antoni Huget”.

* * *

Gołmont, ogolony starannie i ubrany z wyszukaną elegancją, zszedł do restauracji na śniadanie. Potem ruszył spacerkiem do hotelu „Europejskiego” gdzie przedtem

mieszkał, wyprowadził z garażu swój samochód i pojechał na Nowy Świat. Z budki zatelefonował do Nieborowskich i dowiedział się od służącej, że w domu jest tylko pan. O to mu chodziło.

Szybko wbiegł po schodach i zadzwonił do drzwi. Po chwili znalazł się w pokoju, gdzie siedział nad gazetą Karol Nieborowski.

Zamknawszy za sobą odrzwia, Gołmont stanął przed gospodarzem, na którego włochatej twarzy zakwitł rumieniec oburzenia.

Grubas zerwał się z miejsca.

- Jakim prawem pan mnie nachodzi?!

- Prawem Kaduka - powiedział Gołmont z zimnym uśmiechem wywołującym u ludzi dreszcz strachu.

- To karygodne! Proszę opuścić mój dom.

- Zamknij pysk i słuchaj. Spotkałem się z twoją żoną, żeby prosić ją o lekcje muzyki. Odmówiła mi kategorycznie i nawymyślała, biorąc to za podstęp z mojej strony, za pretekst do spotkania. Kazała mi iść precz. A ty, zamiast podziękować, upokorzyłeś ją, sponiewierałeś. Powiedział mi o tym profesor Huget.

- Wynoś się!!! - ryknął Nieborowski.

- Za to muszę cię ukarać. - Gołmont chwycił za klapy bonzurki potężnego przeciwnika i potrząsnął nim, a następnie, raz po razie, wymierzył mu kilka policzków, kończąc jednym tylko mocnym uderzeniem, po którym grubas zwałił się na podłogę, brocząc obficie krwią. - Jeżeli jeszcze raz dotkniesz jej - powiedział Gołmont,

wychodząc wolnym krokiem - to zamienię cię w kupe drgającego mięsa. Zapamiętaj. - Rzucił swój bilet wizytowy. - Mój adres. Jutro czekam na sekundantów.

* * *

Po wyjściu, Gołmont przeniósł się do hotelu, w którym zwykle rezydował. Był to jego stały adres, kiedy przebywał w Warszawie. Z początku chciał ukryć swój powrót i dlatego wynajął pokój gdzie indziej, ale teraz sytuacja zmieniła się zupełnie, a po awanturze z Nieborowskim, należało czekać na jego mandatariuszy w celu ustalenia czasu i warunków pojedynku.

Telefon dzwonił bez przerwy. Wszyscy znajomi wiedzieli już, że wrócił cały i zdrow, chcieli jednak usłyszeć jego głos.

Jaśminowicz wrzasnął tylko do słuchawki: - Zaraz u ciebie będę! - i rzucił ją, by po kwadransie wtoczyć się do apartamentu z wielkim szumem i sapaniem.

Gołmont otworzył ramiona.

- Jak się masz grubasie?!

- Ty siary łobuzie!

Usiedli wzruszeni, syci uścisków.

- Uwierzyłeś w tę bajeczkę?

- Trudno mi było.

- A!

- Z początku... Ale potem Tański, człowiek stateczny... Przywiózł wiadomość z Paryża. Prefekt policji... Tfu!

Gołmont zapalił papierosa.

- No, cóż, nie tak znów wiele brakowało.

- Szczęście, że kropisz celnie. Gorąco było?

- Tak. Diabli wiedzą co ich rozjuszyło. Amok.

- Tropikalny amok?

- Coś w tym rodzaju. Kiedy zaczęli strzelać - nie miałem wyboru. Zawsze w podróży noszę mój wielki rewolwer, więc zacząłem grzać, ale spokojnie.

- Bez popłochu?

- Popłoch, to zguba.

- Ty rekinie-ludojadzie! Wiesz, oni pewnie myśleli, że ich szpiegujesz. Wzięli cię za tajniaka. Szakale!

- Może.

- Ech, ty draniu! Tyle mi siwych włosów przybyło.

- Do twarzy ci.

Jaśminowicz tryskał radością.

- Mam trzydzieści pięć lat, a łeb siwieje. Wniosę sprawę do sądu o odszkodowanie.

- Najpierw będziesz moim świadkiem.

- Co? Pojedynek? Teo?

- Jaki tam Teo! Nieborowski jutro mnie wyzwie.

- Z powodu?

- Dowiedziałem się, że tuż po moim wyjeździe pastwił się nad...

- Zytą?

- Wiesz?

- Wszystko wiem.

Gołmont zmarszczył brwi.

- To z mego powodu. Musiałem mu dać po pysku.

- Dziś?

- Dziś. Przed godziną. Złożyłem mu wizytę.

- No, tak... - Jaśminowicz spochmurniał. Widać było, że ma coś do powiedzenia, ale nie kwapi się, żeby mówić, i wolałby tego tematu nie poruszać. Nie mógł jednak przemilczeć tego, czego przemilczeć nie można. Sapał, rozluźnił krawat i rozpiął koszulę pod szyją. Wreszcie z sztucznym spokojem zapytał: - Mam nadzieję, że zrobiłeś to tylko dla zasady?

- Uhm.

- Mam nadzieję, że panią Nieborowską pozostawisz jej własnemu losowi, że już jest dla ciebie osobą spotkaną przed wiekami, przypadkowo i niepotrzebnie.

- Co o niej wiesz? - zapytał Gołmont wprost.

- Dajże spokój - zawołał Jaśminowicz. - Takie pytanie w ustach pana hrabiego?

- Nie owijaj...

- Monti! Daj spokój. Z tego wyrasta afera. Koszmarna afera, która prowadzi do piekła. O co chodzi? To jedna z wielu kobiet chodzących po tej ziemi. Zmień kurs! Tyle jest innych ludzi, innych rzeczy... Nie rozumiem cię.

Gołmont zajrzał w oczy przyjacielowi tak, że przeszył go na wylot. Nikły, bardzo dziwny uśmiech pojawił się na jego twarzy, ale szedł od niego mróz.

- Est-ce possible?

Jaśminowicz opuścił wzrok.

- Tak, Monti. Miejsmy to już za sobą. Ja też wpadłem

niespodziewanie i jak gradowa chmura do Nieborowskiego, żeby go zwymyślać, ale nie zastałem. Szukając tego drania, wtargnąłem niechcący do buduaru, gdzie siedziała na wpół rozebrana w obecności na wpół rozebranego skrzypka Jamarowa będącego w Warszawie na gościnnych występach. To miało miejsce niedawno. Konsternacja, kilka ostrych słów, i trzasnąłem drzwiami. Mówię o tym, bo tylko ze mną możesz o tym rozmawiać, bo jestem ci bratem. Nie ma tu jej winy, bo ona już taka jest. Zresztą w ten sposób ucieka od męża, nie mogąc uciec inaczej. A, ty... jako martwy byłeś już tylko we wspomnieniach, gdzieś - w nierealnym świecie. Czy to może dziwić?

Gołmont wstał, podszedł do okna i zapatrzył się w dal, jak ktoś, kto wolałby zostać sam.

- Masz rację, Rafale - rzekł krótko.

- Właśnie ukazała się recenzja, a przy okazji poinformowano, że Jamarow opuścił już Polskę i jest w drodze do Ameryki, gdzie ma osiąść na stałe. Już mu nie wystarcza Europa. Ani Lucrezia Borgia.

- Jamarow nie interesuje mnie - powiedział Gołmont stojąc wciąż przy oknie i błędząc spojrzeniem daleko.

- A..?

- Też - nie.

- Zabijesz Jamarowa?

- Jego? Za co? - Słowa Gołmonta padały w przestrzeń.

- Nie.

- A kogo? - zapytał Jaśminowicz z lękiem.

- Nikogo. Nie można zabić istoty, która nie istnieje.
N'en parlons plus.

XI

Pod koniec czerwca Nieborowska miała szczególnie dużo pracy. Kończyły się dość wyczerpujące próby „Symfonii fantastycznej” w pięciu częściach Hektora Berlioza, a jednocześnie zaczęła wraz ze starszym kolegą z zespołu, przygotowywać „Koncert C-dur” na flet i harfę Mozarta, a dawało to jej szczególną satysfakcję, ponieważ kierownictwo artystyczne włączyło ten koncert do repertuaru właśnie z myślą o niej.

Przychodziła do Filharmonii wcześniej, a niezależnie od tego, dużo czasu poświęcała instrumentowi w domu. Była bardzo zadowolona, nie szczędziła sił, a jej oczy błyszczały.

Przyzwyczajona do komplementów i hołdów mężczyźni, reagowała na nie konwencjonalnym uśmiechem, życie towarzyskie ograniczyła. Wcześniej chodziła spać, a męża w ogóle przestała dostrzegać. Od dnia kiedy ją posiniaczył i zgwałcił, zamykała się w sypialni na klucz, nie odpowiadała nawet na jego pytania, a usłyszał od niej tylko raz i to kategoryczną zapowiedź, że jeżeli się do niej zbliży, to ugodzi go nożem, nawet gdyby miała potem pójść do więzienia. Pokazała mu sztylet, który zawsze tkwił w jej torebce. Od tej pory miała względny spokój, nie licząc próśb i błagań. Jadała

też oddzielnie, nie licząc obiadu.

W życiu tajemnie osobistym układało jej się jak najgorzej. Była sama i nie dostrzegała nikogo, kto mógłby rozniecić jej uczucia. Po wyjeździe Gołmonta, uczyła pustkę, co ją nawet zdziwiło, bo tak krótka znajomość, kiedy mijała, przechodziła zawsze bez echa. Tym razem nie tylko nie zapomniała na drugi dzień, ale przeciwnie - poczuła żal, a po otrzymaniu listu, w którym hrabia wyjaśnił jej powód ucieczki, zdecydowana była gwałtownie zaawansować ich znajomość, żeby tylko wrócił do kraju. W tym celu chciała nawet napisać do niego tak, jakby znali się długo i jakby miała do niego prawo. Myślała o nim nocami. Z początku zaczęła tęsknić. Przypominała sobie jego oczy, jego uśmiech, jego męską postać, wreszcie to, co zrobił w tańcu i pragnęła go tak gorąco, że nie poznawała siebie. A kiedy nadeszła straszna wiadomość, że został zabity, płakała całą noc i zdawało się jej, że świat spada w przepaść. Ogarnął ją smutek mocny jak śmierć. Ale życie płynęło, a w dzień znowu na niebie jaśniało słońce. Wspomnienie zbladło, odchodziło i przestało ją ogrzewać. Czasem tylko odezwało się westchnieniem. Gołmont przestał żyć w jej świadomości. Zszedł głębiej, i nawet nie wiedziała o tym, że pozostał, tylko tam, dokąd codzienne myśli i uczucia nie zagląday. A potem spotkała Jamarowa. Był żywy. Był blisko. Był w stanie wejść promieniem życia w samotność. I tak się stało. Romantyczny młody człowiek pociągnął ją ku sobie, rozproszył ciemną pustkę, zasłonił

sobą znienawidzonego męża. Pewnego dnia, kiedy byli sami w hotelu, oddała mu się bez wahania. Rozkosz płciowa wypełniła ją gwałtownie, ale przecież musiała zgasnąć. A następnego dnia pustka wróciła. Jeszcze czarniejsza. Ratunkiem mogła być tylko następna próba. Nieborowska poszła znów do hotelu i Jamarow zrobił znów to czego chciała, jednakże stosunek nie przyniósł jej orgazmu, za to tym większe rozczarowanie. Wtedy ogarnął ją strach. Dlaczego? Dlaczego nie mogła siebie odnaleźć z silnym, młodym mężczyzną? Pomyślała: „To tylko zwykła niedyspozycja, brak nastroju, brak miłosnego preludium. Muszę w nim odnaleźć szczęście. Odnajdę”. Wtedy, korzystając z nieobecności męża, przyprowadziła do siebie Jamarowa i zaczęli się do siebie zbliżać. Ale los przygnał Jaśminowicza. I wtedy nastąpiła katastrofa: po krótkim incydencie, do zbliżenia już nie doszło. To trzecie liaison pozostało w sferze zamiarów. Ona wpadła w rozdrażnienie, on - delikatny i romantyczny, włożył marynarkę i usiadł zbity z tropu, a także urażony. Rozmawiali jeszcze trochę, ale rozmowa zeszła na inne tory. Przed nim była ciekawa, ekscytująca podróż artystyczna do Nowego Jorku, a ona miała następnego dnia męczącą próbę, a w domu codziennie człowieka, który przepełniał ją wstrętem. Im cieplej mówił Jamarow o swej przyszłości, tym więcej goryczy zbierało się w jej sercu. I wówczas poczuła, że młody przystojny skrzypek jest tylko młodym przystojnym skrzypkiem. Niczym więcej. A kiedy zaproponował, żeby

uciekła z nim do Ameryki, nagle z oczu popłynęły jej łzy, bo poczuła że tak naprawdę tego nie chce. Nie chciała z nim jechać i było jej źle. Tak bardzo źle, że nie mogła się uspokoić. Kazała mu wyjść raz na zawsze. Jamarow wyszedł, a ona poczuła ulgę. Stało się coś, czego nie mogła pojąć. Pojęła to nazajutrz. Nagle zrozumiała, że minął czas, kiedy było dla niej czymś normalnym iść do łóżka z byle mężczyzną. Ten czas minął. Teraz potrzebowała miłości. A Jamarowa nie kochała. „Kiedy nastąpiła ta przemiana?” myślała. „Kiedy?” I nagle, z mroku, z daleka przyplęło wspomnienie. Czarny, smagły mężczyzna z dziwnym uśmiechem na twarzy, takim, jakiego nie można jednak zupełnie zapomnieć, stanął gdzieś w sercu zamglonym obrazem. Stał i nic. Tylko stał. Ale to wystarczyło. Nieborowska rzuciła się na kanapę i zaczęła spazmatycznie szlochać.

* * *

W Filharmonii była zawsze ożywiona, więc dążyła do tego, by przebywać tu jak najdłużej. Męża bała się, starając się jedynie nie okazywać swej słabości, żeby go nie ośmielać. Szukała różnych pretekstów i każdy był dobry, byle tylko przyjść wcześniej i pozostać dłużej. Koncert Mozarta przyniósł jej więc podwójną radość. Teraz wychodziła z domu zaraz po śniadaniu, a potem szła gdzieś zwykle do cukierni, umówiwszy się poprzedniego dnia ze znajomymi. Zaprzyjaźniła się z

flecistką Heleną Rybką, mężatką, żoną znanego dziennikarza. Pogodne usposobienie Heleny odpowiadało jej bardzo, a ponieważ miały tak wiele wspólnego a znajomość ta trwała od dość dawna, spotkania ich weszły niemal w zwyczaj, bo miały miejsce już wcześniej. Rozmawiały ze sobą szczerze i o wszystkim, i nie zawsze były zadowolone, kiedy ktoś przychodził, żeby się dosiąść.

- Dziś mamy drugiego lipca - powiedziała Helena.

- Jeszcze miesiąc, a potem przerwa. Wyjeżdżasz?

Nieborowska wzruszyła ramionami.

- Gdybym miała normalną sytuację... To będzie najgorszy miesiąc.

- No, tak... Twój zacny mąż...

- Dziś jest wściekły.

- Co znowu?

- Coś się stało. Mówiła mi służba, że upadł i rozbił sobie głowę.

- To świetnie - zawołała radośnie Helena. - Może utraci pamięć i przestanie cię uważać za żonę?

Nieborowska westchnęła znacznie mniej rozbawiona.

- Niestety, opuchła mu tylko twarz, nie mózg. To zwierzę ma żelazne zdrowie.

- Zytą, jedź z nami nad morze. Pójdę z tobą do twego cerbera i wytłumaczę, że musisz odetchnąć w innej atmosferze, a ze mną i z moim mężem nic ci nie grozi. Ani jemu. Zrozumie to.

- Wątpię, ale byłabym ci wdzięczna.

- Załatwione. Patrz - Helena wzięła z sąsiedniego stolika gazetę, którą ktoś pozostawił po przeczytaniu. - Wszędzie tu pełno ogłoszeń. Eleganckie pensjonaty czekają na nas. O, tu na przykład: „Tęcza” - luksusowy pensjonat z widokiem na morze - zaprasza. - Rozłożona gazeta zajęła pół stolika. Na lewej stronie skakały do oczu czarnym drukiem sensacyjne tytuły. - O, albo tu: pensjonat „Eden”...

Nieborowska spojrzała na „Express” i krew uderzyła jej do głowy. Bez słowa wyrwała Helenie dziennik i zaczęła czytać: „Hrabia Gołmont udzielił wywiadu, ale ograniczył czas. Powiedział tylko, że strzelał w obronie życia, a przemytników było wielu. Powrócił do kraju, żeby...”

- Co tobie? - pytała zdziwiona Helena.

Nieborowska łapała powietrze otwartymi ustami i porzuciwszy gazetę, wodziła ręką po rozpalonej twarzy.

- On mu to powie...

- Co? Zyto?

- Jaśminowicz...

- To nic.

Nieborowska uświadomiła sobie dopiero w tej chwili, że Gołmont żyje, że jest, że oddycha, istnieje. Jak na ekranie przesuwały się przed jej oczami sceny z ich jedyne go spotkania. Znow widziała wyraźnie jego śmiałe oczy, jego uśmiech ledwo widoczny, ale taki, jakiego nie ma nikt poza nim. Ta świadomość obezwładniła ją. Była przez chwilę poddana temu, co się ma wydarzyć, ale tylko

przez chwilę. Wkrótce doszła do siebie.

- Boże, co ja bym dała, żeby to się nie wydarzyło - rzuciła ostrym szeptem ni to do siebie, ni to do Heleny.

- Ale, co się stało? Powiedźcie mi wreszcie.

- Gołmont żyje.

- Ten, co to wtedy o te lekcje, a potem byłaś z nim na kolacji?

- Tak.

- Gołmont? To ten podróżnik?

- Tak.

- Zmartwiło cię to?

- Zwariowałaś?

- No, więc co?

Nieborowska pocałowała Helenę w policzek i podniosła się nagle:

- Idę!

- Dokąd ty? Zaraz próba.

- Powiedz, że dziś nie przyjdę.

- Ale... Zyta!

- Niech się dzieje, co chce. Pa!

* * *

Słońce wspięło się już wysoko. Z bezchmurnego nieba spływało wszechogarniające ciepło, miękko i bezwietrznie. Nadchodził czas kanikuły.

Nieborowska, w białym obcisłym kostiumie, z niesforną falą włosów pod rondem kapelusza, mijała

szybko ludzi, stukając wysokimi obcasami. Szła jak gwałtowny, odurzający wiatr. Mężczyźni ustępowali jej miejsca na chodniku, niektórzy kłaniali się, choć nie wiedzieli kto to jest, inni wlepiali w nią wzrok i dopiero wracała im przytomność po kuksańcu żony, która meła w ustach przekleństwa pod adresem „lafiryndy”.

Portierzy przy wejściu do „Europejskiego”, obudzeni momentalnie z przedpołudniowego letargu, skwapliwie otwierali drzwi, prześcigając się w informacjach: „Pan hrabia Gołmont jest jeszcze w hotelu”, „pan hrabia zszedł już na śniadanie”, „pan hrabia siedzi przy stoliku, o - tam”, „proszę uprzejmie, ja zaprowadzę panią hrabinę”.

Ona, nie odwracała głowy, niemal biegła; jakiś leciwy lowelas z panamą w ręku, omal nie spadł ze schodów na widok białego wiatru z czarną grzywą.

Sala była pusta. Tylko Gołmont jadł późne śniadanie. Siedział chmurny. Za filarem stali dwaj kelnerzy, nie spuszczać go z oczu, by natychmiast podbiec na skinienie jego ręki.

Nie zauważył jej, kiedy weszła.

Stała nad nim. Dopiero teraz podniósł wzrok. Coś, jakby cień przemknęło po jego twarzy, ale trwało to ułamek sekundy. Drugą reakcją był już kamienny spokój.

Wstał i pochylił w milczeniu głowę.

Podła mu rękę, którą pocałował lekkim, nieczułym muśnięciem warg, tylko tak, jak nakazywał konwenans.

- Dzień dobry - powiedziała.

- Zechce pani usiąść - rzekł chłodno, skłoniwszy się

raz jeszcze.

Nieborowska spojrzała mu prosto w oczy, ale zobaczyła w nich Antarktydę, więc spuściła wzrok, usiadła i pośpiesznie osłoniła się maską.

- To radosna wiadomość - powiedziała - ucieszyła chyba całą Warszawę.

Gołmont podniósł nieznacznie rękę, i natychmiast przybiegł kelner.

- Napije się pani czegoś, czy..?

- Kawy ze śmietanką.

Gołmont uczynił wymowny gest w kierunku kelnera, i ten zmknął, aby po chwili przynieść na srebrnej tacy dzbanuszek z kawą, śmietanką i filiżanki.

- Pani tak wcześnie?

- Tak.

- Przed próbą?

- Tak - w głosie Nieborowskiej nabrzmiewała nuta żalu przechodzącego w agresję. Nie umiała tego powstrzymać w sobie. Jej ciemne, ogromne oczy migotały jak u osaczonej pantery. - Przed próbą, która już się zaczęła.

- Je suis charme vous revoir.

- Sans doute - rzuciła z gryzącą ironią.

Gołmont siedział nieporuszony, z kamienną twarzą, i smutkiem w oczach. Walka nie przynosiła mu ulgi, a jeśli i to robił, to tylko dlatego, że pragnął zachować dystans, żeby nie mogła zajrzeć mu do serca.

- Wszyscy wyjeżdżają na wakacje - powiedział - a

kiedy filharmonicy?

- Po zakończeniu prób.

- Oczywiście. Co przygotowujecie państwo dla swoich bywalców - melomanów?...

- Trochę hałasu - ucięła ostro. - Panu to nie zagraża, ponieważ nie jest pan melomanem.

- Istotnie.

- Woli pan muzykę w afrykańskich spelunkach przy akompaniamencie strzelaniny.

- To nie jest takie złe.

Nieborowska czuła, że musi smagać słowami, chociaż bolało to także ją. Musiała wyładować swoją złość na siebie i na niego. Musiała też szukać ratunku, bo wiedziała, że Gołmont odchodzi w nieznane i na zawsze. Instykt podpowiadał jej, że wszystko będzie lepsze od pokory.

- Pan naturanie, jest zadowolony.

- Widzi pani, Afryka mnie pociąga, a Filharmonia odpycha. Powiem więcej, wolę przemytników od artystów.

- Pan bardzo uprzejmy...

- Szczery, pani hrabino, szczery.

- Zawsze?

- Często.

- Szczery i sprawiedliwy?

- Nie. Sprawiedliwość, to domena sędziego; Ja nie potrafię wyzbyć się egoizmu.

- I podłości. To idzie w parze.

- Żeby nie ranić moją podłością delikatnych uczuć mieszkańców Warszawy - często wyjeżdżam do krajów tropikalnych.

- I tu przejawia się wielkoduszność niedoścignionego Gołmonta, tak?

- Na moją miarę. Z wielkodusznością artystów konkurować nie mogę. Nie jestem megalomanem.

- A może pan artystów nie zna dostatecznie i stąd pańskie nastawienie.

- Sam decyduję kogo poznać. Na szczęście.

Nieborowska zaatakowała wprost:

- Przypominam sobie, że telefonował pan kiedyś do pewnej artystki, chcąc ją poznać. To była pańska decyzja.

- Człowiek często błądzi - rzekł zimno Gołmont.

- Błądzi?...

- Czasami nawet - fatalnie.

- Pan żałuje tego telefonu? - spytała z napastliwością istoty rozżalonej.

- Chyba najbardziej żałuję tego telefonu.

- Pan to tak lekko mówi?

- Pani ma najmniej podstaw, żeby się temu dziwić - powiedział ostro. - Zakończenie partytury napisałem nie ja. Teraz, sala koncertowa jest już pusta. Słuchacze wyszli. Każdy poszedł do siebie.

- Zakończenie, tak panie hrabio?

- Tak, pani hrabino.

- Żegnam pana - rzuciła Nieborowska i szybko wyszła.

* * *

Kiedy znalazła się na ulicy, roztrzęsiona, pełna żalu, pomyślała natychmiast: „On teraz wyjedzie. Wyjedzie. Na pewno zaraz wyjedzie. I nie dowiem się dokąd. I nie będzie go. Wyjedzie. Tak, to do niego podobne. Wyjedzie! Nie rozumie, nic nie rozumie. Na jak długo? Może na długo, może na zawsze. Co wtedy? Co wtedy? Może zdążę... List, posłaniec. Szybko”.

Weszła do najbliższej restauracji, bo nie było nic innego.

- Kelner! - zawołała.

- Słucham panią - zapytał stary człowiek z serwetką na przedramieniu.

- Prędko! Papier listowy i kopertę. Jakikolwiek papier.

- Nieborowska wcisnęła mu do ręki pięć złotych. - Niech pan biegnie do właściciela, do kierownika. Prędko.

Kelner zawrócił i zniknął za kotarą, a po dłuższej chwili przyniósł wszystko, czego żądała.

- Czy to będzie właściwy papier?

- Tak. - Pochwyciła go niecierpliwie. - Dziękuję, chcę być sama.

Człowiek z serwetką odszedł, a ona wyjęła z torebki swój ołówek i zaczęła pisać:

„Monti!

To nieprawda! To wszystko było inaczej! To była tylko moja samotność i rozpacz. Tylko to. Nic więcej. Przecież Ty nie żyłeś! Zrozum, że dla nas wszystkich i dla

mnie, Ty nie żyłeś. Rozpaczałam, ale Ty nie żyłeś! Wiem, że zbłądziłam, ale zrozum mnie - to była tylko moja próba ratunku. Chciałam się wyrwać z mego więzienia, chciałam uciekać, a jednak zostałam w Warszawie, mimo że ten nieszczęsny Jamarow chciał żebym z nim jechała do Ameryki. Nieprawdą jest to co widział Jaśminowicz. Nic nie było. Tylko tak wyglądało. Właśnie wtedy kazałam tamtemu odejść. Na zawsze. Na zawsze! Monti, to jest na zawsze. Przysięgam na zbawienie mojej matki. Raz tylko zbłądziłam. Tylko raz - tak naprawdę. Monti, tylko raz. Ale to była tylko rozpacz moja i pustka, a nie miłość. Monti, przysięgam. Bez Ciebie nie ma już nic, świat jest bez ciebie obcy i czarny jak grób. Monti, przebacz. Monti, nie wyjeżdżaj, bo mnie zabijesz. Przebacz! Zatelefonuj do mnie jeszcze dziś. Czekam w Filharmonii. Czekam, Monti. Czekam. Twoja na wieki, Zyta".

Nieborowska zaadresowała kopertę i poszła z powrotem do hotelu. Nie ufała posłańcom, chociaż jeden stał właśnie na ulicy. Z czapką służbową na głowie.

Podeszła do portiera.

- Czy jest jeszcze pan hrabia Gołmont?

- Tak, pani hrabino.

Nieborowską wręczyła portierowi pięć złotych i list, który zakleiła.

- Proszę pana hrabiego odszukać. Zaraz, natychmiast, żeby nie zdążył wyjść. Ten list oddać do ręki. Jemu do ręki.

Portier słuchał przejęty i zdziwiony.

- Zaraz zaniosę.

- Natychmiast.

* * *

Po kwadransie była już w Filharmonii. Miała nadzieję, że Gołmont zatelefonuje, jeżeli nawet będzie mieć do powiedzenia tylko to, co przykre. Najważniejsze jednak, żeby zatelefonował. Najważniejsze żeby utrzymać kontakt.

Była zdenerwowana. Dyrygentowi powiedziała, że dziś w ogóle jej nie ma. Inni dali jej po prostu spokój, wiedząc od Heleny, że dzieje się coś, co ma dla Nieborowskiej ogromne znaczenie. Paliła i czekała, mając świadomość, że napisała list, który albo wszystko odmieni, tak jakby chciała albo pograży ją ostatecznie, zdradzając jej słabość i rezygnację nawet z własnej dumy. Wiedziała, że rzuca to na nią złe światło i może Gołmonta zrazić ostatecznie.

Sama siebie nie poznawała. Nigdy jeszcze nie zdarzyło się coś podobnego, nigdy jeszcze nie uczyniła takiego wyznania, będącego przecież upokorzeniem. I to wobec człowieka, który wcale nie powiedział, że ją kocha, który -właściwie dał jedynie do zrozumienia, że chętnie nawiązałby z nią romans, być może przelotny. A mimo to, czekała jak na zbawienie, na telefon, nawet przykry. Czekala coraz bardziej niecierpliwie. Dzwonek rozlegał

się kilka razy, jednak nie do niej. Oddawała słuchawkę ze złością, namiętnie ponagłając wszystkich, do szybkiego zakończenia rozmowy. Nie znalazł się nikt, kto by zaprotestował. Z Nieborowską nikt nie chciał zaczynać; było tajemnicą poliszynela, że mogła sobie pozwolić na każdą ekstrawagancję, na każdy kaprys, a nawet na podeptanie przeciwnika, gdyby się znalazł.

Spoglądała raz po raz na zegarek. Dochodziła pierwsza po południu. I właśnie wtedy...

- Halo! - krzyknęła do słuchawki.

- Gołmont.

- Więc otrzymał pan mój list...

- Tak. Przepraszam.

- Za co?

Z daleka dobiegło westchnienie.

- Zabrakło mi taktu. Wymagam od siebie więcej.

- Nie dbam o konwenanse - powiedziała Nieborowska przytłumionym głosem. - Tu chodzi o coś znacznie więcej.

- Tak.

- Czy pan miał zamiar wyjechać bez pożegnania?

- Tak. Zresztą... pani pożegnała się ze mną, wychodząc tak nagle. Ostatnie pani słowo było słowem: żegnam.

- Pan dobrze wie, co ono znaczyło...

- Ja w ogóle mało wiem.

- Rozmowa telefoniczna nie wystarcza mi. Czy możemy teraz spotkać się gdzieś w pobliżu?

- Tak, ale proponuję pani coś innego.

- Co? - zapytała bez tchu.

- Spotkanie za tydzień.

- Dlaczego?

- Bo dziś, znów mogłoby się nie udać. Muszę mieć trochę więcej czasu. Daję słowo honoru, że nie jest to z mojej strony wybieg.

Nieborowska odetchnęła z ulgą. Słowo honoru rozwiało wątpliwości.

- Tydzień. A zatem w następny czwartek. Gdzie?

- W parku, w Łazienkach. Zgoda?

- O której?

- Pani szczególna sytuacja wymusza wczesną godzinę, prawda?

- Tak. O dziesiątej przed południem, w pobliżu Chopina.

- Nawet, gdyby padał deszcz.

- Nawet, gdyby były pioruny. Tak? Tak. Nawet, gdyby były pioruny.

XII

Siódmego lipca Karol Nieborowski miał umówione spotkanie z Olatyńską, która nie dała za wygraną i obiecywała sobie tak dokuczyć Gołmontowi, żeby mu życie obrzydło. Zasiała już intrygi gdzie tylko mogła, ale najbardziej zależało jej na połączeniu sił właśnie z Nieborowskim, który pałał nienawiścią do wspólnego wroga, więc był naturalnym sprzymierzeńcem. Napisała

do Nieborowskiego z zapewnieniem, że zrobi wszystko, by tego „drania wiarołomnego z Dębogóry” pozbawić skrzydełek raz na zawsze.

Spotkanie nastąpiło w jednym z małych hotelików warszawskich, gdzie zatrzymała się Olatyńska.

Nieborowski przybył punktualnie. Usiedli w jej pokoju i zamknawszy szczelnie drzwi, zaczęli się naradzać:

- Długo myślałam - powiedziała Olatyńska - w jaki sposób pomścić moją biedną córkę. Towarzysko mogę mu trochę zaszkodzić, ale nie na tyle, żeby na tym poprzestać. Pozbawić go majątku nie jestem w stanie, cóż więc mi pozostało? Otóż chcę zemsty cielesnej; niech ma na pamiętkę swej podłości trwałe oszpecenie, które odbierze mu tę jego z piekła rodem męską urodę, co to tak ciągnie wszystkie ladacznice. Będą odwracały oczy na jego widok. Skończy się to ciągle: Gołmont, ach Gołmont!

Nieborowski z uznaniem pochylił swą kudłatą głowę. Ta myśl bardzo mu przypadła do gustu.

- Ciekawe - rzekł ostrożnie. - Jak do tego doprowadzić? Nie jest to rzecz łatwa.

- Proszę pana! Ja nie należę do kobiet bez serca. W karaniu trzeba zachować miarę. Dlatego eliminuję takie czyny, które zagrozić by mogły jego życiu. Mam łagodne usposobienie... Niech tam...

Kudłaty pokiwał głową.

- Jest pani szlachetną, wrażliwą kobietą. Ale, proszę jaśniej. Czym go oszpecić?

Olatyńska roześmiała się.

- Czym? Zębami.

- To znaczy, ja mam go ugryźć?

- Pańskie psy hrabiowskie. Chyba są u pana w majątku?

- Są.

- Jakie?

- Brytany. Sześć brytanów. Dzikie bestie.

- Znakomicie! O to właśnie chodzi.

- One go rozedrą na strzępy.

Olatyńska machnęła ręką.

- Nie rozedrą, bo służba je odpędzi, kiedy nadejdzie moment właściwy.

- Przecież ja ich tu nie przywiozę.

- A kto mówi, że ma je pan tu przywozić? On pojedzie. Tak, tak. Pojedzie.

- On? Do mojego majątku?

- Trzeba mu dać przynętę. Szczupaka nie złowi pan bez przynęty. Wszystko obmyśliłam.

- Ciekawe.

- A, ciekawe. Niech pan cierpliwie posłucha: pan wyjedzie ze swoją żoną na kilka dni nad morze, albo... albo gdzie indziej, a on o tym nie będzie wiedzieć, a w tym czasie wyśle pan do niego swego zaufanego człowieka z wiadomością, że... - Olatyńska spojrzała uważnie na współnika. - Ma pan kogoś, komu można zaufać?

- Mam szofera.

- Świetnie. Więc... ten pański szofer przyjedzie tu do

Warszawy i znajdzie tego szubrawca. Wręczy mu list rzekomo od pańskiej żony...

- Co?!

- Powiedziała: rzekomo!

- A...

- No, właśnie. List będzie zawierać błagalną, prośbę o pomoc... o ratunek. Że to, niby, strasznie ją pan tam na wsi maltretuje, trzyma pod kluczem, słowem: jest sponiewierana, chora, nieszczęśliwa i opuszczona. Tak! Tak właśnie będzie w tym liście.

- Gołmont może znać charakter jej pisma. Od razu zrozumie, że to pisał kto inny.

Olatyńska wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Bo też kto inny napisze ten list. Pański brat, który w jej imieniu prosi o pomoc, bo ona nie ma nawet skrawka papieru w swoim pokoju - jak już mówiłam - zamykanym z zewnątrz na klucz, żeby nie próbowała uciec. No i jak pan myśli, co Gołmont zrobi? Ten rycerz, ten dżentelmen, ten wielbiciel pańskiej olśniewającej, powabnej żony, której pupę on tak lubi głaskać.

- Co też pani...!

- A co, może nie prawda?

Nieborowski oddychał ciężko. W oczach płonęła mu nienawiść. Po chwili uspokoił się.

- I co dalej?

- Jak to: co? Gołmont pojedzie na ratunek swojej flamie. Nie przypuszcza pan chyba, że on będzie się wahać?

- A kiedy przyjedzie na miejsce - wypuści się brytany na podejrzanego włóczęgę.

- No, właśnie.

- A później dochodzenie wykaże moją niewinność, pani niewinność i brata mego, bo napisać list musi ktoś nieznan, kogo nigdy nie znajdą.

Olatyńska kiwała głową z uznaniem.

- Doskonale! Tak to ułożyłam.

- Plan dobry - rzekł Nieborowski. Ja jednak wprowadzę jedną poprawkę.

- Jaką?

- Moja służba nie zdąży odciągnąć psów. Brytany uporają się z nim w paru sekundach. To wielkie brytany.

- Coś takiego zawsze może się zdarzyć. Po to są psy, żeby pilnowały obejścia.

- Oczywiście. Tylko, trzeba postępować roztropnie i spokojnie. Wszystko musi być starannie przygotowane. Czy pani zwierzyła się mężowi lub córce?

- Uchowaj Boże.

- Tylko my dwoje będziemy o tym wiedzieć.

- I pański szofer.

- Tak...

- To mu się należy. Temu, pozał się Boże, podróżnikowi! Za to, co zrobił z moją córką - musi zostać ukarany. Potwór! Znam go od dawna. Jestem pewna, że gdyby moja córka za niego wyszła - miałyby złamane życie. To człowiek bez ludzkich uczuć, zimny egoista. - Olatyńska potrząsała lokami. - Czy pan uwierzy? Córka

moja tak to przeżyła głęboko, że nawet nie mogła płakać. Prawdziwy potwór! Zamiast wziąć sobie dziewicę, on woli uwodzić pańską żonę. Głupiec i drań! A, z tą pana służbą, to żart?

Nieborowski spojrzał zdziwiony.

- Służba?

- No, że nie zdąży?

- A! Tak, tak... To, oczywiście żart.

- Myślę.

- Ja uważam, że w ogóle, to wszystko wymyśliła pani dla żartu.

Olatyńska uniosła brwi.

- Dla żartu? Ależ ja mówię poważnie.

- Nierealne - mruknął Nieborowski.

- Rzeczy dziwaczne na pierwszy rzut oka, są często najbliższe rzeczywistości. Dużo zależy od inteligencji tego szofera. Od listu - też. List musi być napisany przez oburzonego świadka, a nie pod dyktando żony. Gołmont jest bystrym człowiekiem, więc może nabrać podejrzeń z byle powodu.

Zaległa cisza. W hotelowym pokoiku bżykała tylko mucha. Szaro-brązowa tapeta nadawała wnętrzu charakter mroczny. Było to dobre tło - dostosowane do narady. Spiskowcy siedzieli pochyleni ku sobie, ale hrabia kręcił się niespokojnie. Trudno mu było uwierzyć, że Gołmont wskoczy do samochodu i pogna do kobiety, którą prawdopodobnie wybrał sobie spośród innych na sezonową zabawkę. Należało wymyślić coś, co pozbawi

go szans, zatrzaśnie drzwi do odwrotu i uniemożliwi obronę, gdyż ten piekielnik nawet leżąc, gotów poturbować każdego.

- Trzeba znaleźć jakiś sposób, wszelako trzeba też pamiętać, że to musi być bez ryzyka. Za bardzo mi ten fagas dokuczył i za bardzo zagraża, żebym miał ryzykować.

Olatyńska myślała długo, jak gdyby szukając słabego punktu w przygotowanym przez siebie scenariuszu, ale widocznie żadnego słabego punktu nie znalazła, bo powiedziała spokojnie:

- Jeżeli uniemożliwi pan żonie kontakt z Gołmontem, to plan jest dobry. Prawda, że najpierw zacznie jej szukać w mieście, ale nie znajdzie i nikt niczego mu nie powie. Wtedy uwierzy, że wywiózł pan żonę na wieś, zwłaszcza, że mamy lato, a więc jest to rzecz zupełnie naturalna. Pan go nie zna tak jak ja. Jest moim sąsiadem, bywaliśmy u siebie, odbyliśmy wiele rozmów. Znam jego reakcje, jego spontaniczne porywy i umiejętność nagłego przejścia do spokoju, równowagi wewnętrznej.

- Tak, ale skąd pani wie, że Zyta obchodzi go nadal aż do tego stopnia? Co innego zareagować na miejscu, bez wysiłku, a co innego jechać setki kilometrów na kresy, a w dodatku do gniazda wrogów. A jeżeli nawet pojedzie, to w asyście, która wystrzela moje psy.

- Będzie ponaglać sam siebie i nie straci ani godziny na szukanie asysty. Właśnie odległość, wielogodzinna jazda skojarzy mu się z przedłużającymi się torturami

pańskiej żony. Poza tym, raz jeszcze powtarzam: wiem jaki on jest. I wiem, że lubi niebezpieczne eskapady, a nade wszystko samotne wyprawy, zdające go na samego siebie. Lubi stawać do walki sam, i nie ma nawet mowy o asyście. Pan nie ma pojęcia, co to za człowiek. Nie cofnie się przed niczym, a im większe zagrożenie, tym chętniej wychodzi mu naprzeciw. Przecież nazywają go: wspaniały Monti. Ma też wrodzoną skłonność do wypraw awanturniczych, do walki, chociaż z pozoru jest łagodny i budzący sympatię. - Olatyńska westchnęła. - Panie hrabio, on ma dziwny dar: zdobywa zaufanie z miejsca, nieraz jednym gestem, wyglądem. A, kobiety albo go nienawidzą, albo wariują za nim. Pańską żonę już złapał w sidła i przytrzyma, jeżeli pan go nie pozbawi siły i jego uroku osobistego.

- Już ja mu nie daruję - rzucił przez zęby Nieborowski, zaciskając prawą pięść. - O to może być pani spokojna. Zresztą... może i racja. Pani zna go lepiej. Jest sprytny i silny. I ma szczęście, co?

- Panie hrabio - powiedziała Olatyńska - on rzucił się z kordelasem na szarżującego odyńca.

- No i zabił?

- Oczywiście. I wiedział jak to zrobić. A jest tylko jeden sposób.

- Diabelski pomiot.

- Ale szóstce brytanów nie da rady nawet on. Wyjdzie z tego żywy, jednakże jako kaleka. A tego mu życzę za moją Haneczkę. To sprawiedliwe.

- Może i racja. Zastanawiam się tylko jaki wniosek wyciągnie z tego policja? - Nieborowski rzucił to pytanie celowo. Wiedział, że z policją nie poszłoby łatwo, gdyby Gołmont był w stanie zeznawać, ale dla Nieborowskiego Gołmont już nie istniał, ponieważ zapisał mu w duszy śmierć: brytany rozerwą go na sztuki, muszą i zrobią to, odpowiednio wypuszczone. Znał te psy. Trzymane w klatkach, wypadały na wolność jak dzikie bestie.

Olatyńska miała odpowiedź i na to pytanie.

- Bratu niczego nie udowodnią, bo nawet próba pisma wykaże jego niewinność. Panu - tym bardziej. Podejrzenie można skierować na kogoś, kto smali cholewki do pańskiej żony, a Gołmont mu w tym przeszkadza, jako rywal nie do pokonania. Dowiedziałam się, i wiem na kogo można zwrócić oczy policji.

- Kto to jest? - spytał Nieborowski z zainteresowaniem.

- Jest tu taki malarz, zakochany w pańskiej żonie. Znają się od dawna.

- Kto?

- Znam tylko imię: Teo.

- Teo?

- Właśnie. Trzeba tak list napisać, żeby podejrzenie padło na przykład na niego. Wiem też, że Gołmonta nienawidzi z całego serca, bo się pożarli o pańską żonę. Nawet bardzo.

Nieborowski zacisnął szczęki i nic nie powiedział.

* * *

Pożegnawszy się z Olatyńska, wrócił do domu. Żony nie zastał. Miał ochotę wyjść i śledzić ją z ukrycia, jednakże zrezygnował, nie mając zresztą większych szans przechytrzyć ją. Czuł, że nadszedł czas, by za jednym zamachem, rozwiązać wszystkie problemy. „Nie warto się szarpać od drzewa do drzewa, od załomu w murze do słupa z ogłoszeniami, tym bardziej, że skutek jest zwykle mizerny, lub wręcz żaden. W końcu nigdy nie udało się jej przyłapać in flagranti. To trzeba załatwić inaczej”.

Nieborowski zdawał sobie sprawę z tego, że Gołmont odbierze mu Zytę prędzej czy później, że nie ma na to rady, bo ani intryga, ani groźba nie wystarczy; ten bogacz i szczęściarz, ten podziwiany Gołmont jako przeciwnik był zbyt potężny, jako uwodziciel - poza konkurencją. Został już tylko jeden sposób. Należało go zgładzić. Ale pomysł Olatyńskiej budził wiele wątpliwości. Nieborowski wiedział, że świadkowie i wspólnicy zawsze stanowią potencjalne zagrożenia, a plan zbyt skomplikowany często zawodzi; trudno wszystko przewidzieć, często drobna przeszkoda prowadzi do załamania całej precyzyjnej konstrukcji. „Z psami może być dobrze” myślał „ale... może też coś się nie udać. Będzie rozprawa sądowa, śledztwo, policja w pałacu, cały korowód ludzi. Przy okazji mogą wyjść na jaw inne szczegóły. Brat też jest niebezpieczny. Nie, nie... Poza tym... Olatyńska będzie wiedziała o wiele za dużo. Trzeba

inaczej. Ja muszę po swojemu... No, ten jej pomysł z listem błagalnym, z wywiezieniem Zyty - nie jest zły. To można wykorzystać. Ale ta Olatyńska nie może jednak wiedzieć, jak się wszystko rozegrało".

W mrocznej duszy Nieborowskiego zaczął kiełkować nowy plan. Równie jak tamten okrutny, równie ponury. Myśli biegły: „Szofer - tak. Na niego mogę liczyć. Założmy, że przywiezie list i wręczy go naszemu rycerzykowi. To jest sprytne. Gołmont zatelefonuje do mnie a służba powie, że państwo wyjechali do Wołkowian. Wtedy z pewnością zapyta szofera dlaczego służy memu bratu, zdradzając mnie. Ten mu odpowie, że za większe pieniądze. Gołmont zapyta go czy zaraz wraca, czy zostaje w Warszawie. Na pewno wsiądzie do własnego samochodu, a przedtem wypyta tylko o drogę, zaznaczy trasę na mapie. Chyba Olatyńska ma rację - pojedzie sam. Tak... Pojedzie sam. W swoje osobiste sprawy nie wtajemnicza innych ludzi, nawet - przyjaciół. To, taki typ. Romantyczny samotnik. Tak.. I teraz trzeba coś sensownego zrobić... Tak... No cóż, w drodze może się przydarzyć to i owo. Na przykład może zostać napadnięty. Musi być wieczór, ciemno albo szarówka. Wtedy na drogach mało wozów, samochodów prawie nie ma. Jeżeli zobaczy leżącego człowieka, to chyba się zatrzyma. Nawet mimo pośpiechu... A, jeżeli - nie? To ryzykowne. Diabli go wiedzą. Może ominąć i pojechać dalej. Tak, to ryzykowne. Poza tym. może mu się zepsuć samochód, a nie wiem czy umie naprawić. To zabiera

czas. Nie. Trzeba inaczej podejść".

Nieborowski budował sieć jak pająk. Zawzięty i dokładny, pełen zapiekłej nienawiści. Jego duszę owładnęło namiętne pragnienie: usunąć ze swej drogi Gołmonta, ale tak, żeby odszedł z tego świata w męczarniach. Straszliwy uśmiech wypełził na twarz Nieborowskiego, bo przed oczami miał obraz tej męki: oto but miażdży nos, usta, policzki. Krew tryska, ból wysadza z oczodołów gałki ofiary, gałki, które już przestały być oczami. Męka. Okropna męka. Drag wali leżącego w zebra, łamie kości, ubranie miesza się z mięsem. Nóż rozcina jądra. Człowiek skręcony bólem tarza się w piachu, wyje dziko, charczy. Jego usta nie szepczą już miłych słówek oszołomionym kobietom, nie dotykają aksamitnej skóry; jego oczy nie wpatrują się w zamglone źrenice cudzej żony; jego ręce nie obejmują obnażonych pleców, po których przebiega dreszcz rozkoszy, ramion, które omdlewają, piersi, które pęcznieją nabrzmiętymi sutkami podobnymi do małych pąków róży. Taki właśnie koniec czeka tego zdobywcę, tego dumnego arystokratę, tego czarującego, owianego tajemnicą bywalca, podróżnika, rycerza.

„Zniszczę cię” myślał Nieborowski „rozdepczę twoją pyszną mordę, wypruję ci flaki, i będę je rozgniatać obcasem jak wielkie glisty. Krew twoja będzie wsiąkać w ziemię. Nędznie zakończysz żywot, ty bawidamku. Staniesz się kupą padliny i smrodu. Zdechniesz jak gad, w konwulsjach, w spazmach strachu, w szale tepej rozpaczy.

Ja to zrobię, ja".

Obrazy płynęły, jedno od drugich straszniejsze.

Po południu wróciła Zyta. Milcząc weszła do swego pokoju, w oczekiwaniu na obiad.

Nieborowski marzył. Oto po śmierci Gołmonta zabierze Zytę do swego pałacu na wsi, dopiero wtedy, i zacznie ją uczyć pokory i uległości. To już nie będzie jeden gwałt ale cała seria. Przywiąże ją do łóżka, zedrze z niej majtki i zacznie ją gwałcić, gwałcić aż wydobędzie z niej krzyk rozkoszy. „Spierdolę cię od tyłu" myślał „a ty zaczniesz spływać miłością, a ja cię napompuję spermą jak byk krowę. Zacznę cię jebać w dzień i w nocy, i zobaczymy czy mnie wtedy nie pokochasz. Rozwałę ci dupę. Zobaczysz wtedy, co to znaczy mąż. Będziesz się czołgać i lizać z podłogi ślady miłości. Zrobię z ciebie, ty kurwo, wzorową żonę".

* * *

Po obiedzie, Nieborowski położył się wygodnie przy otwartym oknie. Znów zaczął intensywnie myśleć: „Muszę uniknąć najmniejszego nawet błędu. Gołmont przyjedzie do Wołkowiec. Wejdzie do pałacu i zacznie pytać o mnie, o Zytę - gdzie jesteśmy. Na pewno będzie mieć w kieszeni rewolwer. To oczywiste. Trzeba uważać. Można by mu dać coś do picia z miksturą nasenną, ale chyba odmówi. Wie, co w trawie piszczy. Można go tylko zaprowadzić, niby to do Zyty, do narożnego pokoju, a

tam... a tam trzeba mu niespodziewanie chlusnąć w oczy kwas solny. Kiedy złapie się za twarz, można go będzie obezwładnić i wrzucić do piwnicy. Tam sobie poleży parę dni, a jak przyjadę, to go już sam popieszczę. Tak... Już ja cię urządzę... Za wszystko. Zobaczymy braciszku, lowelasku, lamparciku, kto jest lepszy. Zobaczymy. Ty bydlaku, ty draniu... Ty mnie okrwawiłeś w moim własnym domu... Zachciewa ci się mojej żony, mojej własności... Nauczę cię rozumu".

Nieborowski zdecydował ostatecznie, że trupa Gołmonta wywiezie gdzieś do lasu, byle na trasie nie wzbudzającej podejrzeń, a następnie przy pomocy swego szofera, wrzuci go gdzieś do rowu z dokumentami w kieszeni. Wszystkie pieniądze i rzeczy wartościowe zabierze, żeby upozorować napad rabunkowy. „Samochód trzeba będzie zostawić” myślał. „Policja znajdzie ciało i zidentyfikuje je bez przeszkód. List od brata, oczywiście, zostanie zniszczony. Napady rabunkowe zdarzają się dość często, więc najbardziej dociekliwy, policyjny as uzna to za zwykły akt bandytyzmu. To i owo trzeba będzie jeszcze przemyśleć. Nawet Olatynska pomyśli, że to szczególny zbieg okoliczności”.

Nazajutrz Nieborowski powiedział do żony przy obiedzie:

- Dziś jadę do domu na wieś. Myślę, że wrócę za kilka dni. Muszę zobaczyć co się dzieje w gospodarstwie. A ty uważaj...

- Oczywiście. - Nieborowska wzruszyła lekko

ramionami. - Mozart zabierze mi każdą wolną chwilę.

- Samochód i szofera biorę. Ty zostajesz w domu, więc...

- Oczywiście.

- Mam do ciebie zaufanie. Jak widzisz nie jestem najgorszym z potworów. Mam też trochę szczęścia. Los mi sprzyja.

- Tak.

- Wiem, że śmierć skrzypka jest rzeczą przykrą tak w ogóle, ale wasz romans był dla mnie ciosem. No, los okazał się dla mnie łaskawy, bo wina została ukarana. Bez mego udziału.

- Oczywiście.

- Stąd wniosek: kto występuje przeciwko mnie, ten... Warto chyba o tym pamiętać. Mówię - tak tylko...

- Nie wątpię.

- Cieszę się, że zaczynasz mnie rozumieć.

- Potrzebne są wzajemne ustępstwa i starania - powiedziała, nie chcąc drażnić bestii. - Wyjeżdżasz zaraz?

- Tak. Po obiedzie - najlepiej.

XIII

Gołmont pozostał w Warszawie dwa dni. Złożył kilka zaległych wizyt: księciu Czerchańskiemu, paru wysoko postawionym osobistościom, które miały pretensje, że ich unika i ciotce z Wołynia, która wciąż jeszcze bawiła w stolicy. Otrzymał szereg zaproszeń na rauty, polowania i

barwne wycieczki, ale z góry zapowiedział, iż przybyć nie może, bo wołają go na wieś liczne obowiązki, po dłuższej przecieź nieobecności w kraju.

Dębogóra przywitała go radośnie. Zebrali się wszyscy: służba domowa, fornale i delegacje fabryk. Przybył też Jan Omulewicz. Gołmont obdarował zebranych pieniędzmi, a Omulewicza wybadał, a następnie zatrudnił jako naczelnego administratora swych dóbr. Był przekonany, że dokonał dobrego wyboru.

Pobyty na wsi stał się miłym odpoczynkiem i okazją do wielu przemyśleń. Rano brał strzelbę, dosiadał konia i jechał przed siebie daleko, by wśród pól i lasów odetchnąć czystym powietrzem, by zanurzyć się w ciszy. Lubił to bardzo. Tam, gdzie wertepy i zarośla zagradzały drogę innym, on znajdował najlepsze miejsca dla siebie. Właśnie tam najchętniej zeskakiwał z wierzchowca i siadał na jakimś starym pniu, lub po prostu kładł się na trawie, wśród pachnących ziół. Cicho i pogodnie - w słońcu. Tu w kraju, nigdy nie było mu gorąco.

Przyzwyczajony do upałów, polską kanikule uważał za ciepło łagodne, dające jedynie przyjemność.

Włóczył się nieraz długo, zapuszczając się głęboko w lasy, obserwując i fotografując zwierzęta. W pałacu także przesiadywał chętnie. Teraz zaczął porządkować notatki z podróży, wybierał charakterystyczne zdjęcia, co ciekawsze zdarzenia, układał w całość, zaglądał do potrzebnych książek. Myślał o książce bardzo poważnie, ale w ogóle czuł jakby lekkie rozdrażnienie i czegoś mu

brakowało. Oczywiście, nie próbował się oszukiwać; wiedział, że przyczyna - przebywa w Warszawie i gra na harfie. „Szczęśliwa ta harfa” pomyślał.

Zyta Nieborowska zapadła mu w serce głęboko. Nie potrafił się wyzwolić. Wyjeżdżając z kraju i kierując swe kroki do Afryki, miał nadzieję, że zdoła odsunąć ją, by móc zachować dystans. Po powrocie wszystko znów wróciło do dawnego stanu, a raczej do stanu o wiele gorszego. Jeżeli przedtem uciekał, nie wierząc w pomyślne następstwa ich znajomości, to teraz miał zamiar uciec głęboko wierząc, że ta bajeczna kobieta ma dość siły, by zabrać duszę i tak wiele słabości, że przed sobą mieliby jedynie udrekę, a wkrótce także - nienawiść.

Gołmont był człowiekiem normalnym więc romansu z Jamarowem nie przyjmował tak, jakby to była zdrada. Zyta napisała prawdę: wszyscy i ona także myślała, że zakopano go gdzieś daleko w zielonym lesie afrykańskim, że już go nie ma wśród żywych, a w takim razie jak mogła uczynić to przeciwko niemu? Mogła nawiązać romans, miała prawo do życia, a on nie miał teraz żadnych podstaw do oskarżenia i surowego osądu. Nikt nie potrzebował mu tego uświadamiać. Wiedział o tym doskonale. A jednak, nie mógł się pogodzić z faktem, że poszła do łóżka z innym. Myśl o tym doprowadzała go do wrzenia. Im bardziej była mu potrzebna jako kobieta, tym bardziej ją potępiał. Wbrew logice, wbrew rozsądkowi. Wiedział, że nie ma racji, a jednak żal do niej przesłaniał mu wszystko, i czuł, że to już jest miłość. Miłość fatalna.

Miłość przeklęta. Miłość, która tylko boli. Zupełnie inaczej było z jego żoną. Od pierwszego dnia ich znajomości szli zawsze w jednym kierunku, każde słowo miało wagę prawdziwego porozumienia i nigdy nie pojawił się żaden cień. Aż do jej śmierci. Zyta należała do innych kobiet, nie mogła więc postępować tak samo, ale w niej było coś jeszcze gorszego: ona wносиła tylko niepokój i tylko niepewność. Wszystko, co mogła dać, to złudzenia. Należało od niej uciekać. „Ucieknę” myślał. „Jeszcze raz ucieknę, i tym razem musi mi się udać. Wyjadę na rok, na dwa, na trzy lata. Znajdę inną kobietę, zamieszkać wśród innych ludzi. Ucieknę. Zostawię adres administratorowi, i nikomu więcej. Jutro spotkam się z nią koło Chopina, powiem jej wszystko i wyjadę. Z pewnością nie będzie mnie szukać, a po tygodniu zapomni. Przyjedzie następny Jamarow i wszystko potoczy się utartą drogą. Takiej jak Zyta potrzebny jest nie tyle wyśniony człowiek, co wybujały członek. To będzie krótka rozmowa. Nie, proszę pani, to nie dla mnie. Idź sobie do diabła”.

Gołmont kazał spakować walizki i znieść je do samochodu.

* * *

Do Warszawy przyjechał wieczorem. Zatrzymał się w swoim stałym hotelu. Wziął kąpiel i kazał sobie przynieść kolację do apartamentu. Czekać na jedzenie, przejrzał

nadesłaną korespondencję. Było kilka zaproszeń, prośba, by wygłosił prelekcję na temat codziennego życia ludów Afryki tropikalnej, kilka listów z wyznaniem miłosnymi romantycznych pańienek, a także list od Pocijki. Mały detektyw informował, że pewien opryszek warszawski, który znikł jak kamfora, utrzymywał kontakt z zamożnym, tajemniczym człowiekiem, przypominającym z opisu Nieborowskiego. Ślad nie prowadzi daleko, więc dla śledztwa nie może mieć znaczenia decydującego, ale stanowi potwierdzenie winy w wymiarze psychologicznym.

Gołmont zatelefonował do Pocijki i zaofiarował mu względnie wysoką sumę na koszty, które zapewne hamują jego działania. Detektyw ucieszył się i oświadczył, że pieniądze bardzo pomogą.

Następnie nakręcił numer malarza Faustyna i powiedział, że jutro w godzinach popołudniowych czeka na sekundantów, jeżeli oczywiście, pojedynek ma się odbyć. Ale Faustyn odpowiedział śmiechem.

- Daj pan spokój! Primo - termin przepisowy minął, secundo - moja wściekłość - także, tertio - zrobił pan to, co po głębszym namyśle uznaję za słuszne.

- I nie chowa pan do mnie urazy? - Gołmont był szczerze zdziwiony.

- Nic a nic. Widzi pan, mam taką prywatną teorię: człowiek uczy się zawodu do trzydziestki, a życia - do czterdziestki, bo życie jest trudniejsze i daje się opanować doświadczalnie. A ja mam dopiero trzydzieści dwa lata.

Stąd wniosek: lekcja, jaką dostałem mieści się w ramach edukacji. Tak więc jeszcze powinienem, na dobrą sprawę, zapłacić panu za tę lekcję, ponieważ jednak jest pan zapewne drogim nauczycielem - nalegać nie będę. Czy uczynił pan to gratisowo?

Gołmont roześmiał się.

- Tak. Zwrócić panu za wstawienie zębów?

- Aha, to się równoważy. Pójdziemy na wódkę?

- Zaimponował mi pan. Zgoda. Kiedy?

- Zaraz.

- Przyjdź pan do mnie, do hotelu. Spotkamy się w restauracji.

Faustyn nie zwlekał. Był nawet pierwszy. Zjedli razem kolację i wypili parę kieliszków wódki. Rozmowa szybko zesłała na tor drażliwy, wszakże malarz zaskoczył Gołmonta raz jeszcze: mówił teraz spokojnie, z namysłem i jak człowiek, który naprawdę skorzystał z otrzymanej lekcji.

- Kłamałem wówczas, mając nadzieję, że zdołam pana zrazić do Zyty Nieborowskiej. Dziś wiem - był to postępek haniebny i słusznie zostałem ukarany. Ale, panie hrabio, Jaśminowicz miał wiele racji nazywając ją: Lucrezia Borgia. Coś w tym jest. Nie, nie pozowała mi i nie pozwoliła na zbliżenie, a jednak jej sposób bycia, jej słowa, jej spojrzenie... Trudno to nazwać... Nawet wtedy, kiedy jest się w jej towarzystwie i rozmawia o pogodzie, ona stwarza atmosferę grzechu, że tak powiem, i każdy mężczyzna czuje się jak gdyby zaproszony do środka. To

złudzenie, naturalnie, ale każdy gotów jest to podchwycić, a prawie każdemu krew uderza do głowy... Panie hrabio - bądźmy szczerzy - przez delikatność jedynie nie powiem do której głowy, bo jak wiadomo mężczyzna ma dwie. Taka już ona jest. I dlatego uważam, że jest groźna. - Faustyn rozłożył ręce. - Jaję męża nie lubię, ale go rozumiem. Na jego miejscu pewnie byłbym taki sam. Podobno, to straszny człowiek, a komu on poprzysięgnie zemstę, ten już przepadł. Dlatego, zrewanżuję się panu radą: proszę zostawić Nieborowską w spokoju, bo może się to źle skończyć. Coś mi mówi, że ona jest takim - zapalonym lontem uwiązanym do wielkiej beczki z prochem. Jeszcze za jej sprawą, miasto przeżyje wielki wybuch.

* * *

Gołmont obudził się wcześniej. Wiedział, że ten dzień zapisze się w jego życiu, jak żaden inny, bo będzie to najcięższa z walk dotychczas stoczonych. Będzie to walka z samym sobą. Jego rozsądek stanie do zapasów z jego pragnieniem.

Starannie ogolony, w jasnym garniturze zszedł na śniadanie.

Była godzina dziewiąta. Miał jeszcze sporo czasu, ale nie chciał żeby na niego czekała; postanowił być pierwszy i okazać jej w ten sposób podziękowanie za list. Tylko tyle i aż tyle.

Samochód zaparkował w Alejach Ujazdowskich. Ogród tonął w słońcu. O tej porze ludzi było mało, więc królowała tu cisza. Czysta, zielona cisza.

Poszedł od razu na umówione miejsce i oparłszy się o cokół pomnika, czekał. „Powiem jej wszystko” myślał. „Wszystko. Całą prawdę. Jeżeli nawet coś ją do mnie popycha, to... takie stany mijają szybko. To także muszę jej uświadomić. Nie jesteśmy stworzeni dla siebie. Powiem jej to prosto w oczy. Raz zapomniała, zapomni jeszcze raz. A ja chcę takiej, która nie zapomni. Ona pocieszy się szybko innym, a ja... Ja też... Spróbuję... Piekło i szatani! Że też musiałem spotkać ją na swojej drodze. Miałbym to moje marzenie - gdzieś w sercu, gdzieś głęboko. I tak szedłbym sobie z nim po cichu drogami świata z małą, nie gasnącą lampką tęsknoty. A ona... jest żywa. I ma na imię - Zyta.. Ona to wszystko zrozumie, pogodzi się z tym... Ona - tak. Teraz przyjdzie tu wspaniale materialna, a jednocześnie nieuchwytna i powtórzy pewnie to, co napisała. Może nawet w to wierzy. Dziś. Mając przed sobą tylko - dziś. Nic z jutra. A, to za mało. A może będzie inna? Do niej to podobne”.

Nadeszła z prawej strony. Była w białej sukience. Szła szybko i lekko. Po drodze zdjęła białe, ażurowe rękawiczki i schowała je do torebki.

Podąła mu rękę bez słowa.

Pocałował ją i także stał bez słowa.

Patrzyli sobie w oczy. Zrobiło się z tego osobliwe powitanie. Bardziej znaczące. On wciąż trzymał jej rękę, a

ona nie cofała jej. Lekki wiatr dotykał jej włosów, które rzucały na szyję i na dekolt zmienne cienie. Mały kapelusz niczego nie zasłaniał.

Gołmont pochylił głowę i znów całował jej palce, a ona dotknęła jego twarzy i patrzyła, patrzyła, patrzyła. W milczeniu.

- Usiadźmy gdzieś - powiedział, uświadamiając sobie jednocześnie, że chyba nigdy jeszcze nie odezwał się tak cicho.

Poszli w stronę cienia, pod drzewa, gdzie stały ławki. Ale nie szli oddzielnie. Wzięła go pod rękę. Zrobiła to tak, jakby już był jej własnością, jakby chodzili już od dawna. A on przyjął jej rękę tak, jakby dotknęło go zmaterializowane szczęście.

Wybrali ławeczkę w najbardziej ocienionym miejscu, niemal schowaną w zieleni, prawie niewidoczną z zewnątrz. Chcieli tego oboje.

Usiadła blisko niego i zdjęła kapelusz.

- Dlaczego? - zapytała. - Spojrzał na nią w milczącym oczekiwaniu. - Dlaczego spotykamy się po tygodniu?

Siedział spokojny, nieruchomy, ale wewnątrz wszystko w nim drżało. Rozpaczliwie szukał słów, które przygotował na to spotkanie. Wszystkie gdzieś uciekły. Wszystkie, co do jednego.

- Nie wiem - powiedział, unikając teraz jej wzroku.

- Jak pan mógł wtedy wyjechać? - wyszeptała.

Westchnął, jak człowiek, któremu brak tchu.

- Szukałem ratunku...

- A mógł pan znaleźć śmierć.
- I byłoby lepiej, gdybym znalazł.

Przysunęła się jeszcze bliżej.

- Monti, co się z nami dzieje?
- Nie wiem...

- Ty uciekasz, ja spadam w przepaść. Dlaczego?
Dlaczego zabijasz siebie i mnie?

- Zabijam tylko siebie.
- Mnie też. Nie rozumiesz tego?
- Ty umiesz zapominać, więc będziesz żyć.
- Wegetację nazywasz życiem?
- To są tylko słowa.

Pochyliła twarz i powiedziała ze smutkiem, oddając słowom całą siebie:

- W moim liście przysięgałam Ci na zbawienie mojej matki. I tej przysiędze nie wierzysz?

- Każda przysięga odnosi się do dziś. Mnie chodzi o jutro. Co będzie jutro?

- To zależy tylko od nas.
- Od innych - też. Niestety.

- Nie, Monti. Tylko od nas. Od ciebie i ode mnie. Nas już nic nie rozdzieli. Dobrze o tym wiesz. Kiedy spotkaliśmy się wtedy, zrozumiałam to tak samo jak ty. To, co najważniejsze wie się zawsze od razu.

- Ale zapomniałaś - powiedział z goryczą.

- Nie! - zaprzeczyła gorąco. - Nie. Ciebie wtedy nie było wśród żywych. W świadomości żywych ty byłeś martwy. W ziemi. Monti, zrozum to. Błagam cię, zrozum.

Ja szalałam z rozpaczy, a potem szalałam z rezygnacji. Monti, to prawda. Ja ciebie nie zdradziłam.

Gołmont wciąż patrzył gdzieś w dal, unikając jej wzroku.

- Wiem. Zresztą... nasze spotkanie nie połączyło nas jeszcze. To było tylko przelotne spotkanie.

- Może dla ciebie... Powiedzmy sobie całą prawdę. Teraz. Jesteśmy tu sami, we dwoje, i my, tylko my wiemy już wszystko. Przecież ty wiesz tak samo jak ja, że należymy do siebie od pierwszego spojrzenia. Przecież wiesz, że tak jest. Chodziliśmy różnymi drogami, ale nigdy nie znaleźliśmy tego, czego pragnęliśmy tak naprawdę. Dlatego, to wszystko co było - było bez znaczenia. A dopiero kiedy zobaczyłam ciebie, a ty mnie... Monti... My dwoje jesteśmy jedną duszą i jednym ciałem. Popatrz mi w oczy.

Spełnił jej prośbę. Ich twarze były blisko siebie. Ich włosy już się dotykały, już były razem. Czuli swój oddech, a w ich źrenicach płonęło tylko jedno pragnienie: połączyć się zaraz, natychmiast, na zawsze, na wieki.

Pochyleni ku sobie, szli do siebie wolno, bardzo wolno, i to było miłe aż do bólu, i to było upragnione. I chcieli tak iść ku sobie, zbliżać się coraz bardziej, czując że pragną tylko tego, że poza tym, wszystko przestało istnieć. Ich twarze dopasowywały się w skupieniu do miłosnego pierwszego pocałunku, który miał im dać całą treść życia. Całą, to znaczy we dwoje. To znaczy w jedno.

Dotknęły się ich usta i wtedy pragnienie stało się ogniem. Zyta wtuliła się w jego ramiona tak, jakby weszła do nieba, a on objął ją mocno, mocno i tak żeby się mogli ze sobą zrosnąć. Wszedł językiem w jej rozwarte usta i przestał myśleć, przestał wiedzieć. Czuł tylko to, że ona mu się oddaje i chce mu się oddać całym ciałem. Ich języki lizały się, pili swoją miłość nieprzytomnie, zachłannie, drżąc ze szczęścia. Ich serca biły mocno, ale to już biło jedno serce jej i jego i tylko dla siebie w zespoleniu duszy, która stała się ciałem.

A potem zamglonymi oczami wpatrywali się w siebie, i złączeni uściskiem wciąż oddawali się sobie, chwytając oddech. Znow zaczęli się całować, ale to już nie wystarczało. Wtedy wargi, dotykając warg, same zaczęły szeptać prośbę o całą miłość.

- Przyjechałeś samochodem?
- Tak. Chodźmy.
- Pojedziemy do Ciebie?
- Tak... Ile masz czasu?
- Nie dbam o to...
- Chodź.
- Bardzo chcesz?
- Chodź, bo zwariuję.
- Kocham cię.
- Możemy? Bez osłony?
- Tak. Za dwa, trzy dni - okres.
- Kocham cię. Zyto... Chodź...

* * *

Rozbierali się oboje jednocześnie, bez pośpiechu, bez słowa, cały czas patrząc sobie w oczy. Było w tym coś z tajemniczego obrzędu, jak gdyby chcieli przeniknąć niezmierną głębię miłości mężczyzny i kobiety. A potem jednocześnie położyli się obok siebie. Łóżko było szerokie. I nagle misterium zamieniło się w niecierpliwość ciała. Jego ramiona objęły ją gwałtownie, a ona przywarła do ukochanego całą sobą. Ich usta całowały nieprzytomnie, gorączkowo najpierw to, co było bliżej, i dopiero po chwili trafiły na siebie. Ale nie trwało to długo; on pragnął całować ją całą i robił to łapczywie, zachłannie, znajdując najpierw szyję, potem piersi. Ssał jej pęczniejące sutki, lizał je, lizał ją wszędzie, coraz niżej: jej cudownie kształtny brzuch, i znów niżej: zanurzył twarz w ciemnych włosach, a wtedy jej uda rozwarły się, i oszalały ze szczęścia, wdychając zapach jej sromu wtargnął językiem w głąb warg. Wiła się jęcząc i dając mu siebie tak namiętnie, że musiał ją trzymać całą mocą ramion. Wreszcie podniosła się, rzuciła się na niego, a kiedy osunął się na bok, chwyciła członka i dysząc z pożądania wepchnęła go sobie do ust.

Gołmont leżał z zamkniętymi oczami, czując w tej samej chwili osiadający mu na usta żar jej warg. Ona ssała jego żołądź, on - jej łechtaczkę. Trwało to nie nazbyt długo. Nagle wyrwał się jej, wsunął się na nią, a kiedy rozstawiła szeroko nogi, unosząc je w górę, wbił się w jej

pochwę. Najpierw jęczała, później po prostu krzyczała, oddając mu się z całych sił, ale trzymał ją mocno i kochał także z całych sił, całą swą męską napastliwością. Już nie wiedzieli nic o sobie, już tylko czuli wzmagającą się rozkosz, moc i zbliżający się szczyt życia, a potem ich oszalałe ciała stały się jednym ciałem w spazmach jednoczesnego orgazmu.

Długo jeszcze pozostał w niej. Obejmowała go rękami i nogami, a on całował delikatnie jej zamknięte oczy, policzki, usta i szyję. Lizał ją, pieścił dotykiem palców, trzymał w dłoniach jej głowę, zasłaniając od światła.

Zapadła w lekki półsen, zmęczona, oddychając jednak coraz spokojniej. On tłumiał szybki oddech, żeby jej nie obudzić. Serce biło mocno, ale uspokajało się także.

Kochał ją jak nikogo na świecie, i wiedział, że już nic piękniejszego nie spotka go nigdy. Był oto na samym szczycie życia. Z nią. W niej.

* * *

Leżeli obok siebie nadzy, już uspokojeni. W sypialni było chłodno.

Gołmont zapalił papierosa.

- Chcesz? - zapytał, podając go.

- Nie. - Uśmiechnęła się. - To jeszcze nie minęło.

- Co powinienem teraz zrobić?

- Nic!

- Nic?

- Nic. Wszystko już się dokonało.

- Na pewno tego chciałaś?

- Dobrze wiesz.

- Możesz mówić?

Nieborowska położyła dłoń na jego piersi.

- Tak. Tylko - o czym?

- Nie wiesz?

- To, co najważniejsze powiedzieliśmy sobie przed chwilą bez słów. A, reszta...

- Reszta też się liczy. I to - bardzo.

- Chyba tak. Trochę...

Gołmont westchnął.

- Tak mało o tobie wiem...

- Dziś - już wszystko.

Przysunął się do niej i leżąc na boku, patrzył jej w oczy. Ona jemu też.

- Było mi źle bez ciebie - rzekł - ale miałem spokój. Teraz jest mi dobrze, ale spokój uleciał.

- Monti, jeżeli czujesz, że coś nam zagraża, to znaczy że nie kochasz mnie, a tylko pożądasz.

- Miałem na myśli twoje przyzwyczajenia, twoje środowisko...

- Wiem.

Gołmont wstał i włożył szlafrok. Usiadł w fotelu. Będąc od niej dalej, mógł się zdobyć na większą nieustępliwość, a przeczuwał, że w tej chwili będzie ona potrzebna; nadszedł czas postanowień. Chciał mieć wszystko.

- I, co?

- Dlaczego usiadłeś tak daleko? Zrobił nieokreślony gest.

- Tak trzeba. Zaufaj mi.

- Rozumiem. Chcesz żebyśmy porozmawiali o naszych sprawach.

- Tak.

- Więc zaczynaj.

- Już zacząłem. Odpowiedziałaś: wiem, ale to mi nie wystarcza.

- Monti, ty nie jesteś dla mnie przygodą. To nie jest dla mnie przelotny romans. Co to znaczy: przyzwyczajenia, środowisko? Pisałeś o tym przed ucieczką do Afryki. Ale czy wtedy mogłam ci to wszystko wyjaśnić? Przecież wyjechałeś, zamiast spotkać się ze mną. A już wtedy mogłam ci powiedzieć to, co ci powiem teraz. Porzucę orkiestrę, przestanę się spotykać z ludźmi, których nie chcesz widzieć koło mnie, wystąpię o rozwód. Jestem już twoja i zniszczę wszystko, co mogłoby stanąć między nami, bo zależy mi tylko na tobie. Ale ty nie powiedziałeś mi, jakie masz zamiary w stosunku do mnie.

- Tamten list i zerwanie z Olatyńską powiedziały jakie mam zamiary. Ty, albo żadna. Zaraz pojedziemy po twoje rzeczy i powiemy mu, że od niego odchodzisz.

Nieborowska zaczęła się ubierać. Robiła to wolno, wyrażając w ten sposób odmowę z prawdziwą determinacją. Jej twarz była teraz dziwnie poważna.

Gołmont obserwował ją w milczeniu, zupełnie

zdezorientowany. „Słowa wypowiada się łatwo” myślał „a kiedy przychodzi do czynów - ukryta prawda, rzeczywiste intencje wyłazą na wierzch jak robaki. No, i wszystko jest jasne, a raczej ciemne...”

Nieborowska, ubrana, zajęła miejsce w drugim fotelu. Zaczęła mówić spokojnie, z głębokim przekonaniem:

- Zgodziłabym się na to, gdybym cię nie kochała. Wiem, to byłoby najprostsze rozwiązanie. Ale o skutkach wolę nie myśleć. Ty możesz go zmusić do posłuszeństwa, ja mogę zabrać moje rzeczy. Tak, możemy jechać. Potem wrócimy zadowoleni i ja wniosę sprawę o rozwód. Jego wykreślimy z pamięci. My - jego. Ale on nas - nie. Ty nie wiesz jeszcze co to za szuja, co to za potwór. Nawet nie masz pojęcia. On nas nie wykreśli z pamięci. O, bądź pewny! Tylko - ty działasz otwarcie, z podniesioną przyłbicą, a on - jak wąż, jak zaczajony pod kamieniem grzechotnik.

- Boisz się, będąc ze mną?

- Ja ciebie nie chcę stracić. Nie dopuszczę do tego, choć byś się miał na mnie gniewać.

Gołmont, uśmiechnięty, założył nogę na nogę.

- Co on nam może zrobić? Nam?

Nieborowska pokiwała głową.

- Jaki ty jesteś naiwny.

- Ja? Żartujesz chyba. Zetrę go na proch.

- To on zgładził Kropiwnickiego. To on! I nie ma dowodów jego winy! I nikt ich nie znajdzie.

Gołmont wstał i podszedł do okna.

- To oddzielny temat! - rzucił gniewnie. - Pamięć twoja jest zaiste godna pochwały. Czy pamiętasz też ile razy mówiłaś: jestem twoja?

- Monti!

- W tym samym dniu, w tej chwili, w tej sypialni wymówiałaś to nazwisko?

- Monti! - Nieborowska zerwała się ze swego miejsca.

- Jak możesz?!

Stał przy oknie, wciąż odwrócony tyłem.

- Czy wiesz co zrobiłaś?

- Co ja zrobiłam według ciebie?

- Przekonałaś mnie.

- Co masz na myśli?

- Przekonałaś mnie, że jestem naiwny. Niestety!

- Monti, popatrz mi w oczy.

- Nie chcę. - Stał odwrócony nawet wtedy, kiedy usłyszał jej oddalające się kroki. Potem zaległa zupełna cisza. Został sam.

XIV

Gorzka, nieprzespana noc minęła wreszcie. Była to jedna z najgorszych nocy Gołmonta, bo o ile reszta poprzedniego dnia upłynęła na wzmagającym się żalu do Zyty, o tyle noc przyniosła pierwsze refleksje; żal nie wygasł, a słowa, które rzucił jej w twarz, ciążyły teraz i jemu. Jej reakcja, zwłaszcza po tym co przeżyli, świadczyła o poczuciu krzywdy, a jednak Gołmont nie

mógł pogodzić się z tym, że w tym najważniejszym i najpiękniejszym dla nich dniu pamiętała o swoim dawnym kochanku. Teraz, gdy nastał dzień, czuł żal do Zyty, był niezadowolony z siebie i wzrastała w nim obawa, że ten pierwszy poryw gniewu może przynieść niepowetowane straty. Wreszcie nie mógł jej też darować, że wyszła, że zrobiła coś, czego jednak zrobić nie powinna.

Siedział cały czas w hotelu, czekając na telefon. Ale czarny aparat milczał jak zakłęty. Apartament wypełniała martwa cisza. Około dziesiątej zapukał do drzwi kelner i zapytał czy ma przynieść śniadanie. Gołmont kazał mu iść precz. O dwunastej zatelefonował do Filharmonii, ale powiedziano mu, że pani Nieborowska zawiadomiła, iż w ciągu najbliższych paru dni opuści wszystkie próby. „Pewnie coś się wydarzyło” pomyślał. „Ten degenerat mógł ją znowu pobić - wszystko możliwe”. Tego już byłoby za wiele. Nakręcił numer do Jaśminowicza i poprosił go, by natychmiast pojechał do niej do domu i zbadał sytuację, a potem żeby go niezwłocznie odwiedził.

Około pierwszej Jaśminowicz wszedł do apartamentu. Zaczął od razu, od drzwi:

- Wyjechała.
- Co? - Gołmont mimo woli podniósł głos.
- Nikt nie wie dokąd, bo wstąpiłem też do Filharmonii.

A jej sympatyczny mąż po prostu szaleje. Uważaj, to dziwny typ. Oskarża cię, nie przebierając w słowach. Zwrócił się do policji twierdząc, że uprowadziłeś mu

żonę.

- Skąd wiesz, że wyjechała?

- No, a gdzie może być? Podobno nie ma w Warszawie krewnych. Pokłóciliście się?

- Tak.

- Ledwo ją znasz, a już...

- Nie marudź - przerwał Gołmont, po czym chwycił słuchawkę, bo właśnie zadzwonił telefon. - Halo, Gołmont... Kto?... Ja mam przyjść złożyć zeznanie?... Powiedz pan swojemu inspektorowi, że mam go w nosie, albo lepiej, żeby wsadził łeb pod prysznic! - I trzasnął słuchawką.

- Wzywają cię?

- Banda idiotów. Pamiętasz numer do Faustyna?

- Oczywiście.

- Nakręcaj! Spytaj go. Jeżeli ona jest u niego, to powiedz mu, że... żeby jej powtórzył: dziwka ma zapamiętać, że Monti już dla niej umarł. Raz na zawsze.

Jaśminowicz rozmówił się z Faustynem.

- On o niczym nie wie.

- Ty go znasz lepiej: kłamał?

- Wykluczone.

- W takim razie wal do chałupy i pytaj o nią we wszystkich hotelach. Ja muszę mieć wolny telefon.

- Tak, Monti - powiedział Jaśminowicz i pobiegł truchtem.

* * *

- Halo! - zawołał Gołmont do słuchawki.

- Tu recepcja. Czy pan hrabia zechce się pofatygować na dół? Czekają pan inspektor Kowalik.

- Dawać go do mnie.

Po paru minutach rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę!

Do salonu wszedł inspektor policji.

- Dzień dobry - rzekł sucho. Był po cywilnemu.

- Siadaj pan - powiedział Gołmont, nie ruszając się z miejsca.

Policjant usiadł.

- Pan hrabia utrudnia pracę policji.

- Niech pan nie mówi głupstw. Nieborowski zgłosił porwanie żony?

- Tak. Oskarża pana...

- Właśnie tkwię przy telefonie od rana, spodziewając się, że pani Nieborowska odezwie się wreszcie i powie gdzie jest. Czy nadal posądza mnie pan o uprowadzenie?

- No... nie, ale...

- Panie Kowalik, trzeba odszukać wszystkich jej krewnych. Ale nie jego, nie ze strony męża, który po prostu jest durniem, a przy okazji mordercą Kropiwnickiego. Słyszał pan?

- Oczywiście. Szukamy sprawcy.

- Szukajcie. Ale pan musi mi pomóc. Adresy krewnych i przyjaciół. Wszystkie. W Warszawie i poza Warszawą. Jeszcze dziś. Ile panu brakuje do awansu?

Inspektor rozjaśnił twarz uśmiechem.

- Jeszcze trochę...
- Ma pan w kieszeni przyśpieszony awans. Jasne?
- Tak jest, panie hrabio.
- Do roboty. Czekam tu na listę adresów.
- Tak jest. - Policjant wstał i wyszedł.

Gołmont poszukał numeru telefonu. Potem nakręcił tarczę. Długi sygnał.

- Słucham, Antoni Huget.
- Witam pana, profesorze. Gołmont.
- Jak się masz, Monti?
- Kłopoty.
- O co chodzi? Ty masz kłopoty?
- Zyta... Uciekła.
- Uciekła. Powiadasz... To źle.
- Profesorze, nic pan nie wie?

W słuchawce rozległo się westchnienie.

- Może wiem, może nie wiem...

Gołmont odetchnął.

- Gdzie ona jest?
- Hm... Koniecznie chcesz wiedzieć?
- Koniecznie.
- A jeżeli ci nie powiem?
- To ją znajdę później niż bym chciał.
- Wiem gdzie jest.
- Zaraz u pana będę.
- Szkoda czasu. Jedź od razu.
- Dokąd?

- Ma w Radomiu przyjaciółkę; Jeszcze ze szkolnych lat. Pani Łucewiczowa, Reja sześć.

- Co panu powiedziała, wyjeżdżając?

- Uśmiechnęła się smutno i dorzuciła: bywają takie smutne dni.

Gołmont wszedł do samochodu i ruszył ostro. Ruch był dość znaczny, więc sporo czasu upłynęło zanim wydostał się z miasta. Wpadł na szosę i wcisnął gaz do oporu. Wóz pędził jak burza. Mijał małe miasteczka, ospałe wsie. Przez otwarte okno wpadał strumień chłodu. Po godzinie minął Białobrzegi nad Pilicą. Do Radomia wjechał o czwartej.

Zaparkował przy starej kamienicy na Reja i bez trudu znalazł wskazany numer. Po schodach wąskich i stromych wspinał się na drugie piętro. Zapukał energicznie.

- Otworzyła mu młoda, tęga kobieta o ładnej buzi.

- Pan do kogo? - zapytała, nie zapraszając do środka.

- Do Zyty.

- Mąż?

- Uchowaj Boże.

- Zyta była, ale już pojechała.

Gołmont zmarszczył brwi.

- Dokąd? Wróciła do Warszawy?

- Skąd ja mogę wiedzieć?

Ta właśnie odpowiedź nasunęła Gołmontowi podejrzenie, że pani Łucewiczowa nie mówi prawdy. Jako przyjaciółka, do której Zyta zdecydowała się przyjechać, musiała przecież wiedzieć przynajmniej to.

- Moje nazwisko: Gołmont. Czy możemy chwilę porozmawiać?

- Co? Ten podróżnik?

- Do usług.

Kobieta, roześmiała się kpiąco, a następnie rzuciła głośno za siebie.

- Kotku! Chodź no tutaj.

Po chwili w przedpokoju, zjawił się kotek. Był to niski chudzielec w okularach, z czupryną jak puszcza w Orinoko.

- Do kogo ten, pan? - zapytał nieufnie kotek.

- Ten pan twierdzi, że jest podróżnikiem Gołmontem.

- Coś podobnego?! Nie czyta gazet!

Kobieta wykonała nieprzyjazny gest.

- Eleganckie ubranie to za mało. Ładnie to tak podszywać się pod człowieka, który dawno umarł? Proszę odejść! Bo zawołam sąsiadów...

Gołmont uśmiechnął się i podał jej swój paszport ze słowami:

- Nic pani Zyta nie mówiła?

Gruba obejrzała dokument.

- Nic. To pan jednak żyje.

- Jak widać. Czy mogę wejść?

- Oczywiście. Przepraszam pana hrabiego.

- Nic nie szkodzi.

Weszli do ładnie urządzonego pokoju, który najwidoczniej pełnił funkcję salonu. Tu kobieta przedstawiła gościowi swego męża, to znaczy kotka.

Usiedli wszyscy troje.

- Czy pan jest po obiedzie?

- Tak - skłamał Gołmont, zamierzając dowiedzieć się czegoś i zaraz wyjść. - Zyta pogniewała się na mnie, a ja przyjechałem ją przeprosić - dodał chytrze.

- Wkrótce tu będzie. Jest na poczcie.

Gołmont odetchnął.

- Pozwolą państwo, że zaczekam?

- No, jakżesz! Oczywiście. A to pomyłka... - Tęga kobieta siedziała zarumieniona. - Jeszcze raz przepraszam. Zyta nic mi nie powiedziała.

- Drobiazg. Takie małe qui pro quo.

Kotek wziął na odwagę, poprawił okulary i zapytał:

- Czy pan ma duży zbiór owadów?

Gołmont przyjrzał się kotkowi.

- Nie - powiedział uprzejmie. - Nie łapię owadów.

- O, to szkoda. W strefie tropikalnej żyje bardzo wiele cudownych owadów. To prawdziwy raj owadzi.

- Zapewne.

- Czy nigdy nie interesował się pan owadami?

- Nie.

- A to taki piękny świat.

- Kotku - upomniała pani Łucewiczowa - zanudzisz pana. - A do gościa: - Mój mąż jest zoologiem, a szczególnie upodobał sobie insekty. W tej dziedzinie ma spore osiągnięcia naukowe.

- Lubię te maleństwa - powiedział czule kotek - bo dzięki nim świat jest esencjonalny. Czy pan wie, że

insecta, to najliczniejsza gromada zwierząt na globie? Aż półtora miliona gatunków, które są nam znane, a nie znamy wszystkich. Cóż za bogactwo. Może zdołam pana nakłonić do chwytania co ciekawszych okazów. Przejdźmy do mego pokoju. Zapoznam pana z tymi owadami, które mam...

- To bardzo wzniosła idea - rzekł Gołmont. - Pożegnaj państwa i zaczekam jeszcze chwilę na dole. Mam mało czasu.

Ulica Reja tonęła w słońcu. Kręciło się tu sporo ludzi, pokrzykiwały dzieci, jakiś wyrostek siedział na beczce i walił w nią sękatym kijem.

Po kwadransie, z głębi starej ulicy nadleciało stukanie obcasów, a potem bielą kostiumu błysnęła znajoma postać kobiety. Zyta Nieborowska szła szybko i już miała wejść do bramy, kiedy wyrósł przed nią nagle wysoki mężczyzna z kapeluszem w ręku. Zatrzymała się zdumiona. Patrzyła na Gołmonta szeroko rozwartymi oczami, w których nie było nawet cienia gniewu. Ale ust nie rozchylił najmniejszy nawet uśmiech, jakby przeważył w niej smutek lub obojętność.

Gołmont zauważył tę przemianę momentalnie. Ubodła go tak bardzo, że nie wymówił żadnego z gorących słów. Powiedział tylko, i wbrew zamiarom, dość chłodno:

-Chyba przyjechałem nie w porę... Jeżeli tak...

Nieborowska pojęła także natychmiast, że mógł w jej twarzy wyczytać obojętność, której nie było. „Mój smutek wziął za obojętność” pomyślała. „Wygląda na pirata, a jest

mimozą".

- Skąd to przypuszczenie? - Jej szept zabrzmiał gorzko.

- Wygląda na to, że widzisz mnie niechętnie.

- Wygląda na to, że mnie nie znasz.

- Czy zadałaś sobie trudu, żeby mnie zrozumieć?

Wyciągnęła do niego rękę.

- Dzień dobry.

Pocałował jej palce.

- Marzyłem o lepszym.

- Zaczekaj tu. Powiem im, że idę z tobą do restauracji.

- To rzekłszy, poszła na górę. Wkrótce wróciła z walizką.

- Idziemy?

- Jedziemy.

- Ty to powiedziałeś.

Gołmont otworzył drzwiczki samochodu i zaprosił ją do wnętrza, a walizkę rzucił na tylne siedzenie. Usiadł za kierownicą, zapuścił motor i ruszył wolno.

- Pożegnałaś ich ode mnie?

- Tak.

Przez miasto jechali w milczeniu. Potem Gołmont poprosił, by mu zapaliła papierosa, a kiedy już zaciągnął się dymem, rzekł:

- Zaprowadziłaś mnie do nieba, a następnie zadałaś mi ból. Czy i dziś tego nie rozumiesz?

- Zrobiłam to niechcący, więc się nie liczy. To ty nie chciałeś zrozumieć. Właśnie tego.

- Zyto, są rzeczy, które tak trudno zrozumieć...

- Wiem.

Znów jakiś czas jechali w milczeniu. To milczenie zdawało się mówić. Milcząc mówili i wiedzieli oboje, że nie tylko słowa, ale także zamknięte usta i gesty, i znieruchomiałe ciało będzie odtąd mową, ilekroć znajdą się obok siebie. Wszędzie i zawsze. Zrozumieli też, że to, co ich połączyło jest tak piękne i tak delikatne, że trzeba się zdobyć na wiele wysiłku, żeby tego nie zranić. Zrozumieli, że ta ich miłość tym będzie silniejsza, im bardziej będą dbać o to, by pozostała delikatna i wrażliwa nawet na westchnienie. Miłość - najmocniejsza rzecz, zdolna do przeciwstawiania się całemu światu, rzecz tak ulotna jak oddech.

- Wiesz, a jednak wyjechałaś.

- Monti, są rzeczy, które tak trudno wytłumaczyć...

- Wiem, ale nawet nie spróbowałaś.

- Może dlatego, że wszystko, w ogóle jest jakieś odległe, niejasne...

- Ja uważam, że odległe jest tylko to, co jest poza mną. Jeżeli coś wejdzie w człowieka i zamieszka w nim na zawsze, to już przestaje być odległe. To prawo rządzi mężczyzną i kobietą niepodzielnie. Stąd wniosek - nie zamieszkałem jeszcze w tobie.

- Nie zauważyłeś, że najgłupszą rzeczą jest filozofia, gdy chodzi o miłość? Poza tym, Monti, miłość nie zna żadnych praw. Z natury jest bezprawna.

- I amoralna?

- I amoralna.

- I nie wie, co to - pan?

- Nie wie.

- I dlatego jest ponad wszystkim?

- Dlatego.

- Skąd o tym wiesz? Przecież jesteś samą miłością, a miłość nie wie, bo tylko czuje.

- Wiem, ponieważ nie jestem samą tylko miłością. Jestem też smutkiem i cierpieniem, kiedy miłość odwraca się i wyjeżdża do Afryki albo wmawia mi, że myślę o innym, tylko dlatego, że odruchowo wymówiłam nazwisko człowieka, który nawet gdyby żył, już by dla mnie nie istniał.

- Jesteś pewna, że - nawet gdyby żył?

- Jestem pewna, bo dopiero teraz wiem, że wszystko, co było przed tobą, było namiastką miłości.

Gołmont spojrzał na Zytę.

- Miłość nie odwróciła się od ciebie ani na chwilę.

- Nawet wtedy, kiedy jechała do Afryki?

- Nawet wtedy.

- A szansonistka?

- To tylko Jamarow w spódnicy. Wiesz o czym mówię, prawda?

- Wiem.

- Rozumiesz?

- Tak, Monti.

- Czy wierzysz mi, że drugiej szansonistki nie będzie?

- Wierzę. A ty czy wierzysz, że nie będzie drugiego Jamarowa?

- Nie.

- Nie wierzysz? Monti! - Nieborowska wpatrywała się w kochanka z lękiem. - Zatrzymaj wóz.

Gołmont zjechał na pobocze i wyłączył silnik. Byli sami na szosie. Otaczała ich cisza i pustka.

- Jesteś zdziwiona? - zapytał patrząc uparcie przed siebie.

- Spójrz mi w oczy.

Wolno zwrócił twarz w jej stronę i teraz spojrzał na nią z nakazanym sobie spokojem.

- Nie wierzę - powtórzył.

Chwyciła go za ramiona dziko, drapieżnie. Jej oczy płonęły.

- To znaczy, że mnie nie kochasz?...

- Kocham cię jak nigdy nikogo. I będę cię kochać nawet wtedy, kiedy odejdę od ciebie.

- Odejdiesz???

- Dowiedziawszy się, że mnie zdradziłaś z innym.

Przysunęła się do niego i objęła go obiema rękami za szyję. Oddychała szybko, namiętnie.

- Skąd taka myśl?... Co ci przyszło do głowy??

Gołmont siedział bez ruchu, pozwalając jej na wszystko.

- To może nastąpić prędzej czy później.

- Na podstawie czego tak sądzisz? - dyszała.

- Po pierwsze - bo jesteś najbardziej podniecającą kobietą, jaką w życiu widziałem, a po drugie - bo byłaś w stanie wyjść za człowieka, którego nie kochałaś.

- Monti - niemal dotykała ustami jego warg - posłuchaj mnie i zapamiętaj na całe życie: wyznaję ci moją miłość do ciebie aż do śmierci. Miłość tak mocną i ostateczną jak śmierć. Kocham cię całą moją duszą i całym ciałem. Kocham cię od pierwszej chwili. Kocham cię do utraty tchu. Kocham cię moim sercem i moją pochwałą. Jesteś w moich myślach, w mojej krwi. Pragnę żyć z tobą, i tylko z tobą tak, jak tylko kobieta pragnie. Moim jedynym marzeniem jest, żebyś we mnie wchodził twoim ukochanym ciałem i żebyś mi robił miłość wtedy, kiedy tylko to jest możliwe. Przysięgam ci, że nigdy nie dotknie mnie żaden mężczyzna prócz ciebie. Przysięgam na wszystko, co jest dla mnie święte. Monti: szczęście, to ty, życie - to ty, Monti...

Zamiast słów, dotknął wargami jej ust. Rozchyliła je i zamknawszy oczy wessała jego język, a potem, określonym ruchem wodziła po nim swoim językiem. Ogarnął ją ramionami i tak wtuleni w siebie, złączeni uściskiem, wchłaniali dawaną sobie namiętność ciała i pożądanie.

Za każdym razem kiedy ją całował czuł, że zapada się w jej kobiecość i odnajduje wtedy jakieś tajemne własne wnętrze, jakby istniał podwójnie: na zewnątrz i w głębi swego ciała. I wiedział, że tak naprawdę istnieje dopiero wtedy, kiedy jest z nią, z kobietą ukochaną, z kobietą, która zawiera w sobie cały sens istnienia. I czuł, że to najgłębsze tajemne życie daje tylko kobieta - istota niepojęta, wstrząsająco wielka i otaczająca bezpiecznym ciepłem niszczącym człowieczą samotność wśród gwiazd

i planet. Miał też niewzruszoną pewność, że to samo daje on, mężczyzna swojej ukochanej kobiecie. Więc złączeni nie byli już samotni, a miłość dawała pełnię istnienia. Miłość i tylko miłość.

Tulił ją z namiętą aż rozpaczliwą czułością i w tej chwili poczuł, że musi być Bóg, ponieważ taka radość życia nie mogła płynąć z samej tylko przemiany materii. Materia nie żyje. Ona tylko jest.

Omdlała i proszącą o spełnienie miłosne, trzymał Zytę w ramionach, a jednocześnie chciał coś zrobić, żeby mogli mieć do siebie swobodny dostęp.

Stukanie w szybę samochodu ocuciło go nagle. Szybko spojrzał w bok.

Przez szybę zaglądał chłop, a parę kroków dalej stał wóz zaprzężony w siwka. Na wozie siedziała babina w chustce na głowie.

- Kochanie - szepnął Gołmont.

- Co? - Zyta otworzyła oczy.

- Ludzie są koło nas.

Westchnęła i zsunęła ramiona z szyi kochanka.

- Czego chcą?

Gołmont wysiadł z auta.

- O co chodzi? - zapytał ostro.

Chłop odsunął się i zdjął czapkę.

- Pochwalony... - rzekł przyjaźnie.

- Na wieki wieków.

- Bo to jak trza, to kunie ze wsi przyprowadzę.

- Po co?

- Dyć taksówka... No, jak sama nie jedzie, to trza...

Gołmont zrozumiał, co chłop miał na myśli. Nagłe poirytowanie minęło.

- Chcieliście nam pomóc?

- A ino. Przecie nocka idzie.

Gołmont uśmiechnął się.

- Dziękuję, ale nic się nie stało.

- Sam pojedzie?

- Tak. Macie tu za troskliwość dziesięć złotych. Chłop spojrział na srebrną monetę.

- Co je od serca, to nie za pieniądze. Ostańcie z Bogiem. - I poszedł do furmanki. - Wie! - zawołał.

Gołmont wszedł do wozu.

- Myślał, że nie możemy ruszyć.

Na twarzy Nieborowskiej błysnął uśmiech.

- Jedźmy. Wszystko zepsuł - bałwan.

- Miał dobre chęci. To był człowiek, Zyto. Wysoki.

Samochód pomknął szosą.

- Monti, dokąd mnie wiesz?

- Dokąd zechcesz.

- Muszę wrócić do tego przeklętego domu?

- Tam już nie wrócisz.

- Będzie się mścić.

- Damy sobie radę. Jutro wystąpisz o rozwód.

- A jak on mnie złapie w swoje ręce?

- To już moja sprawa.

- Co zrobisz?

- Wyekspediuję go na wieś.

- A jak nie zechce?
 - To - do szpitala, na parę miesięcy.
 - Monti uważaj.
- Gołmont pokazał wilcze zęby. Tryskał pogodą.
- Jutro kupimy jakiś ładny dom. Co ty na to? Chcesz?
 - Jeżeli dla mnie, to nie chcę.
 - A, jeżeli dla nas?
 - To chcę, Monti, chcę.

* * *

Przyjechali do Warszawy o zmroku.

Nieborowska zamieszkała w hotelu, w pokoju sąsiadującym z apartamentem Gołmonta, który jeszcze tego wieczora zapukał do drzwi jej męża, będąc w towarzystwie Jaśminowicza. Odkładanie tej wizyty nie miało sensu, albowiem rzecz cała była nie do ukrycia, tym bardziej, że zniknięcie żony Nieborowski tłumaczył sobie jednoznacznie. Poza tym, nadszedł czas, by się rozmówić ostatecznie i przyjąć, w następstwie tego, odpowiednią taktykę. Trzeba też było zabrać ubrania i wszystkie inne przedmioty należące do Zyty.

Karol Hrabia Nieborowski przyjął ich w pokoju gościnnym, małym stosunkowo, ale urządzonego wygodnie. Z początku nie chciał oczywiście, w ogóle rozmawiać, ale kiedy dowiedział się, że Zyta jest już w Warszawie i właśnie Gołmont ma mu powiedzieć co postanowiła, ustąpił i przystał na rozmowę. Kiedy usiedli,

rzekł tłumiając wściekłość:

- Słucham! Tylko mów pan krótko i węzłowato.

- Zyta nie przekroczy już progu tego domu. - Gołmont mówił spokojnie, ale władczo. - Jutro formalnie zażąda rozwodu drogą sądową.

- Gdzie jest?

- Ze mną.

- Została pańską kochanicą?! Tak czy nie?!!

Gołmont zmierzył przeciwnika zimnym spojrzeniem.

- Niech pan się liczy ze słowami. Przyszedłem rozmawiać, ale jeżeli mnie pan zmusi - przemówię czym innym. Tak, jest moją kochanką. Po rozwodzie - zostanie moją żoną.

- Rozwodu nie dam!

- Sąd wyda orzeczenie bez pańskiej zgody. Proszę zawołać służącą i kazać jej spakować wszystkie rzeczy, które są własnością Zyty.

Nieborowski zmrużył oczy i nagle jego twarz wykrzywił dziwnie nieprzyjemny uśmiech.

- A, dobrze. Klasnął w ręce, a kiedy wszedł lokaj, polecił by Rózia ułożyła na kanapie w buduarze wszystko co należy do pani. Po wyjściu lokaja, Nieborowski zapytał:

- Jest pan zdecydowany ożenić się po otrzymaniu rozwodu, tak?

- Oczywiście. Na zakończenie chcę jeszcze dodać, że spodziewam się z pana strony intryg i wszelakiego rodzaju wstrętów czynionych w nadziei, że uda się jeszcze

pokrzyżować moje plany. Otóż, proszę pamiętać, że zareaguję na to z całą stanowczością, a jeżeli zajdzie potrzeba - połamię ci draniu gnaty. Wracaj pan do siebie na wieś. Tu, w Warszawie, będzie nam za ciasno.

- Uważa mnie pan za drania - powiedział Nieborowski, przechylając głowę. Cedził słowa, jakby chciał właśnie słowami pokonać Gołmonta. - Zyta przedstawiła mnie jako tyrana, prawda? A, czy zadał pan sobie pytanie, co sprawiło, że stałem się tyranem? Powiedzmy, że jestem tyranem. Ale - dlaczego?

- Nasza rozmowa jest skończona.

- Chciałby pan. A może jednak warto poznać całą prawdę? Panie hrabio, ja wiem, że jeśli chodzi o Zytę - przegrałem. Oddaję ją panu. A, właściwie... chyba... wyrażę nawet zgodę na rozwód. Ja, dopóki mogłem, walczyłem o Zytę, a nawet próbowałem ją złamać. Tak, przyznaję. Tu obecny pan Jaśminowicz także słyszał o moich staraniach, tych miłych dla Zyty, i nie miłych. Ja kochałem ją i wybaczałem wszystko... A, czy panowie wiecie, co ja wybaczałem? Czy to także powiedziała? Mam co do tego wątpliwości. Ona woli mówić, że kazałem zamordować Kropiwnickiego, że ją - ja, jej mąż - zgwałciłem. Takie rzeczy mówi się łatwo, ale czy powiedziała o tym, o czym powiedzieć trudniej? To nasza ostatnia rozmowa, więc audiatur et altera pars. Ja też mam prawo powiedzieć coś na swoją obronę. Ukrywałem to, bo ją kochałem, ale kiedy się skarżyła, że ją tyranizuję, że ją śledzę, to czy powiedziała dlaczego? Czy śledzi się żonę

wierną? Panie Jaśminowicz niech pan, jako świadek, odpowie na to pytanie.

- Pan ma chorą wyobraźnię - rzekł Jaśminowicz.

- Tak? - Nieborowski pokiwał głową. - Ja mam chorą wyobraźnię? A czy mojego fornala - młodego osiłka, który pieprzył Zytę w polu, też zrodziła wyobraźnia?

- Milczeć! - rzekł groźnie Gołmont.

- Milczeć? Jej wolno mówić prawdę i drugą część ukrywać, a mnie nie wolno mówić całej prawdy? Dlaczego?

- Kłamiesz, draniu...

- Kłamię? A śpiewak, Roberto Ascanio? Co robiła z nim w hotelu „Bristol” całą noc? To było dziewiątego stycznia tego roku. Można sprawdzić czy figuruje jego nazwisko w księdze meldunków hotelowych. Wyszła rano, chyłkiem.

- Kłamstwo! - zawołał Gołmont.

- Nie, panie hrabio. A rosyjski skrzypek, Jamarow z którym spała nawet w tym mieszkaniu? A Kropiwnicki? A przed Kropiwnickim inżynier Józefowicz? A przed nim kelner, który ją pierdolił na stole? Złapałem ich i waliłem kelnera w mordę a on podciągał portki.

- Dość! - Gołmont wstał.

- Mam dokładną listę! - krzyczał Nieborowski. - Osiemnastu fagasów!

- Niech pan zamknie gębę! - rozkazał Jaśminowicz.

Gołmont wyciągnął z kieszeni pistolet i zarepetował.

- Koniec - powiedział cicho i uniósł broń, ale

Jaśminowicz rzucił się na przyjaciela, zasłaniając Nieborowskiego.

- Monti!!

* * *

Wsiedli do samochodu i pojechali szybko, byle dalej, bez rzeczy Nieborowskiej i w zupełnym milczeniu. Za kierownicą siedział Jaśminowicz, zdenerwowany ale czujny. Zawiózł Gołmonta do siebie, nawet nie pytając czy tak będzie lepiej. Wiedział, że podjął właściwą decyzję.

W domu odprawił służbę, zamknął drzwi i usadowił przyjaciela na kanapie. Potem nakręcił numer hotelu „Bristol” i poprosił recepcjonistę by sprawdził w księdze meldunkowej czy dziewiątego stycznia mieszkał śpiewak Roberto Ascanio, a następnie - czy Włoch spędził noc z kobietą i kto to był.

Gołmont siedział w milczeniu. Słyszał rozmowę, robił jednak wrażenie człowieka, któremu na niczym już nie zależy. Twarz miał spokojną, oczy szeroko otwarte, ale puste.

- Tak - powiedział Jaśminowicz, odkładając słuchawkę na widełki. - Ascanio wynajął apartament w „Bristolu”. Przebywał w Warszawie osiem dni. Trzy albo cztery noce spędził w towarzystwie młodej kobiety, która opuszczała hotel rano. Była to elegancka brunetka. Nie znają nazwiska, ale wyglądała na artystkę. Ascanio kazał

wnieść do jego apartamentu pianino, by mogła na nim grać - akompaniować. Chcesz wódki?

Gołmont pokręcił głową przecząco. Potem rzekł:

- Tu kładę ci pieniądze. - Wyjął z portfela kilka banknotów. - Uregulujesz rachunek w „Europejskim”. Zabierz do siebie moje rzeczy.

- Dobrze. A ty...

- Ja... wyjeżdżam.

- Do Dębogóry?

- Nie.

- Monti... Powinieneś z nią porozmawiać.

- Nie.

- Straszne... Taki brud... - Jaśminowicz rozluźnił krawat.

- Ten łotr mógł wszystko... celowo przejawskrawić... Jego intencje są ci znane. Owszem, częściowo mówił prawdę, ale...

Gołmont zapalił papierosa, patrząc gdzieś w przestrzeń jak gdyby pokój nie miał ściany. Słyszał wszystko, odzywał się, a mimo to był gdzie indziej.

- Ogłoś w gazecie, że wyjechałem na długo do Brazylii. Mojego administratora odwiedzaj. Patrz tam na wszystko. Napiszę do ciebie. Daj słowo honoru, że adres mój zachowasz dla siebie.

- Słowo honoru. Kiedy wyjedziesz?

- Jutro.

- Odprowadzę cię.

- Nie.

Jaśminowicz nalał sobie kieliszek wódki i połknął zawartość jednym haustem.

- Zaraz ci pościelę. Idź spać.

- Nie.

- Zostań tu. Dokąd teraz pojedziesz?

- Nie wiem.

- Do niej?

- Nie. - Gołmont wstał. - Bywaj zdrów.

- Ty też. Monti, co jej mam powiedzieć?

- Nic.

- Do stu diabłów! Dlaczego oblepiają nas stale tony brudu? Dlaczego życie nie może być czyste?

XV

Nieborowska przeniosła się do małego pokoiku w skromnym hotelu. Jej całym majątkiem były ubrania, bielizna, buty. Miała tego dużo. Wszystko przywiózł jej Jaśminowicz, który zaopiekował się nią wbrew własnej woli. Po prostu, nie mógł zostawić jej na pastwę losu. Drugim człowiekiem, który pomagał, był profesor Huget, darzący Zytę ojcowskim uczuciem.

Oszczędności miała niewielkie: zaledwie tysiąc złotych. Ponieważ zrezygnowała z pracy w Filharmonii, nie miała żadnego źródła utrzymania i należało o czymś pomyśleć. Posiadała wprawdzie sporo biżuterii i bardzo kosztowne futra, ale nie wzięła niczego z tych rzeczy, ponieważ przypominałyby jej męża, a właśnie o nim

chciała zapomnieć, i to jak najszybciej.

Rozmowa z Jaśminowiczem przebiegła nadspodziewanie spokojnie: wysłuchiwała go z pochyloną głową, smutna i cicha. Nie płakała. W jej oczach błysnęło coś, kiedy padły słowa: „Pani, oświadczam, że Gołmont opuścił kraj na długo, nie chcąc niczego wyjaśniać”, ale to był tylko moment. Potem, już po najważniejszym, zaciskając dłonie wyszeptała:

- Nie znam tego włoskiego śpiewaka.
 - Więc mąż okłamał Gołmonta?
 - Okłamał.
 - To straszne. Musimy to wyjaśnić.
 - Nie trzeba.
 - Oczernił panią. Ten fornal... pewno też...
- Nieborowska oddychała z trudem.
- To było dawno...
 - Ale - prawda?
 - Tak.
 - A kelner?
 - Upili mnie...
 - Ale - prawda?
 - Tak...

Jaśminowicz westchnął.

- No, cóż... Gołmont nie mógł tego znieść. To go zwaliło z nóg. Czy pani jest tym zdziwiona?

Nieborowska mówiła z trudem, rozpaczliwie zaciskając dłonie:

- Nie... Rozumiem go... Mam tylko... żal...

- Do kogo?

- Do niego...

- Co powinien zrobić?

- Mógł...

- Co?

- Mógł mi chociaż zostawić... Mógł...

- Co?

- Fotografię... Chociaż to...

- Ach! - Jaśminowicz wstał. - Pani Zyto, dlaczego nie powiedziała mu pani całej prawdy o sobie? Gdyby usłyszał wszystko z pani ust, gdyby to była spowiedź... Może mógłby wybaczyć...

Siedziała zamyślona, samotna, pociemniała.

- Nie wiem. Bałam się. Myślałam, że przeszłość...

- Żegnam. Co mogę jeszcze dla pani zrobić?

- Nic.

- Może jednak?

- Nic - powtórzyła jak echo. - Nic...

- Pożyczyć pani pieniędzy?

- Nie.

- Jak pani sobie da radę?

- Dziękuję. Proszę już iść.

* * *

Następnego dnia, Jaśminowicz zatelefonował do hotelu i poprosił portiera, żeby pani Nieborowska odezwała się wieczorem. Na wszelki wypadek podał swój

numer.

- Pani Nieborowska już zwolniła pokój - rzekł portier.
- Dokąd się przeniosła?
- Nie wiem.
- Zabrała bagaże?
- Tak. Odjechała dorożką na dworzec kolejowy.
- Może zostawiła jakąś kartkę? Niech pan poszuka.
- Nic nie zostawiła.

* * *

Profesor Huget zmartwił się.

- Jak mogło do tego dojść? Przecież to koszmar.
- Myślałem, że zwierzała się panu - rzekł Jaśminowicz, trąc czoło. - Jestem pewien... Monti nie przewidział biegu wydarzeń.

- Dwoje rozbitków. On wytrzyma - jest silny, ale ona...
Muszę ją odnaleźć.

- Chętnie panu pomogę.
- Huget siedział zgarbiony i nagle bardzo stary.
- Boję się, żeby nie zrobiła sobie...
 - Co? Samobójstwo?
 - Wszystko możliwe.
 - Ale... chyba - nie ona?
 - Kobiety są nieodgadnione, rzadko są zakochane całą swą istotą, a ona... a jej się to właśnie przydarzyło.
 - Musimy jej szukać.
 - Bezapelacyjnie.

Zaczęli poszukiwania natychmiast. Bez skutku.

Szukał jej także Pocijko, a nawet policja, na specjalne zlecenie Jaśminowicza. Zyta Nieborowska znikła, nie pozostawiając żadnego śladu.

* * *

Pewnego popołudnia, w salonie Stefanii Lange zebrało się kilka osób. Łysy brodacz palił cygaro, popijał szprycera i nie odzywał się długo, pogrążony w myślach. A kiedy jeden z panów poszedł do pokoju obok, gdzie zwykle siedziały panienki, żeby wybrać sobie którą i wejść z nią do specjalnego gabinetu, łysy brodacz powiedział nagle:

- Jacy to różni ludzie są na świecie.

- Ile lat poświęcił pan medytacji, prowadzącej do tak odkrywczego stwierdzenia? - zapytał chudy brunet w binoklach.

- Może pan sobie pokpiwać, a jednak... Te damy - obok - przychodzą tu po to głównie, żeby sobie sprawić ładną sukienkę i eleganckie pantofelki, bo takich jeszcze nie mają, a są też takie damy, które posiadają, a wcale nie chcą.

- I co w tym nadzwyczajnego? - Jaśminowicz wzruszył ramionami. - Zawsze jest tak, że jedni chcą, a drudzy - nie.

Łysy brodacz pokręcił głową.

- E, ta co była niedawno w moim lombardzie, z

pewnością chciała, a jednak...

- Wstyd - powiedziała Stefania Lange. - Pan wykorzystuje ludzi.

- Ja? Ale skąd! Przecież sama przyszła i zastawiła różne różności. A to była najelegantsza kobieta w Warszawie.

- Ciekawe, któż to taki?

- Artystka i hrabina. Wspaniała kobieta.

Jaśminowicz nadstawił uszu.

- Jak nazwisko?

- Artystka z Filharmonii. Pani Zyta Nieborowska.

- Nieborowska? Kiedy?

- Ładnych parę dni temu.

- Co zastawiła?

- Całe dwa worki. Czego tam nie było?! A ile butów, a jaka bielizna! No i od takiej kobiety...

Jaśminowicz przysunął się do brodacza.

- Panie, ja jej właśnie szukam. Gdzie ona jest teraz?

- Milcząca była. Wzięła pieniądze i wyszła.

- Zostawiła chyba jakiś adres?

- A po co? Jak się nie zgłosi w terminie...

- Wszystko od pana odkupię.

Brodacz westchnął.

- Wspaniała kobieta. Nie. Tego mi zrobić nie wolno. Chyba, że po terminie. Jak się nie zgłosi...

- Coś przecież powiedziała? Niech pan sobie przypomni. To dla mnie ważne.

- Czy pan wie - rzuciła Stefania Lange - że ta kobieta,

to miłość hrabiego Gołmonta?

Właściciel lombardu stropił się.

- Ależ, drodzy państwo... Skąd ja mogłem wiedzieć? Przyszła, zostawiła, wzięła pieniądze... Co ja jestem winien? Schowałem wszystko. Nic nie zginie. Tylko... dlaczego to zrobiła?

- Szukamy jej - powiedział Jaśminowicz. - Nie radzę ukrywać jej adresu.

- Słowo daję - nic nie powiedziała. Dorożkarz położył na ladzie dwa worki, a ona załatwiła sprawę i poszła. Poszła. Wymówiła tylko kilka słów.

- Tajemnicza historia. - rzekł chudy brunet.

- Co to znaczy? - zapytała Stefania Lange.

- To znaczy, że życie jest diabła warte - powiedział Jaśminowicz i pożegnawszy się, wyszedł.

XVI

Pani Helena Tymkiewiczowa należała do kobiet energicznych. Będąc wdową, sama zajmowała się gospodarstwem. Majątek Struga, niewielki, ale dobrze utrzymany dawał skromne dochody, wystarczające wszakże na potrzeby małej, rozbitej rodziny. Niski dwór z dwiema kolumnkami przypominał starego borowika; miał taką samą czapę, tyle że z gontów. W środku było nie bogato, ale wygodnie. Pani dziedziczka mieszkała ,tu z sześciolatnim wnuczkiem Jasinkiem, chłopcem bladym i mizernym, który wychodził czasem do parku w dni

słoneczne. Matka osierociła go, umierając na suchoty, a ojciec Kazimierz Tymkiewicz, trzydziestoletni korpulentny mężczyzna, najczęściej przebywał poza domem rodzinnym, upodobawszy sobie Wilno, gdzie zresztą prowadził różne interesy, przynoszące więcej strat niż zysków. Na wsi nudził się. Wesoły z natury, szukał towarzystwa, a w dużym mieście było o to łatwiej. Przyjeżdżał jednak często, wnosząc do cichej Strugi śmiech i optymizm. Kiedy stawał w drzwiach tęgi, duży, obładowany prezentami, nawet na smutnej twarzyczce Jasia pojawiał się uśmiech. Ojciec dobry i troskliwy, kochał swego synka, a syn przepadał za ojcem.

Pani Tymkiewiczowa miała tylko jednego potomka; po śmierci synowej z niepokojem patrzyła na wnuczka, bowiem zamiast po ojcu - zdrowie, odziedziczył po matce - słabe płuca i w ogóle kruche ciało, a tu nadchodził czas nauki. Jaś umiał wprowadzić to i owo, próbował nawet składać litery, wszelako siedząc na wsi i słuchając najczęściej wiatru w kominie, rozwijał się wcale nie tak, jakby życzyła sobie tego czuła babcia.

Po naradzie z synem, doszła do wniosku, że błędem byłoby umieszczenie Jasia w wileńskiej szkole; był słabowity i miałby ciężko wśród rozhukanych, silnych rówieśników. Należało zająć się jego edukacją inaczej. Ponieważ wiejska szkółka nie wchodziła w grę, można było jedynie wziąć do domu nauczycielkę. Matka i syn postanowili jednomyślnie, że tak właśnie uczynią. Zaraz też umieścili w gazecie ogłoszenie: „Potrzebna

nauczycielka do sześciolatniego chłopca na wsi. Wymagany łagodny charakter i znajomość języka francuskiego. Warunki dobre, mieszkanie zapewnione we dworze". Anons zamieszczony w poczytnej gazecie wileńskiej przyniósł plon obfity; zgłosiło się sześć nauczycielek. Kazimierz Tymkiewicz rozmawiał z kandydatkami z osobna, w umówionej cukierni. Pierwszego dnia spotkał się z trzema osobami i zdecydował, że druga z przybyłych, pani Leokadia Szczygieł, zostanie przyjęta. Następnego dnia poszedł już tylko dla zasady; wiedział, że ma obowiązek uczciwie zawiadomić, że nie powinny liczyć na zatrudnienie.

Dwie kolejne odeszły z kwitkiem. Trzecia usiadła przy stoliku i wyjęła z torebki ogłoszenie.

Tymkiewicz mrugał oczami. Siedziała przed nim młoda kobieta skromnie ubrana, w bluzce zapiętej pod szyję. Była tak piękna, że zupełnie zapomniał, iż powinien coś powiedzieć. Już kiedy szła do stolika, zwróciła jego uwagę swym urzekającym, naturalnym wdziękiem i niezwykłą wprost zaborczością pysznego ciała, które po prostu podniecało mimo, że kobieta nie robiła nic, by tak właśnie działać na mężczyzn.

Wziął wreszcie ogłoszenie do ręki, zupełnie niepotrzebnie i obracał je w palcach.

- A więc, chce pani uczyć synka mego? - rzekł dość bez sensu, bo właśnie w tym celu przyszła.

- Moje nazwisko: Felicyna Nieborowska.

- Miło mi - powiedział, ale zapomniał wstać i

przedstawić się.

- Mam ukończone Konserwatorium Muzyczne.

- No, to świetnie... Mój syn ma zdolności... z pewnością. To wrażliwe dziecko. - Tymkiewicz przyszedł do siebie, uśmiechnął się. - Kazimierz Tymkiewicz, a mój syn ma na imię Jaś.

Coś, jakby smutny cień przesłoniło na chwilę czarne, ogromne oczy kobiety. Twarz pozostała jednak nieruchoma i niedostępna.

- Sądzę, że sprostim oczekiwaniom. Jeżeli, naturalnie nie zaangażował pan kogoś innego...

- Nie, nie. Konserwatorium... To przesądza sprawę. Język francuski?...

- Tak. Prócz tego - włoski i niemiecki.

- Doskonale! - ucieszył się Tymkiewicz. - Panna... jeśli wolno spytać?

- Mężatka.

- Ach, tak?... Ale...

- Opuściłam męża - powiedziała Nieborowska obcym głosem. - Nie chcę o tym mówić. To nie ma żadnego znaczenia. Muszę pracować na swoje utrzymanie i gotowa jestem zamieszkać na wsi. Jestem samotna.

Tymkiewicz uzgodnił z matką, że nauczycielką Jasinka może być tylko stateczna panna, o nienaganej reputacji. Taką właśnie kandydatką była pani Leokadia Szczygieł, czterdziestoletnia, zaszczona, zawodowa nauczycielka. Ją też postanowił przyjąć, jednakże nie przewidział, że następnego dnia pojawi się piękna, czarna

pantera, zniewalająca kocica, z którą żadna kobieta wygrać nie może.

- Angażuję panią. Czy może pani zacząć jutro?

- Tak.

- Świetnie! A więc jutro pojedziemy na wieś koleją. Tam, na wsi, rządzi moja matka. To dobra kobieta i mądra.

Pani Tymkiewiczowa przyjrzała się nauczycielce uważnie, ale życzliwie. Od razu zrozumiała, że jest jakiś specjalny powód, dla którego ta młoda dama decyduje się na długotrwały pobyt na wsi, gdzie nie ma ani wygod, ani odpowiedniego dla niej towarzystwa, nie mówiąc już o karierze. Powstrzymywała się jednak taktownie, od zadawania pytań na tematy osobiste, odkładając to na później.

Przede wszystkim pokazała Nieborowskiej pokój na poddaszu, niewielki, skromnie umeblowany, z umywalnią w postaci miednicy i dużego dzbanka na wodę. Okno wychodziło na zachód, a ukazywało fragment parku i ogródek warzywny. Drzwi zaopatrzone były w klucz. Następnie panie zeszły do jadalni, gdzie podano już obiad.

Ojciec przyprowadził małego Jasia i powiedział:

- To jest pani nauczycielka.

Nieborowska uśmiechnęła się po raz pierwszy. Dotknęła ręką główki chłopca.

- Dzień dobry, Jasiu. Mam nadzieję, że mnie polubisz.

- Murowane! - zawołał Tymkiewicz. - Siadajmy do stołu, bo pani pewno głodna, a jak człowiek najedzony, to

i świat zaraz weselszy. Dobrze jedzenie, dobrze człowieka usposabia.

Zaczęli jeść.

- Pani pochodzi z Wilna? - zapytała właścicielka Strugi. - Coś, chyba nie; akcent nie nasz, choć to dzisiaj ludzie są wymieszani.

- Urodziłam się w Warszawie - powiedziała Nieborowska.- Do Wilna przyjechałam w tych dniach.

- Okolica jest piękna, jeżeli pani lubi spacerować. Teraz, w lecie narzekać nie można. Gorzej jesienią, bo to jak grunt rozmoknie - choć się i utop. Ale potem nastaje ładna zima, a śnieg i mróz trzyma do marca. Dobrze tu pani będzie. Oj, tutaj dobrze.

- A konno pani jeździ? - zapytał Tymkiewicz, pochłaniając ogromne ilości jedzenia.

- Nie.

- Nauczę. Tu, bez konia, jak bez ręki.

- Na wszystko przyjdzie czas. - Pani domu uśmiechnęła się do Nieborowskiej. - Felicjta ma chyba jakieś zdrobnienie?

- Proszę do mnie mówić: Zyta.

- Pięknie. Pani Zyto, przyzwyczajwszy się, polubi pani te strony. Ludzie dobrzy. Trzeba z ufnością patrzeć w przyszłość. Tak to już jest, że raz na wozie, raz pod wozem. No, wszystko się ułoży. Jutro rano wstawszy, pierwsze lekcje. Robota, to najlepsze lekarstwo na smutki. A teraz, po obiedzie, niech pani idzie wypocząć do siebie. Józia wodę przyniesie, bo to w pośpiechu pani nawet

rączek nie umywszy. Podwieczorek u nas o piątej.

* * *

Nieborowska rozpakowała walizkę, a kiedy Józia przyniosła wodę, zamknęła drzwi i usiadła na łóżku. Pokój tonął w ciszy. Wpatrzyła się w okno, w pogodne niebo, w gęstą zieleń drzew i nagle wielki żal ogarnął serce. Upadła na łóżko i zaczęła rzewnie płakać. Przyszła do niej wielka pustka. Nie było już nic, wszystko się rozpadło, runęło gdzieś, przeminęło. Wszystko. Tak nagle. W dniu, kiedy miało się zacząć ich wspólne życie. Jeszcze raz, dawny grzech zagroził drogę nowemu życiu, bo takim właśnie dawnym grzechem było poślubienie Karola Nieborowskiego. Jeszcze raz wypełzły z mroku jej lekkomyślne postęпки, by w plugawych ustach człowieka, którego sama uczyniła swym mężem, stać się świadectwem jej winy. „A jednak to były moje postęпки, moje grzechy, moje wybryki” myślała. „Ten potwór tym razem mówił prawdę. W niegodziwej, w najbardziej niecznej intencji, ale mówił prawdę. A teraz nastał czas pokuty. Będę pokutować całe życie. Do końca”. I stopniowo żal, przeradzał się w bunt, bo przecież taka pokuta, to już okrucieństwo. „Za wiele”, myślała łkając, „za wiele. Dlaczego kara tak ciężka, tak ostateczna? Dlaczego nie ma nawet nadziei? On już nigdy nie wróci. Już nigdy. Teraz -już nigdy. A przecież to było kiedyś... Już nigdy bym tego nie zrobiła. Jestem już inna. I właśnie

teraz, kiedy jestem inna... Właśnie teraz..."

Płakała długo, z rozpaczą zaciskając bezsilne dłonie, i widząc wciąż jego kochaną twarz, jego zmrużone lekko oczy, dla których mogłaby umrzeć, gdyby to było konieczne. Stał przy niej, pochylał się nad nią, uśmiechał się do niej i szeptał jej słowa otwierające przed nią niebo. Kochała go z wszystkich sił, całą sobą, ogromnie, do utraty tchu, na zawsze. Wiedziała, że już nigdy nie będzie w jej życiu innego mężczyzny, że pozostanie jej na zawsze, do końca to, co przeżyła z nim, z Montim, z jej jedyną prawdziwą miłością.

Uspokoilo ją zmęczenie. Bez sił dowlokła się do umywalni i przemywała oczy letnią wodą, żeby zatrzeć ślady swojej męki, żeby nikt nie mógł odgadnąć tajemnicy jej życia.

Ale poczciwa pani Tymkiewiczowa odgadła. Jeszcze tego wieczora, wyprawivszy syna do Wilna ostatnim, popołudniowym pociągim, mimo protestów, zabrała Nieborowską do swojej sypialni, posadziła na otomanie i usiadłszy blisko, wzięła jej piękne ręce w swoje szorstkie dłonie.

- A teraz, moja mała Zyto, mów wszystko jak do matki. Ja wiem, że ciebie smutek tu przygnał, boleść prawdziwa, ale to wiedz, że ja wysłuchawszy zrozumiem, a twoje serce dozna ulgi. Mów, wypowiadaj się, zaufaj starej kobiecie, bo tobie teraz to potrzebne. Drugi człowiek, mający także serce a nie kamień zimny, może czasem pomóc, bo widzi dalej niż twoje oczy zasłonięte

łzami. No, pokaż oczy. Ty płakałaś na górze. One mają jeszcze ślady łez.

I Nieborowska opowiedziała jej wszystko. Opowiedziała całe swoje życie, nie oszczędzając się ani razu. Powiedziała prawdę i odsłoniła swoją tragiczną miłość do człowieka, który nie wytrzymał i porzucił.

- Teraz, zrozumiawszy ciebie, ja tobie powiem: nic tak nie dokucza jak niedola serca. - Pani Tymkiewiczowa mówiła w zamyśleniu cichym, kojącym głosem. - Ale to jest, nie tylko twoja niedola. Jego także. Twoje serce skrwawione, ale jego też. Twoje myśli są przy nim, a jego - przy tobie. Bo jeżeli w nim jest miłość, tak jak w tobie, to on nie zapomni. Będzie tam łaził po drzewach afrykańskich jak ten małpiszon, ale z serca ciebie nie wydrze. Żyj tak, jakby was rozdzielił zły czarodziej, miawszy w tym swoją złą radość. Serce zwycięży każdy czar najgorszy. A tak, i przyjdzie taki dzień, że boleść powróci go do kraju, i to, co bywszy złe - przeminie.

- On mi nie wybaczy - wyszeptała Nieborowska, połykając łzy. - On jest silny, więc wszystko wytrzyma.

Pani Tymkiewiczowa uśmiechnęła się.

- Może on i silny, ale miłość silniejsza. Widzisz, moje dziecko, człowiek może mieć największą nawet obfitość wszelakiego dobra, a jednak bez drugiego człowieka zawsze będzie biedny i nieszczęśliwy. Chyba, że serce z wiekiem wystygnie. A co to znaczy: drugi człowiek? To znaczy dla kobiety - mężczyzna, a dla mężczyzny - kobieta. Bo tak rządzi natura. A ty jesteś taką kobietą, co

daje więcej szczęścia niż inne, bo ty masz takie ciało, jak rzadko można znaleźć. A pamiętaj, że mężczyzna kocha kobietę przez jej ciało. Taka już jego wewnętrzna potrzeba. My szukamy u nich osobowości. A oni - osoby. Oni patrzą, a my czujemy. No, charakter - rzecz ważna. Ale dla nich, charakter nasz, to wierność. A dla nas - siła.

- Więc co mam robić?

- Siedzieć tu cicho i uczyć naszego Jasinka. Czy ty potrafisz żyć bez mężczyzny? Potrafisz czekać? Bo jeżeli nie, to... nic ja tobie nie poradzę.

- Chcę tylko jego jednego. Inni już nie istnieją.

- Jak jest - pokaże życie. Ale ja tobie krzywdy nie dam zrobić. Jakby tu kto ciebie nagabywał, to zaraz mi powiedz, a ja i mego syna ostudzę, bo on już zobaczywszy w tobie samice, pewno plany robi. Ty się nie bój jego. Teraz, kiedy wiem dla kogo jest twoje ciało i dusza - odsunę nawet rodzzonego syna. Za to, że ty szczerą.

XVII

Rozklekotaną taksówką, jedną z kilku stojących na nabrzeżu portowym, zajechał przed „Taverne Alain Pignot”. Był to duży szynk, z pokojami do wynajęcia na piętrze. Należał do Francuza, który od dwudziestu lat przebywał w Afryce. Alain Pignot miał dobre stosunki z miejscową policją, dzięki czemu lokal o jak najgorszej sławie prosperował znakomicie, gromadząc ludzi szukających mocnych przeżyć.

W wieczornym niebie tonęły pióropusze palm, a nad wejściem jarzył się czerwony szyld i płonęły dwie czerwone latarnie obwieszczające marynarzom, że tu można się zabawić i zaspokoić popęd płciowy, który dokuczył na morzu w czasie długotrwałego rejsu.

Gołmont wszedł do środka i skierował się do restauracji; obok była sala gier, gdzie królował poker i bilard, a w głębi - bar pogrążony w czerwonym półmroku.

Usiadł przy jednym z niewielu wolnych stolików. Otaczało go wnętrze portowej speluny rozjaśnione kilkoma kolorowymi lampami, pełne najprzeróżniejszych ludzi w oparach dymu i alkoholu. Na antresoli grała orkiestra. W prawej części sali, pozbawionej celowo światła, tańczyło kilkanaście par, przeważnie europejczyków.

- Que voulez-vous boire? - zapytał czarnoskóry kelner.

- Le vin et l'entrecôte. - Gołmont obserwował salę, nie patrząc w ogóle na kelnera. - Jest szef?

- Nie ma?

- To zawołaj go.

Kelner odszedł, spoglądając z szacunkiem na białego gościa, którego amerykański pas obciągała z prawej strony olbrzymia kabura, a z lewej - długi kordelas.

Po jakimś czasie podszedł do stolika mały, ale za to gruby, brunet o biegających oczkach, które zawsze dostrzegały w porę to, co trzeba. Miał na sobie biały smoking.

Grubas przechylił głowę ukontentowany.

- Monti! - zawołał.

- Alain! - Gołmont wyciągnął rękę na powitanie. Tamten uściśnął podaną dłoń i usiadł szczerząc zęby.

- Ca va?

- Jakoś leci.

- Gdzie mieszkasz?

- Jeszcze nigdzie.

- Dla ciebie pokój się znajdzie. Chcesz?

- Tak. Na parę dni. Wyślij kogoś po mój bagaż do portu.

- Jasne. - Pignot świdrował oczami swego gościa. - Ile to lat?

- Trzy albo cztery. A co u ciebie?

- Ruch jak zwykle. Trochę więcej mamy Niemców. Kelner przyniósł mięso i wino, po czym odszedł na palcach.

- Spokojnie? - spytał Gołmont zabierając się do jedzenia.

- Wiesz jak to jest. Amalgamat ras i narodów. Zawsze coś tam zaiskrzy. Trzeba uważać. Oczywiście, pozwolenie na broń masz? Co to jest?

- Mam. Wydane w Marsylii - na całą Afrykę. Smith & Wesson z długą lufą.

- Wczoraj zadźgali Włocha z Neapolu. W toalecie.

- Napijesz się?

- Z tobą - chętnie. Dokąd teraz?

- Przed siebie.

Pignot nalał sobie wina.

- Sam?
- Sam.
- Coś masz krzywą gębę... Świat, czy ludzie?
- Wszystko razem.
- Tak to już jest.

Jakaś półnaga blondynka zaczęła śpiewać na antresoli.
Orkiestra cięła rytm.

- Ktoś nowy?
- Taka jedna. Isabelle już dawno wyjechała. Chyba wróciła do Paryża, a tam pójdzie na ulicę. Głupia gęś, z romantyczną duszą.

- Jej życie.
- Tak. Pamiętasz Velu? Kochał się w niej. Oczywiście bez wzajemności. Nie żyje.

- A Farouche?

Pignot wzruszył ramionami.

- Nie wiem gdzie jest. Po prostu zniknął. Chcesz na noc dziewczynkę?

- Nie.

- Znalazłbym taką. Bez ryzyka. Strzeż się tej. - Pignot wskazał głową kobietę siedzącą z korpulentnym mężczyzną w karminowym fezie. Miała na sobie obcisłą sukienkę uwydatniającą smukłe kształty. Jej brązowe włosy opadały na ramiona, a kiedy zwróciła przypadkowo twarz w ich stronę, Gołmont zauważył, że jest bardzo piękna. - Pamiętaj, Monti, z nią nie zaczynaj. To jadowita bestia. I taki ma przydomek: Venimense.

- Ma swojego Turka.

- Tak też go nazywają: Turc. Facet ma kupę forsy. Nikt go nie zna. Jej zresztą też. Zaraz ci każę przygotować pokój, no i wyślę kogoś po rzeczy. Masz kwit?

- Tak. - Gołmont podał grubasowi złożony we czworo papier.

- Do jutra. Kelner przyjdzie po ciebie.

Gołmont siedział jeszcze z pół godziny. Potem przyszedł kelner.

- Pan pozwoli - rzekł.

- Płacę.

- Już zapłacone.

* * *

Rano obudził Gołmonta warkot ciężarówki, która przywiozła zaopatrzenie. Robotnik wyciągał z platformy skrzynki z alkoholem i zanosił je do szynku, hałasując przy tym ile wlezie. O spaniu nie było mowy. W małym pokoiku panował jeszcze nocny chłód, wchodzący przez moskitierę. Ale słońce szybko poszło w górę, ogrzewając powietrze.

Gołmont wypił szklanekę soku z pomarańczy, a potem zapalił papierosa. Leżał na wznak. Nad głową miał obcy sufit, wokół - obcą rzeczywistość, obcych ludzi, a przed sobą - jakąś mglistą niewiadomą i otwarte wszystkie drogi. Ale żadna z nich nie obiecywała tego, czego by sobie życzył, a co gorsza, żadna z nich nie prowadziła do zapomnienia, które teraz stało się jedynym, ostatnim

pragnieniem.

W kraju pozostać nie mógł, w Paryżu zatrzymał się kilka dni, dłużej - nie chciał. Z Marsylii wyruszył statkiem towarowym, pierwszym jaki się nadarzył i trafił tu, do Tunisu, ale i tu czuł, że zostanie parę dni. Tunis znał, odwiedzał go kilka razy, zawsze jednak przelotnie. Teraz postanowił przyłączyć się do karawany, wszystko jedno jakiej, byle szła przez pustynię, przez piach i skały Sahary, na południe, daleko. Chciał zanurzyć się w trudach wędrówki, wniknąć w głąb lądu, samotnie wmieszać się w tłum afrykański, w półdzikie rojowisko, a potem dotrzeć do plemion dzikich. Był zdecydowany pójść nawet tam, gdzie jest najgorzej, skąd powrót jest przypadkiem, ale nie miało to nic wspólnego z samobójstwem. Przeciwnie: chciał naj większego wysiłku, niebezpieczeństwa, lecz także - walki. Tak naprawdę, sam dobrze nie wiedział, czego chciał; założenia, plany, mapy były mu tym razem obce, tak jak obcy mu był wyraźny cel podróży. Po prostu chciał iść. Iść, żeby zapomnieć, żeby zagłuszyć, żeby zatrzeć jej twarz. Zyta stała się ciężarem, raną i przekleństwem. Kochał ją i nienawidził. Myślał o niej, była w nim, krążyła w jego krwi, i to straszliwie bolało, więc chciał się pozbyć, uwolnić, czuł jednak, że wszystkie próby daremne, dopóki będzie silny i świeży.

Tego, co usłyszał od Nieborowskiego, wybaczyć nie mógł i czuł, że nie wybaczy nigdy. Świadomość, że już nic się nie zmieni, że już nic się nie może wyjaśnić, odbierała mu niemal wolę życia, bo życie bez Zyty było

teraz dla niego istnieniem w próżni. Wszystko utraciło sens. Wszystko, prócz słów jej męża, który dążąc do zniszczenia, powiedział prawdę, wiedząc, że nowy kochanek wybaczy jej każdy grzech, zbrodnię nawet, ale nie wybaczy tego, że była dziwką, że miała naturę dziwki, że robiła to, czego zakochany mężczyzna nie wytrzyma, bo to jest ponad siły. Gdyby mógł nie uwierzyć, gdyby mógł wątpić w prawdziwość słów nienawiści, zrobiłby wszystko, żeby ocalić miłość, ale musiał uwierzyć, bo nienawiść miała już tylko tę ostatnią broń: powiedzieć prawdę, skoro ta prawda mogła śmiertelnie zranić.

Gołmont zszedł na dół żeby coś zjeść. W dzień, w godzinach słońca szynk był zamknięty. Jadł więc sam. Po chwili nadszedł Pignot. Usiadł.

- Jak spałeś?

- Spałem. To już dużo.

- Twoje bagaże są w moim kantorze. Niech tam zostaną. Będziesz miał luźniej w pokoju, jak wreszcie weźmiesz sobie dziewczynę. A weźmiesz.

- Mnie to nie pomoże.

- Dziewczyna pomoże. To najlepsze lekarstwo, jakie znam. Prawdziwe panaceum.

Gołmont położył rękę na ramieniu Francuza.

- Dziękuję ci Hipokratesie, aleja mam duszę słowiańską. Lekarstwa nie ma. Tego Francuz nigdy nie zrozumie.

Pignot uniósł jedną brew i spojrzał z niedowierzaniem.

- Mam tu dla siebie, takie małe cudo arabskie. Na razie

pilnuję, żeby jej ktoś nie zepsuł, i miałem zamiar wziąć ją pewnego pięknego dnia; oddam ją jednak tobie z czystej przyjaźni. Mogę ci ją przysłać już dziś. 16 lat, dziewica, uroda Kleopatry. Rarytas.

Gołmont znał Pignota z tej strony. Ten energiczny grubas prowadził różne interesy, zajmował się różnymi sprawami, wszakże najchętniej mówił o dziewczętach. Może dlatego, że zajmowały tak ważne miejsce w jego życiu, może dlatego, że chciałby aby tak wszyscy myśleli, a może dlatego, że był po prostu impotentem. Gołmont podejrzewał go oto. Znał ludzi, którzy opowiadali bez końca o swych przygodach miłosnych, o udanych zawsze podbojach, o swej nieograniczonej wprost wytrzymałości płciowej umożliwiającej odbycie kilkunastu stosunków jednej nocy. Potem okazywało się, że były to ich marzenia, bo nie byli w stanie odbyć jednego. Słuchał teraz Pignota przez grzeczność, ale miał już tego dość, więc rzekł:

- Wiesz co, Alain, ja mam ochotę na Venimense.
- Absurd.
- A jednak.

Pignot skrzywił się.

- O tej porze jeszcze Turc pogłębia jej kanał.
- To mu przetrączę pogłębiarkę.
- Uważaj. Turc uczył się u Hiszpanów noża. Włada nim po mistrzowsku, a jest szybki jak wąż. Myślę też, że często używa swego ostrza. Monti, a'propos, kto ci przetrącił twoją słowiańską duszę?

- Opowiem ci o tym kiedyś. Rozumiesz mnie?
- Jasne.
- To dobrze.
- Baby są przekleństwem, kiedy się je traktuje poważnie. Dlatego ja biorę każdą tylko raz.
- Jesteś w czepku urodzony.
- Żyję, Monti. Biorę życie takim, jakie ono jest.
- Idę na bazar.
- Teraz?
- Tak. Chcę się przyłączyć do jakiejś karawany.
- Na południe?
- Właśnie.
- Sahim jedzie jutro do Touggourt'u. Wskaże ci go każdy.
- Doskonale. A potem może dotrę do Ahaggar'u, przez Wielki Erg.
- Straszna pustynia. Bez oaz. Jedyłą radością: fatamorgana.
- Wiem.
- Z Tuagerami w górach - ostrożnie. To dziwne plemię. Wynajmiesz ludzi?
- Pojadę sam. Kupię dwa wielbłądy.
- Nie wrócisz.
- To i co? Niebo nad Tunisem pozostanie i tak błękitne. Jak dziś.
- A sirocco zasypie ślad człowieka.
- I tak trzeba.
- Wiatr zasypuje też szkielety na pustyni.

- A czas przynosi nowych ludzi. Żeby karuzela mogła się kręcić.

- Ale bez nas, to już nie to...

Gołmont wykonał nieokreślony gest. Potem wstał.

- Na razie.

* * *

Wieczór był bardzo niespokojny. Coś dziwnego wisiało w powietrzu. Tawerna kipiała - nadeszła spora grupa marynarzy. Tuż przed północą wybuchła pierwsza awantura, zaraz potem - druga. Rozwalono kilka stolików, jeden z kelnerów oberwał nożem w ramię, dwaj marynarze zlani krwią musieli zostać przeniesieni do bocznego pomieszczenia, w oczekiwaniu na lekarza. Prawie natychmiast zjawiała się policja, zaprowadzając porządek. Orkiestra znów grała argentyńskie tanga, na parkiecie tańczyła kilka par. Dziwki pracowały bez przerwy, znikając ze swymi oblubieńcami w mrocznych czeluściach korytarza, za ogromną kotarą.

Gołmont zjadł kolację i pił szprycera. Siedział w kącie sali przy małym stoliku dla dwóch osób. Był sam. Podeszła do niego jedna z dziewczyn, ale oświadczyła jej, że ma zadawniony syfilis, więc ostrzegają, chociaż nie odmawia pójścia do pokoju. Prychnęła i odeszła.

Nagle rozległy się strzały. Turc uciekał z uniesioną lufą rewolweru, a dwaj policjanci gonili go, chcąc wziąć żywego. Powstał zamęt; jakaś kobieta krzyczała

histerycznie, kilku mężczyzn próbowało zatrzymać Turka, ale ten odwrócił się i znów dał ognia. Bliższy policjant złapał się za brzuch, a jego twarz pobladła gwałtownie na widok krwi wyciekającej spod przyciśniętej do brzucha dłoni. W chwilę później, Turek zawadził o jakiś taboret i runął na podłogę. Momentalnie został obezwładniony. Przy jego stoliku siedziała spokojnie Venimense, paląc papierosa i beznamiętnie obserwując scenę. Miała na sobie suknię bananowego koloru. Wyglądała wspaniale.

Gołmont zauważył ją i przyjrzał się jej dyskretnie. „Wstrętna kurwa” myślał. „Jeszcze dziś spała z nim, a teraz patrzy na to jak na ekran w kinie. Jutro wybierze Włocha, Hiszpana lub Francuza”. Opuścił głowę i zmarszczył brwi. „Ale robi to przynajmniej jawnie, bez frazesów i przysięg. Jest na swój sposób uczciwa: sprzedaje się, bo tak chce, nikogo jednak nie oszukuje, nie zwodzi gładkimi słówkami. Jest tylko pożałowania godna, bo z tego co święte zrobiła kloakę. A jednak, do diabła, to lepsze. Nawet to jest lepsze”. Skurczył się, bo oto przypląnęła białym obłokiem sukienki Zyta. Jej oczy rozwarte szeroko, ciemne, patrzyły nieruchome i pełne smutku, jej usta drgały, jakby pragnęła coś powiedzieć. Znów była przy nim bliska i daleka. Jedna, jedyna. Kochał ją rozpaczliwie i beznadziejnie, ponieważ - już nigdy. Ponieważ skończyło się na zawsze.

- Czy pan pozwoli?

Gołmont otworzył oczy i powrócił do rzeczywistości. Stała przed nim Venimense. Westchnął i rzucił krótko:

- Proszę.

Usiadła, wyciągając do niego rękę.

- venimense.

Dotknął jej dłoni, mruknąwszy niewyraźnie swoje nazwisko. Nie było to zachęcające.

- Turc otrzymał to, na co zasłużył. Handlował kokainą i kradzionym złotem. A teraz podziurawił policjanta. Skończony.

- Nie znam go - powiedział Gołmont.

- Mała strata. Tańczy pan?

- Nie. Idę spać. Jutro wyruszam na południe z karawaną Sahima.

- Po co?

- Po Złote Runo.

- Nie podobam się panu?

- To bez znaczenia.

- Chcę tylko z panem porozmawiać. Jest pan Rosjaninem? Trochę dziwny akcent...

- Nie jestem Rosjaninem.

- Chodźmy do baru. Tam jest ciszej. Nie słyhać tak tej wściekłej orkiestry. Na jeden koniak.

- Traci pani czas. Szukam zupełnie czegoś innego.

- Czyżby - męskiego towarzystwa?

- Dobrze, chodźmy już na ten koniak.

Usiedli na wysokich stołkach. Niemal w mroku. Przechyliła się w jego stronę z uśmiechem.

- Alain nagadał na mnie różnych głupstw, prawda? Ten grubas myśli tylko o łóżku. Był pewny, że sypiam z

czerwonym fezem.

- A pani grała z nim w domino. Alain nie zna się na ludziach i dlatego tak świetnie prosperuje.

Roześmiała się, ukazując białe, piękne zęby.

- Nie spałam z nim choćby dlatego, że Turc to pedał. Namawiał mnie tylko do kradzieży złota. Chciał, żebym przystąpiła do jego szajki.

- I co?

- Odmówiłam.

- Naturalnie - powiedział Gołmont z przekąsem. - Pani brzydzi się tak niemoralnym zarobkowaniem.

- Bzdura. Za mało dawał, a ja jestem dużo warta.

- Jest pani przynajmniej szczerą.

- Stać mnie na to. Mam pieniądze, jestem niezależna i wolna, i robię dokładnie to, na co mam ochotę. Kiedyś byłam wzorem moralności. Wyszłam za męża jako dziewica, mając dwadzieścia lat. Dziś mam trzydzieści, jestem wdową i gotowa jestem robić wszystko, co daje przyjemność albo duży zysk. Nie zgrzeszyłam tylko przeciwko piątemu przykazaniu. Ale i to nie jest wykluczone. Co zaś do prostytutki, to nie uprawiam jej, bo to kiepski dochód.

Gołmont zamówił jeszcze po koniaku. Oparty o poręcz wysokiego stołka, zgarbił się wygodnie i odpoczywał, a rozmowa z kobietą przestała być uciążliwa. Było mu w końcu wszystko jedno: tu na dole, czy tam na górze. Siedział, gadał i to było równie dobre i równie złe, jak cała reszta.

- Kim był mąż?

- Bankierem, szanowanym człowiekiem społeczeństwa, wytwornym mężczyzną. A jednocześnie był draniem, złodziejem, dziwkarzem i jednym z filarów francuskiej siatki handlarzy żywym towarem.

- Imponujące.

- Sześć lat żyłam jak wzorzec cnoty, a on wyłaził z mego łóżka i wlaził do każdego, jakie mu się nawinęło. Bywał nawet w burdelach. Mnie uczył dziesięciu przykazań. Jego matka, nobliwa dama, znana w Paryżu z nieugiętego charakteru, wiedziała o wszystkim. Mnie skarciła za to, że spojrzałam na innego mężczyznę. A spojrzałam dlatego, że miał śmieszny podbródek, upodabniający go do prosiaka. Mąż mój popełnił samobójstwo, kiedy wszystko wyszło na jaw, a ja zrozumiałam jak bardzo byłam głupia. Wie pan gdzie mam zasady i normy moralne?

- Domyślam się.

- Pan też mi wygląda na moralistę.

- Bo jestem.

- To znaczy, że jest pan głupcem.

- Bo jestem.

- To czego pan szuka w tej tawernie?

- Już - niczego.

- A zatem - moralista przegrany, zdradzony. Tak?

Gołmont pokiwał głową.

- Właśnie.

- Pan się poddał?

- Cóż mogłem zrobić?

- Kobieta?

Uśmiechnął się gorzko. Właściwie, dlaczego nie miałby jej o tym powiedzieć? Co to miało za znaczenie? Trochę słów, ciemny bar, jutro codzienna pustka.

- Kobieta.

Venimense wysączyła koniak z kieliszka, zamówiła następną kolejkę i sięgnęła po papierosy.

- Dawno?

- Nie.

- Czego pan się spodziewał?

- Już nawet nie pamiętam.

- Żona?

- Nie.

- Skończone?

- Skończone.

Zaciągnęła się dymem i milczała dłuższą chwilę.

- Myśli pan, że pustynia wysuszy serce?

- Chyba nie mam już serca.

- Jeśli tak - wygrzebie się pan z tego.

- Bez serca łatwiej żyć?

- W naszym świecie - z pewnością.

- I zachowała pani radość życia?

- Nie - powiedziała Venimense, obracając w swych pięknych palcach kieliszek. - Radość utraciłam. Pozostała mi już tylko przyjemność. To też jest coś warte.

Gołmont wypił koniak i odstawił ostrożnie szkło.

- Za mało.

- A cóż mamy innego? Szczęście, miłość, to puste słowa, bajki dla naiwnych. Chce pan żyć kłamstwem, ułudą? Czyż nie lepiej brać to, co jest prawdziwe, choćby nawet było niemoralne? Mocna gorąca chwila przenikająca dreszczem, to wszystko, co można mieć. Nie chcę zatonać w lirycznym obłędzie.

- Mnie - wszystko jedno.

- To dlaczego nie strzeli pan sobie w łepetynę?

- Nie wiem.

- Jeszcze może pan do tego dojdzie, co?

Gołmont uśmiechnął się blado.

- Może...

- Idiota.

- Uhm.

- Wściec się można przez pana.

- ?

- Idiota - szepnęła z czułością. - Niech mnie pan odprowadzi na górę. - Wzięła go za rękę i pociągnęła za sobą na kondygnację hotelu. Zdążył tylko rzucić na ladę banknot i poddał się. Było mu wszystko jedno.

* * *

Wprowadziła go do swego pokoju i zamknęła drzwi na klucz. Był to duży pokój, komfortowo urządzone.

Venimense ustawiła na małym, okrągłym stole butelki, kieliszki i amerykański sok w puszkach.

- Nic więcej nie mam - powiedziała smukła, piękna,

długonoga, stukając obcasami. Na jej twarzy było coś zagadkowego, ni to uśmiech, ni to nagłe zażenowanie. - Proszę, niech pan siada. Tu, na tej kanapie. W dzień jest za gorąca ale teraz w nocy, nadaje się w sam raz.

Usiedli oboje.

- Pojadę teraz daleko, na środek pustyni - rzekł Gołmont.

- Naprawdę?

- Tak. Karawana wyrusza rano. Już nie będę spać.

- Obudzę pana. Koniak czy whisky? Tylko... nie mam lodu. Obudzę - przyrzekam.

- Koniak. - Gołmont uśmiechnął się i prędko chwycił butelkę. Nalał dwa kieliszki do połowy. - Przepraszam.

- Jak masz na imię?

- Monti.

- Jesteś Włochem?

- Polakiem.

Venimense podniosła swój kieliszek i spojrzała mu w oczy.

- Salute.

- Salute.

Oboje opróżnili kieliszki.

- Nazywam się: Sylvie Auteuil. Sylvie...

Gołmont zapalił papierosa. Wyjęła mu go z ust, więc zapalił drugiego.

- Dokąd teraz zabierze cię wiatr pustynny?

- Nie wiem.

Z dołu dolatywały dźwięki orkiestry. Za oknem czaiła

się afrykańska noc.

- Uciekaj stąd. Afryka nie przynosi szczęścia.
- Mówiłam ci: nie wierzę w bajki.
- Może jeszcze kiedyś uwierzysz.
- A ty?

Gołmont wzruszył ramionami.

- Ja?
- Tak, ty...
- Nie mam już dokąd wracać... Bez niej też mogę żyć.
- Tylko po co?
- Jesteś szalony... Nigdzie nie pojedziesz.
- Muszę.
- Przestań.
- Niczego już nie chcę.

- Przestań - Sylvie położyła mu dłoń na policzku i zajrzała w oczy. - Mały, zabłąkany chłopiec.

Przymknął powieki, oparł się o kanapę. Ogarnęła go nagle jakaś bolesna, niemal fizyczna cisza, i w tym momencie samotność uderzyła jak grom. Poblądł. Czuł, że leci w przepaść. I nie miał siły, by szukać ratunku.

- Monti! - krzyknęła, obejmując go. - Ocknął się i otworzył oczy. Była przy nim obca kobieta. Rozchyliła usta. Czuł jej gorący oddech i usłyszał równie gorący szept: - Ogrzeję cię, nie umrzesz... kiedyś minie zły czar...

Przywarła do niego i dotknęła ustami jego warg. Przeszył go żar jej ciała. W tym momencie poddał się obcej kobiecie, i pragnął tylko tego, by mogła go teraz zobaczyć Zyta. Zaczęli się całować wściekle, namiętnie,

jakby długo czekali na tę chwilę oboje, jakby ten pocałunek miał ich ocalić. Spadli na podłogę, nie czując tego, a potem ona obnażyła uda i przyjęła go. Oddała mu się niecierpliwie, a on posiadał ją powtarzając w myśli z każdym pchnięciem: „Ciebie, chcę ciebie, nic jej”.

* * *

Obudziła się kiedy słońce sięgało już pióropuszy palm. Leżała w łóżku, a obok położył się on. W nocy. Teraz już go nie było. Potem powiedział jej Pignot, że Monti odjechał z karawaną arabską na południowy zachód. O świcie.

XVIII

Polityka nie zajmowała wiele miejsca w życiu mieszkańców Warszawy. Tylko od czasu do czasu dawała o sobie znać. Wydarzeniem, które poruszyło miasto, była wizyta szefa sztabu generalnego Francji, generała Gamelain, bowiem oznaczała ponowne ożywienie stosunków polsko-francuskich, które uległy ochłodzeniu przed dwoma laty, kiedy to Polska zawarła z Rzeszą Niemiecką pakt o nieagresji.

Na drugi plan zeszły wewnętrzne problemy, na trzeci - kronika towarzyska i kryminalna. Wprawdzie nie trwało to długo, ale o tym i owym, ten i ów zdążył zapomnieć. W żadnej z gazet nie pojawiły się już wzmianki na temat

wyjazdu z kraju, czy przyjazdu hrabiego Gołmonta. Wiedziano tylko, że arystokrata - globtroter opuścił kraj na długo z powodów osobistych, ponieważ co jak co, ale życie osobiste nie układało mu się.

Lato było upalne. Ludzie zamożni wyjechali na wieś, nad morze, w góry lub za granicę, mniej zamożni oblegali Wisłę, udawali się często na Bielany albo po prostu siedzieli w parku. Ogródkowe kawiarnie i teatrzyki cieszyły się niesłabnącym powodzeniem.

Pod koniec sierpnia Filharmonia Warszawska wystąpiła z nowym programem. Znalazł się w nim również utwór Mozarta, w którym na harfie miała grać Zyta Nieborowska. Jej miejsce zajęła tęga blondynka grająca nie gorzej, ale nie będąca w stanie zapełnić pustego miejsca. Zyty nikt nie mógł zastąpić. Cały zespół jakby zszarzał, jakby utracił polot. Było tak, jakby z eleganckiego salonu wyniesiono wszystkie kwiaty. Spadła nawet frekwencja i ludzie odpowiedzialni za tę ważną instytucję kulturalną zaczęli się zastanawiać co zrobić, żeby Zytę odzyskać, żeby znów objęła złocistą harfę swymi cudownymi ramionami, żeby znów zaświeciły na estradzie jej białe, purpurowe lub czarne suknie, bo na Nieborowskiej świeciła nawet czerń.

Wszelkie jednak próby odnalezienia tej ulubienicy warszawskich melomanów okazały się daremne. Dyrekcja wysyłała kilka razy specjalną delegację do męża, Karola Nieborowskiego, ale i to nie przyniosło skutku, ponieważ on sam nie potrafił jej odnaleźć, do czego przyznał się w

końcu. Był wściekły, rozsyłał detektywów, wydawał pieniądze garściami, jednakże Zyty nikt nie odnalazł.

Pewnego dnia ukazał się list otwarty w jednej z gazet stołecznych. Treść była następująca: „Zyto, niezapomniana, kochana przez nas zawsze jednakowo - wróć do zespołu, który więdnie bez Ciebie. Wróć do nas złota, śliczna, harfistko, czekamy na dzień, kiedy staniesz znów między nami”. Podpisało się kilkanaście osób ze stałego składu orkiestry. Oczywiście, dyrekcja wiedziała o tym liście. Odpowiedziało milczeniem. Zyta nie wróciła.

Pociejko dwoił się i troił; otrzymał od Jaśminowicza i od Dorniewskiego, który znów był w Warszawie, specjalne zlecenie i spore pieniądze. Odszukanie Nieborowskiej stało się teraz jego głównym zadaniem. Zachodziła też obawa, że piękna Zyta nie żyje.

Do poszukiwań włączyła się wreszcie policja. Oficer, który dzięki listowi Gołmonta, nadesłanemu z Paryża, otrzymał wcześniejszy awans, robił co mógł. Szukano Nieborowskiej także poza Warszawą. Bez skutku. Znikła jak kamień w wodzie.

Profesor Huget otrzymał któregoś dnia wiadomość, że Zytę widziano w Berlinie, jednakże ambasada polska nie potwierdziła tego. W salonie Stefanii Lange rozeszła się inna wieść: ktoś spotkał jakoby poszukiwaną harfistkę w towarzystwie znanego adwokata - w Krakowie. Bliższe szczegóły były jednak nieosiągalne.

O Gołmoncie słuch zaginął. Żaden z przyjaciół nie otrzymał od niego nawet karty pocztowej. Dorniewski

ostatni widział go w Paryżu. Rozmawiali krótko, bo Gołmont akurat szedł na stację, by odjechać do Marsylii. Był małomówny, na pytania odpowiadał niemal monosylabami lub wzruszeniem ramion. Powiedział tylko, że nie wie kiedy wróci, że nie wie dokąd się uda, że nic go nie obchodzi, i że w ogóle jest mu wszystko jedno co nastąpi, co się wydarzy.

* * *

Dni płynęły wolno. Jaśminowicz zaczął pisać smutną powieść, Dorniewski wyjechał do siebie na wieś, a profesor Huget rozchorował się na serce. Nieborowski zaczął pić na umór.

Trzydziestego pierwszego sierpnia zjawił się w Warszawie tęgi jegomość, duży i rumiany na twarzy, źle ubrany, mając na grzbiecie marynarkę ze sklepu z konfekcją gotową. Zapukał do mieszkania Jaśminowicza. Ten przyjął go w swoim gabinecie bez entuzjazmu, zwłaszcza że gość wymówił wyraźnie tylko swoje imię: Kazimierz. Reszta utonąła w chrząknięciach.

Prowincjusz w gotowym garniturze usiadł i powiedział dość tajemniczo:

- Czy to prawda, że jest pan przyjacielem serdecznym Gerwazego Gołmonta?

- Ależ tak! - zawołał Jaśminowicz. - Gdzie jest Monti?

- A któż to taki?

- Panie... jak godność, bo niedosłyszałem?

- No, przykrość wielka, ale... incognito jestem tu. Zechce pan wybaczyć...

- Ach, tak...

- Właścicielem ziemskim jestem... Bez obaw!

- Jednakże trudno mi rozmawiać w tej sytuacji... - Jaśminowicz zmarszczył czoło. - Lubię wiedzieć z kim mam zaszczyt, a ponieważ pan...

- Bez obaw! - powtórzył szybko gość. - Chcę tylko spytać, za pozwoleniem, czy pan hrabia Gołmont bawi w kraju.

- Dlaczego mnie pan pyta i dlaczego ja miałbym panu odpowiedzieć?

Gość uśmiechnął się przyjaźnie.

- Bo ja tu specjalnie przyjechawszy, z pustymi rękami wracać nie chcę. Ja w dobrych zamiarach.

- Mimo to, nie będę pana zatrzymywać dłużej.

- Ot i kłopot...

- W istocie.

- Ja... Gdyby pan wiedział...

- Ale nie wiem. - Jaśminowicz zadzwonił po lokaja, który zjawił się natychmiast. - Odprowadź pana, bo właśnie skończyliśmy rozmowę.

* * *

Tęgi mężczyzna wyszedł, ale nie dał za wygraną i jeszcze tego samego dnia dotarł do profesora Hugeta. Początek dialogu był mniej więcej taki sam. Później

jednak obydwaj panowie zrozumieli, że muszą pójść na wzajemne ustępstwa, jeżeli mają się porozumieć, a chcieli się porozumieć.

- Dobrze - powiedział Huget, rozluźniając kołnierzyk koszuli - zaspokoję pańską ciekawość: Gołmont przebywa wciąż poza granicami kraju.

- Gdzie?

- Tego nikt nie wie. Poszedłem na kompromis, a teraz kolej na pana. W czyim imieniu pan występuje? Kto chce wiedzieć?

- Moja matka.

- Zna Gołmonta.

- Nie.

- Panie Kazimierzu, jeżeli to sprawa poważna, to niech pan niczego nie ukrywa. Proszę mi spojrzeć w oczy i odpowiedzieć: tak, lub - nie. Zna pan Zytę Nieborowską?

Gość westchnął, ale oczu nie spuścił.

- Tak.

Huget złapał się za serce.

- Chory jestem... Zyta... Gdzież ona jest? Mów pan, na miłosierdzie boskie. Pytam jak ojciec. Niech pan powie...

- U nas. Spokojnie, profesorze, nic jej nie grozi.

- To znaczy - u kogo?!

- Bezpieczna jest pod opieką matki mojej. Na wsi.

- Bogu najwyższemu dzięki. Zdrowa?

- Zdrowa. Uczy mego syna, zatrudniwszy się jako nauczycielka. Słabo panu?

- Już lepiej. - Huget przymknął oczy. - Wszystko mi o

niej powiedz, chłopcze. Skąd ona tam, dlaczego?

Tymkiewicz kręcił głową, wydymał usta; widać było że chce powiedzieć, by zadośćuczynić prośbie starego człowieka, jednakże coś zakazuje mu, więc sapiąc rzekł tak serdecznie, jak tylko umiał:

- Mnie, widzi pan, słowo związało. Podać nazwiska i miejsca - nie mogę, obiecawszy matce. Pani Nieborowską wie tylko tyle, że siedzę teraz w Wilnie. Ani się domyśla, że jam tutaj. A mnie matka moja zobowiązała, bym tu przyjechał i wypytał o wszystko. Najpierw o hrabiego Gołmonta - gdzie on teraz, i z kim, i co robi.

- Przecież ona musi wrócić do Warszawy.

- To jest mało realne. Tam u nas ma ten upragniony spokój, którego brakowało u męża. Mnie matka wszystko powiedziała o jej złamanym życiu. Ona dla mnie jak siostra. No, cóż, powiedzieć ja nie mogę gdzie ona... gdzie mieszka, ale zapewniam, że krzywda jej się nie dzieje. Pracuje, nauczycielką zostawszy, mając własne zarobione uczciwie pieniądze. Opiekunów ma w osobie matki i w osobie mojej. A jak zechce, to wróci.

- Dobrze tam jej?

- Dobrze. Wygody mało, ale - dobrze i bezpiecznie. Włos z głowy nie spadnie. Sąsiad nasz do niej zaczął podchodzić, wszelako odprawę dostawszy należytą, poszedł precz z opuchniętą twarzą, bo mu po gębie nakładła, a matka psami wyszczuła.

Huget odetchnął uspokojony, przekonany szczerością słów młodego człowieka.

- No dobrze. Niech tak zostanie. Proszę mi jeszcze powiedzieć co pana sprowadza do Warszawy, jaką otrzymał pan misję od swojej matki?

- Chodzi o to, żeby matka moja mogła przemówić do sumienia pana Gołmonta. Jak on tylko wróci, proszę wiadomość przesłać na poste restante we Wilnie. Wystarczy napisać: Helena. Matka tu przyjedzie.

- Daję słowo starego człowieka, że nikomu nie zdradzę nazwiska. Proszę mi zaufać.

Młody człowiek podrapał się w głowę.

- Niech i tak będzie: nazwisko nasze: Tymkiewicz. Helena Tymkiewiczowa.

* * *

Nazajutrz, profesor zatelefonował do Jaśminowicza, oświadczając, że poszukiwania należy wstrzymać.

- Wiem, gdzie szukać Zyty.

- Miał pan wiadomość? Jedziemy do niej?

- Nie. Tam gdzie jest, jest jej dobrze.

- Czy to pewne?

- Ręczę. Mam tylko jedną prośbę: w dniu, kiedy Monti wróci, proszę dać mi znać. Nie zwlekając.

- Naturalnie - powiedział Jaśminowicz. - Nikt przecież nie zamierza z tego robić tajemnicy. A, Zyta gdzie się ukrywa?

- Musimy ją zostawić w spokoju. Skoro ja to mówię, nie ma pan chyba więcej pytań? Ona chce być daleko i

chce być sama.

XIX

Karol Nieborowski ukończył właśnie czterdzieści sześć lat. Włosy miał nadal kruczoczarne, ciało potężne, mocne, twarz groźną i nad wyraz nieprzyjemną, a mimo to wyglądał teraz staro. Z oczu wзираł bunt i desperacja. Coraz częściej wybuchał gniewem, coraz gwałtowniej reagował nawet na drobne niepowodzenia, które jeszcze rok temu zbyłby machnięciem ręki.

Ucieczka żony uświadomiła mu, że ich małżeństwo nigdy nie będzie tym, czego pragnął. Nabierał też coraz głębszego przekonania, że zgubił drogę, która mogłaby go do małżonki doprowadzić, że poszedł w złą stronę, za daleko. Jednakże w charakterze jego nie było uległości, pokory wobec losu i nie było chęci wynagrodzenia krzywd. Zawsze pełen buty, zawsze gotów popełnić przestępstwo, zawsze gotów zamordować, jeżeli to przybliżało go do upragnionego celu, szedł naprzód, a jego jedyną busolą był egoizm.

Tym razem wszystko wymykało mu się z rąk; wydarzenia biegły własnym torem, nie podlegając jego kontroli, a na domiar złego, Gołmont odebrał mu żonę i upokorzył go jako mężczyznę. Motywem przewodnim jego życia stała się zemsta i dzika nienawiść. Po prostu żył nienawiścią. Ostatnio doszło do tego, że nawet własne bezpieczeństwo, całą swoją przyszłość położył na szali:

albo złamie opór Zyty i zniszczy Gołmonta, albo zginie. Każda myśl wiodła go ku przemocy i zbrodni, bo tylko w tym widział ratunek.

Piętnastego września wrócił na stałe do swego pałacu w Wołkowianach, zlikwidowawszy warszawskie mieszkanie. Co mógł to sprzedał, co mógł to zabrał, służbę rozpędził. Pozostawił sobie jedynie zaufanego szofera, który w mig wykonywał jego rozkazy, bez względu na to, jakiej były natury.

W pałacu zastał jaki taki porządek. Brat powitał go z jawną wrogością, nie miał już bowiem złudzeń co do tego, że będzie teraz w majątku osobą bez znaczenia, odsuniętą w cień raz na zawsze. Rozmawiali ze sobą mało. Karol Nieborowski z miejsca zaprowadził rządy silnej ręki, wyrzucając połowę służby do czworaków. Pozostawił w pałacu tylko lokaja, kucharkę, stróża i dwie pokojówki, z których jedną zgwałcił zaraz pierwszego dnia, czym ugodził brata do żywego, zwłaszcza że drugą zgwałcił szofer.

* * *

Gospodarstwo podupadło, ale Karol nie myślał się nim zajmować. Często pił, kiedy jednak był trzeźwy pisał listy, nie ustając w poszukiwaniu żony. Wkrótce też zaczęli się pojawiać prywatni detektywi suto opłacani, mający tylko jedno zadanie: odnaleźć Zytę bez rozgłosu, tak aby można było następnie przewieźć ją do Wołkowian

po cichu, uniemożliwiając jej zorganizowanie ochrony.

Jeden z detektywów, Jan Krogulec przyjechał szczególnie zaaferowany. Jego chuda twarz zdradzała zadowolenie. Z fajką w zębach wszedł do gabinetu pewny siebie i od razu na wstępie powiedział:

- Mam trop, potrzebuję pieniędzy.

- Niech pan siada - rzekł Nieborowski.

Krogulec usiadł, założył nogę na nogę i wypuścił chmurę dymu.

- Trop znalazłem w Warszawie.

- A więc ona jest jednak tam?

- Nie, panie hrabio. Żona opuściła stolicę i udała się do Wilna. Nigdy bym na to nie wpadł, gdyby nie to, że pewien głupiec odwiedził Hugeta i wygadał, co trzeba.

- Huget! - zawołał Nieborowski. - Znowu - Huget! Zastrany opiekun zbłąkanej owieczki. A kto do niego... Co to za jeden?

- Chwileczkę. Po kolei. Przypadkowo nic się nie dzieje. Krogulec pracuje bezbłędnie, ale potrzebne mu są pieniądze. Tysiąc złotych.

- Zgoda - warknął Nieborowski - ale gadaj pan wreszcie co się dzieje.

- Żona ukrywa się w jednym z majątków ziemskich na Wileńszczyźnie.

- Gdzie?!

Detektyw pykał fajkę i myślał: „Nie tak szybko, bratku. Jeżeli ci wszystko powiem od razu, to się skończy na tysiącu, a ja od ciebie dostanę co najmniej dwa, a może

i trzy. Powiem ci tylko tyle ile chcę. I nigdy się nie dowiesz, że służąca Hugeta, lubiąca podsłuchiwać, wygadała mi wszystko za piętnaście złotych".

- Panie hrabio, otrzymałem dotychczas trzysta złotych, a podsłuch... sam tylko posłuch kosztował mnie osiemset złotych. A gdzie moje honorarium?

Nieborowski uderzył pięścią w stół.

- Mów pan, do cholery, gdzie jest moja żona?

- W małym majątku. Uczy muzyki. To pewne...

- W małym majątku, w małym majątku. Ale gdzie?!

- Za dwa, trzy tygodnie wszystko będzie jak na dłoni, muszę jednak przemierzyć wzdłuż i wszerz całą Wileńszczyznę. Na podróże, na hotele i przekupienie dziesiątków ludzi... może tysiąc złotych wystarczy, a moje honorarium? A te osiemset złotych w Warszawie?

- Czyś pan zwariował?!

- Ja? To pan zwariował, szukając niewiernej żony...

- Milczeć! - Nieborowski posiniał na twarzy. - Ja płacę, a pan szuka! I bez dyskusji.

- Skoro pan płaci - czekam na pieniądze.

- Jaką mam gwarancję, że pan ją znajdzie?

- To tylko kwestia czasu. Mogę panu pokwitować całą sumę; jeżeli nie wywiążę się z zadania, zażąda pan zwrotu. W ostateczności wydrze mi pan te pieniądze przez sąd. Ale, to... Proszę mi wierzyć, Krogulec jest może drogi, ale - najlepszy. Oddał pan, panie hrabio, swoją sprawę w dobre ręce. Znajdę pańską żonę już wkrótce.

- Tylko cicho-sza! Nikt nie powinien się dowiedzieć,

że odnalazłem ją.

- Mam nadzieję, że jej pan nie zabije.

- O, nie. Mam dla niej inną karę. Lepszą.

- To już nie moja rzecz.

- Z pewnością. - Nieborowski otworzył szufladę i wydobył plik banknotów. Odliczył należną kwotę i wręczył pieniądze detektywowi, który pokwitował wypłatę.

- Panie hrabio, może pan spać spokojnie. Proszę mnie teraz nie szukać w Warszawie. Od jutra zaczynam moją wędrowkę. Mam już nawet upatrzoną okolicę, ale to już jest tajemnica zawodowa.

Po wyjściu detektywa, Nieborowski zatarł ręce z zadowolenia i nalał sobie kieliszeczek. „No, moja żonko” myślał „wrócisz ty do mnie niedługo. Do swego męża. Już ja cię potrafię uszczęśliwić. Nauczę cię miłości, nie bój się. Wybiję ci z głowy romanse, a jak dobrze pójdzie, to cię schlapię krwią Gołmonta. Na samą myśl o nim będziesz rzygała. A jak mi nie powiesz, że mnie kochasz, to cię posadzę na kubie pełnym szczurów. Zobaczymy co lepsze: szczur w piździe, czy mąż w łóżku, I skończymy z Warszawą. W każdym razie - ty. Będziesz siedziała tu. Tu, i tylko tu. Już ja cię upilnuję. Na wszystko jest sposób”.

Jeden kieliszek śliwownicy nie wystarczył, więc dziedzić, pan na Wołkowianach, nalał sobie drugi. Wychylił go i poczuł przyływ energii. Było mu dobrze, czuł się bezpieczny, a perspektywa uprowadzenia Zyty i

zgięcia jej karku, rozpromieniła mu twarz. Zadzwoił na lokaja i kazał iść po Stefana.

Brat przyszedł, ale w bardzo złym humorze. Usiadł zgarbiony. Zacisnął usta i przymrużył oczy. W takich chwilach podobny był do wampira...

Ciszę przerwał Karol Nieborowski:

- Cóż ty taki ponury?

- A cóż ty taki troskliwy?

- Jestem twoim starszym bratem, więc troszczyć się muszę o was wszystkich. O ciebie, w pierwszym rzędzie.

- Mnie zostaw. Zajmij się lepiej majątkiem.

Karol Nieborowski pokazał zęby w złym, okrutnym uśmiechu.

- Mam dla ciebie niespodziankę. Na początek naszej zgody. Ucieszysz się.

- Co ty knujesz?

- Głupi jesteś. Włóż kapelusz, bo jedziemy na stację po Zytę.

Stefan otworzył szeroko oczy.

- Zyta przyjeżdża? Skąd wiesz?

- Był tu właśnie człowiek z wiadomością.

- A, to dopiero niespodzianka! Na długo?

- Na stałe.

- To brzmi jak bajka.

- Pewnie. Chcę, żebyś ją powitał, jako współwłaściciel majątku. Będzie zachwycona, bo bardzo cię lubi.

Stefan skoczył do drzwi.

- Jedziemy!

W chwilę później samochód pędził ku lasom, oddzielającym od Wołkowian miasteczko Luboml.

- Ty lubisz Zytę, prawda? - Karol nie spuszczał oczu z piaszczystej drogi. - Piękna jest, co?

- Piękna.

- Będę musiał wyjechać, a ją zostawię pod twoją opieką. Zgadzasz się?

Stefan westchnął.

- Już ty się nie bój. Będę przy niej dniem i nocą.

- W nocy też? Wlazłbyś na nią, prawda?

- Uważaj, bo wywołasz wilka z lasu.

- Chciałbyś co? Byłaby lepsza od fornalskich córek.

- A, lepsza.

Karol zatrzymał wóz.

- Ma szeroką dupę i jędrne uda, a ty to lubisz. Jakbyś się dosadził, to byś pruć całą noc. Prawda?

- Nie jestem gorszy od ciebie! - wybuchnął nagle Stefan. - Dla ciebie wszystko, dla mnie nic! Tak było zawsze.

- Bo jestem panem! Ja jestem panem. Ja, a nie ty.

- Jedź!

- Tak ci się śpieszy? Do czego? Do jej dupy, co?

- A tobie - nie?

- Ja jestem jej mężem, ty jołopie. Wsiadaj, motor musi ostygnąć, bo się zagrzał.

Stefan wysiadł.

- Jeszcze nie wiadomo kto lepszy...

Karol zbliżył się do brata. Miał dziwny wyraz twarzy.

Rozejrzał się. Byli sami w lesie.

- Ja jestem lepszy, ty mordo wampira.

- Zobaczymy! - wrzasnął Stefan histerycznie.

- Ty już tu zostaniesz.

- Co?

- A, to!! - Karol wyciągnął długi nóż i ugodził nim brata w pierś. Potem jeszcze raz i jeszcze.

Stefan spływał krwią. Otworzył usta, jakby chciał krzyczeć, ale nie krzyczał. Nie mógł. Śmierć pchnęła go w tył. Runął na wznak.

Karol wyciągnął z kufra samochodu worek pełen kamieni i uwiązał go do szyi trupa, a następnie zepchnął wszystko razem do rzeki. Woda wchłonęła ciało i kamienie. Zabulgotała i ucichła. Czerwona plama spłynęła zaraz i wszelki ślad zaginał. Zrobiło się cicho. Mrok zgęstniał, bo właśnie słońce zgasło za horyzontem.

Samochód zatoczył łuk i ruszył wolno w stronę pałacu.

Jeszcze tego wieczora służba dowiedziała się, że pan Stefan Nieborowski opuścił rodzinny dom i udał się koleją do Warszawy, nie wiadomo na jak długo, bo zapragnął skosztować miejskiego życia.

XX

Pierwsze dni października były ciepłe i słoneczne. W powietrzu błyskało srebro babiego lata, a zieleń wokół bladła i nabierała tonów żółtych, złocisto-rudych i brązowych. Kwitł jeszcze bluszcz, na klombie świeciły

barwą aksamitki i begonie, ale jesień warzyła radość natury, każąc spadać owocom, strącając ostatnie kasztany, sypiąc żołądźcie. Coraz później wstawało słońce, coraz wcześniej zapadał zmierzch, a wieczorem dawał się we znaki chłód.

Pan Antoni Kosno, właściciel Ojszan miał taką naturę, jakby stale panowała wiosna, a naleciało mu już lat pięćdziesiąt z okładem. Był tegim mężczyzną, zawsze w najlepszym humorze. Owdowiał wczesnie, żył samotnie, polując, odwiedzając sąsiadów, a przede wszystkim doglądając majątku, dzięki czemu zbiory były zawsze doskonałe i dochody znaczące. Antoni Kosno martwił się tylko tym, że nie zostawi dziedzica dorobku swego pracowitego żywota, a w okolicy nie mógł sobie panny upatrzeć. Teraz było zresztą trudniej, bo młode nie bardzo chciały, a odpowiedniej wiekiem musiałby chyba szukać gdzieś dalej.

Na szczęście pojawiła się młoda kobieta, nauczycielka, o której powiadano, że urodą gasi samą Afrodytę. Nauczycielka mieszkała w jednym z sąsiednich majątków i uchodziła za osobę surowych obyczajów. Takiej właśnie potrzebował. Nie wątpił, że jest doskonałą partią, że nie ma takiej nauczycielki, która nie poszłaby za niego, mając w perspektywie czerstwego jeszcze męża i dobrobyt w zamożnym ziemiańskim domu, nie mówiąc już o pozycji towarzyskiej.

Pewnej słonecznej niedzieli, Antoni Kosno wsiadł do bryczki i ruszył na spotkanie z przyszłością.

Dobrze już po południu zajechał przed ganek w Strudze i pokłonił się pani Helenie. Ukośne promienie słońca padły na jego zadowoloną, rumianą twarz. Biła z niej poczciwość serca i siła charakteru.

- Jak to miło zastać panią w dobrym nastroju - rzekł, pochylając głowę i całując w obie ręce. - Dawno już, że tak powiem, nie mieliśmy okazji pogawędzić.

- A tak, sąsiedzie, dawno. - Pani Tymkiewiczowa zaprosiła gościa do środka, a kiedy już usiedli, spytała: Cóż tam nowego? Co słyhać w świecie szerokim?

- Oj, pani Heleno, gdzież mnie tam do szerokiego świata. Na wsi siedzę, ziemi pilnuję. Szerokiego świata jam nie ciekaw, bo on lepki od brudu.

- Pewnie, że u nas lepiej. Zasiedziawszy się tu, jakoś nie ciągnie do miasta. Chociaż... syn mój, na przykład lubi miasto. Teraz też do Wilna pojechał.

Kosno przeczesał palcami czuprynę.

- To znaczy, że... jego tu nikt nie przyciąga?

- A, ma pan na myśli Zytę?

- W rzeczy samej. Czyli, że pani tej - Zyta na imię? No, a gdzież ona?

- Pani Nieborowska spaceruje z Jasinkiem.

- Miło mi będzie poznać. - Kosno poprawił krawat. - A'propos, czy ona na żonę dla mnie nadaje się? Ufam pani całkowicie.

Helena Tymkiewiczowa otworzyła szeroko oczy. Ogarnęłoby ją mniejsze zdziwienie, gdyby oświadczył, że zamierza zostać prezydentem Rzeczypospolitej. Patrzyła

na niego w milczeniu, ponieważ na dłuższą chwilę zaniemówiła. „Człowieku” myślała „toż ty masz chyba źle w głowie albo ktoś ciebie chce ośmieszyć, nagadawszy Bóg wie co”.

- Panie Antoni - spytała wreszcie - pan kpi, czy o drogę pyta?

- ?

- Toż ona młoda kobieta.

- Bardzo dobrze. - Kosno znów poprawił krawat. - Jak się żenić, to z młodą. Toż ja chcę młodej żony!

- Ale ona jest mężatką... Nie powiedzieli o tym?

- A jej, jej! Czy być może?

- No, jakżesz. Mężatka.

W tym momencie na progu stanęła Nieborowska, prowadząc za rękę swego małego ucznia. Miała na sobie wełnianą, popielatą sukienkę ściągniętą paskiem, a na nogach pantofelki z błyszczącej, czarnej skóry. Podeszła bliżej i wtedy powiało od niej upajającą młodością. Uroda wypełniła pokój.

Kosno wstał i wlepił w nią oczy. Stała przed nim wysoka, smukła piękność o mocno zarysowanych biodrach rozbudzających męskie pragnienia, z czarną falą niesfornych włosów rozsypanych na wietrze, z błyszczącymi oczami w smolistej oprawie jak u kobiet z południa. Spłoszonym wzrokiem ogarnął jej mocne ręce i masywne nogi, które mogły udusić kochanka w miłosnym porywie ciała. Była burzą i ogniem, i ucieleśnionym marzeniem.

- Ja... - wyjąkał przybysz i umilkł.

- Przedstawiam ci Zyto pana Antoniego Kosno, właściciela ziemskiego, sąsiada. Właśnie przyjechał, żeby ci się oświadczyć. Jasinku, idź się bawić.

Nieborowska usiadła.

- Co takiego?

- To prawda. Pan jest wdowcem.

Kosno przeczesał palcami czuprynę.

- O wybaczenie proszę - rzekł śmiało, odzyskawszy animusz. - Nie wiedziawszy, że do mężatki jadę, jechałem o rękę prosić. Jam człowiek otwarty i uczciwy, a żony chcę młodej i pięknej.

- I odważny. - Nieborowska roześmiała się. - Bardzo nawet.

- A, tak. Odważny. Szkoda, bo już panią kocham i do nóg bym upadł.

- Tego niech pan nie robi. Najpierw trzeba by przeprowadzić rozwód. - Oczy Nieborowskiej śmiały się.

- A pewnie - dorzuciła również ze śmiechem pani Tymkiewiczowa.

Kosno usiadł i klasnął w dłonie.

- Rozwód przeprowadzę! Daję słowo!

- Doprawdy? - Nieborowska pokazała równiutkie białe zęby. - Tak, zaraz?

- Za zgodą pani - natychmiast!

- Chcę rozwodu.

- Złota moja... Poważnie? Wszystko załatwię!

W tym momencie wszedł do salonu Edward Laguna.

Był to właściciel Bukocina, niewielkiego majątku koło Świecian, rodowej siedziby żony Teresy. Tak więc naprawdę, ona była właścicielką.

Laguna uchodził za wybrańca losu: był nie tylko pięknym mężczyzną - wysokim, szczupłym o wielkich piwnych oczach, ale także wykształconym i wrażliwym na urodę świata człowiekiem. Miał trzydzieści pięć lat. Kochały się w nim wszystkie kobiety, on nie kochał żadnej, nawet żony, którą zresztą poślubił dla honoru, bowiem zaszła z nim w ciążę, jak mówiono - celowo.

Wszedł i skłonił się dwornie. Przyjeżdżał tu dość często. W okolicy już zaczęto plotkować. Pani Tymkiewiczowa prosiła go, by przestał bywać, nie tylko ze względu na okolicznych sąsiadów, ale przede wszystkim dlatego, że w domu czekała żona i dwoje dzieci. Bez skutku. Laguna patrzył w Zytę Nieborowska jak w obraz, wszakże zachowywał się nienagannie: nigdy nie wymówił jednego słowa, które mogłoby ją obrazić; adorował ją, ale po rycersku. A Nieborowska przyjmowała jego hołdy bez zachęty ze swej strony i zachowując niewzruszony dystans, ale też nie przepędziła, bo właśnie nie przekraczał nigdy granicy, którą nakreśliła chłodnym, mocnym spojrzeniem swych czarnych oczu, umiających nie tylko zapalać lecz także studzić. Lubiła go, bo lubiła z nim rozmawiać.

- Witam panie. - Laguna ucałował ręce dam i potrząsnął prawicę znajomego sąsiada. - Chciałem przywieźć trochę srebra z pola, jednakże wiatr go

uchwycił i poniósł gdzieś w przestworza.

- Jakie srebro? - zagadnął ciekawie Kosno.

Laguna uśmiechnął się ni to kpiąco, ni to ze smutkiem w oczach.

- Babie lato - powiedział cicho, patrząc na Nieborowską.

- Też mi srebro. - Kosno machnął grubą, włochatą łapą.

- Takie srebro nie ustroi kobiety. Poetyckie dyrdymałki. E, tam.

W czasie podwieczorku rozmowa toczyła się lekko, nie dotykając spraw poważnych. Nieborowska była w dobrym humorze. Sprawiała wrażenie kobiety, która lubi towarzystwo, która tym chętniej przebywa w towarzystwie im dotkliwiej odczuwa pustkę i nudę szarego dnia na wsi zabitej deskami. W gruncie rzeczy tak też było. Szary dzień dokuczał jej bardzo, ale myliłby się ten, kto by sądził, że właśnie towarzystwo było dla niej najważniejsze, to - przynoszące kalejdoskop sytuacji i zdarzeń. Nieborowska lubiła teraz rozmowy towarzyskie, ale lubiła dlatego, że rozpraszały nudę. I tylko dlatego. Wiedziała o tym Helena Tymkiewiczowa, wiedział jej syn. Nie wiedzieli o tym inni.

- Kiedy byłem młody, pisałem wiersze - powiedział Laguna.

- Nadal jest pan młody - zauważyła Tymkiewiczowa.

- Powinien pan pisać, bo to dobre i ładne. Trzeba tylko opiewać uroki życia rodzinnego. Jest pora umizgów i pora

rodziny. A u pana teraz - pora rodziny.

- Ach... - westchnął Laguna.

- Nie ma co wzdychać - rzucił Kosno z naganą w głosie. Jak kto sobie pościele, tak się wyśpi. Ot, co!

- Ja sobie źle posłałem.

- To cierp pan teraz. Przepadło!

- Wszystko można zmienić.

- Nie zawsze - powiedziała Nieborowska, już bez uśmiechu, w nagłym zamyśleniu.

- Tak mówi rozum. Serce powie co innego. A serce, pani Zyto, zawsze wygrywa. - Laguna znów westchnął. - Trzeba słuchać serca... Zawsze i wszędzie.

- Jak się ma osiemnaście lat - powiedział z mocą Kosno.

- Potem, trzeba słuchać życia, a życie, że tak powiem, to rozum. Trzeźwy rozum.

- Rozum się starzeje - zareplikował Laguna. - Serce nigdy. Pan ma pięćdziesiąt pięć lat, nic więc dziwnego, że...

- A mam! - zawołał porywczo Kosno. - To i co? Młody jestem i silny jak tur. A serce też u mnie bije w piersi. Nie licz pan cudzych lat. Licz pan swoje dzieci, które chcą mieć rodzinę, ojca... Z takim bagażem wysoko pan nie pofruniesz.

- To moja sprawa - rzucił ostro Laguna.

- Pańska sprawa, to pilnować żony i dzieci w Bukocinie. A tu jest Struga.

- Wypraszam sobie! - Laguna podniósł głos. - Starość

nie upoważnia do...

- Milcz młokosie! - krzyknął Kosno.

- A, to już mi nie w smak - powiedziała Tymkiewiczowa.

- Co to za awantury? A, fe, panowie.

- Przepraszam - rzekł Laguna.

- I ja o łaskę błagam - dorzucił Kosno.

- Żeby to było ostatni raz!

Dziarski pięćdziesięciolatek podniósł się i wyprostował swe potężne ciało zapaśnika. W źrenicach miał jeszcze iskry, ale na twarz przywołał uśmiech i zniżył głos niemal do szeptu, a jednocześnie trzasnął w obcasy.

- Tedy zwracam się do pani uroczyście i przy świadkach - rzekł do Nieborowskiej. - Chcę pojąć panią za żonę. Przeprowadziwszy rozwód, za pani zgodą łaskawą, ślub weźmiemy. Taka jest moja wola. Szczera, jak moja sława ułańska.

Zrobiło się cicho. W pierwszej chwili Laguna chciał coś powiedzieć, jednakże nie otworzył ust i tylko zwrócił oczy na tę, o którą chodziło. Poblady milczał.

Nieborowska wstała także, spokojna, jakby z daleka.

- Myślałam, że pan żartuje - powiedziała z niesmakiem. - Nigdy. Pan oszalał. - I wyszła, kierując się do swego pokoju.

* * *

Kosno opuścił Strugę bez zwłoki. Laguna pozostał, zgadując, że wygrał. Po kwadransie rozmowy z panią domu, poprosił ją żeby skłoniła piękną nauczycielkę do zejścia na dół. - Niech się stanie to, co stać się musi - rzekł z uniesioną głową.

- Los tak chce, i chociaż nastaną trudne dni, ja zniosę wszystko, byle się z nią połączyć. Znam dramat jej życia, a ona wie, że może liczyć tylko na mnie.

Tymkiewiczowa wzruszyła ramionami, potem westchnęła, a w końcu poszła na górę.

Po kilku minutach Zyta Nieborowska stanęła przed mężczyzną, ofiarowującym jej miłość w zamian za jedno tylko słowo: tak. Była przekonana, że rozmowy tej nie można odkładać w nieskończoność, że jego starania przywiodły ich do chwili rozstrzygnięcia.

- Pan chce ze mną mówić?

- Tak. Myślę, że nadszedł czas. - Laguna pozerwał ją wzrokiem. - Znamy się krótko, to prawda, ale ja jestem dobrym psychologiem. Znam pragnienia pani i moje.

- Jest pan tego pewny?

- Całkowicie.

- Nie mówiłam nigdy o moich uczuciach. Mimo to, pan je zna?

- Tak, Zyto. Znam pani uczucia.

Usiadła. On pozostał na swoim miejscu.

- Pan mnie kocha?

- Kocham panią.

- I sądzi pan, że to wystarczy?

- Jestem pewny. Przed nami trudna droga. Wiem. Czekają nas dwa rozwody, a mój nie będzie łatwy i zabierze sporo czasu. Wytrzymamy tę próbę, ponieważ bardzo chcę, to móc.

- Czy zastanawiał się pan nad tym, co mnie rzuciło w te strony?

- Ucieczka od znienawidzonego męża.

Nieborowska uśmiechnęła się blado.

- Nie.

- A więc - potrzeba miłości. Intuicja.

- Nie, panie Edwardzie. Rzuciła mnie w te strony miłość.

- Jak to? Jaka miłość?...

- Mocna jak życie, ostateczna jak śmierć. - Nieborowska zdawała się mówić do siebie. - Miłość smutna, beznadziejna, ciężka jak głaz. Kocham innego. Kocham go każdym uderzeniem mego serca, każdą kroplą mojej krwi. Na zawsze. Odszedł ode mnie, bo miał powód. Nie wiem czy wróci... Chyba nie... Nie wiem. Ale to nie ma znaczenia. Ani czas, ani odległość nie ostudzi tej miłości. A, pan... Cóż... Chciałam się poddać jeszcze jednej próbie. Jest pan mądrym, przystojnym, wspaniałym człowiekiem. Chciałam się poddać tej próbie. Chciałam się przekonać czy wytrzymam, czy potrafię się oprzeć młodemu, wspaniałemu mężczyźnie. Dlatego nie kazałam panu wynieść się tak jak innym. Może to nieuczciwe z mojej strony, ale to była tylko taka próba. Nic więcej. Nie poczułam do pana nic. Jest mi pan najzupełniej obojętny.

Moje ciało i moja dusza należą do tamtego. I teraz wiem, że nic się nie zmieni, że każdej nocy marzyć będę tylko o nim, i tęsknić - tylko do niego. To wszystko, co mam panu do powiedzenia. Tylko tyle. Laguna był blady jak papier.

- Więc nie zostawi mi pani nawet nadziei?
- Nawet nadziei.
- To okrutne... Zginę bez pani.
- Nie. To tylko taki powiew jesienny.
- Kocham...
- Wszystko ucichnie. Nic między nami nie było, więc - ucichnie. Przemienie. Jak jesień.

* * *

Kiedy już została sama i położyła się w swoim pokoju, odczuła swoje osamotnienie podwójnie. Opuścił ją Monti i opuściło ją pragnienie pełni życia za wszelką cenę. Jeszcze rok temu podniósłby ją bunt ciała; brak miłości usiłowałaby zastąpić po prostu mężczyzną, żeby się odurzyć. Wzięłaby Lagunę na pewno. Wzięłaby go do łóżka, żeby się oddać namiętności ciała, żeby w rozkoszy utopić tęsknotę, żeby pod ciosami męskiego, czyjegoś tam, wszystko jedno czyjego członka rozpląnąć się w orgazmie i zapomnieć chociaż na krótko o tym, że tego jednego, jedyne, upragnionego nie ma przy niej i nie będzie. Teraz - nie mogła. Już - nie mogła.

Leżała na wznak, z oczyma zagubionymi w ciemności,

szukając obrazu - wspomnienia. I znów zamajaczyła gdzieś w oddaleniu jego postać, jego twarz i te lekko przymrużone oczy w nagłym spojrzeniu, od którego szło ciepło. Prosto do serca. I ten jakiś dziwny grymas warg - uśmiech, nie uśmiech, coś, od czego ogarniał dreszcz. Monti. Szczególny człowiek, który obejmował sobą jak wiatr. I zabierał na zawsze.

Widziała go w ciemności i wołała go w milczeniu, i połykała łzy. Stał gdzieś daleko. Patrzył na nią. Milczał. Ale milcząc, mówił, a w słowach był żal.

Płakała. Gorzko, boleśnie. I chciała umrzeć. Tylko umrzeć, bo wokół niej nie było już nic; wszystko straciło swoją barwę i wagę, i sens. Wszystko stało się obce, niepotrzebne. Gdyby mógł wrócić, gotowa była skazać się nawet na ból, na cierpienie, żeby zmazać swoją przeszłość, żeby uwierzył. Ale wiedziała, że nie wróci. Taki już był. Czuł się zdradzony, chociaż sam pewnie nie chciał tak tego odczuwać. Na pewno nie chciał. „Nie wróci” myślała łkając. „Kocha mnie, ale nie wróci. To, co usłyszał żyje w nim obrazem tak ohydny, że po prostu upadł pod tym ciężarem. Ten obraz z kelnerem zabił go. Wiem. Czym można zniszczyć taki obraz, taką potworność? Kiedy wspomina mnie, widzi moje ciało na stole, widzi mnie rozkraczoną, oddającą się dyszącemu kelnerowi, który mnie rżnie jak zwykłą kurwę. Taka jest prawda i nie wolno od niej uciekać, oszukiwać się, zasłaniać tiulami słów, udawać... On żyje tym obrazem, nagim, szatańsko wyraźnym. Nie pomogą tu gesty

wyjaśniające, osłaniające, bo to jest treść życia mężczyzny kochającego kobietę. Kobietę. Nie ideę, nie myśl, tylko żywą kobietę i jej żywe ciało. Przepadło wszystko. Przepadło".

Następnego dnia poszła na daleki spacer. Sama. Tam, gdzie już była kilka razy, nad szaro-błękitnym jeziorem, usiadła w trawie i patrzyła przed siebie niewidzącymi oczami. Wokół niej był złoty październik, w bladym słońcu. Ale nie widziała tego, chociaż patrzyła, patrzyła uparcie. Leciały wysoko ptaki, pod białymi chmurami, tańczyły w powietrzu liście opadające z drzew, gdzieś daleko szczekał pies. Nie widziała tego, nie słyszała. Była sama, a wokół nie było nic. Tylko z nieba i z pól szedł ku niej spokój, jakiego przedtem nie znała. Spokój i obojętność na wszystko. Jakby świat przestał istnieć, jakby się gdzieś rozwiało to, co było, co jest i to, co może jeszcze być. Zaciskała dłonie, nie wiedząc o tym, i tylko nagle zabrakło jej tchu. „Monti, do widzenia" pomyślała. „Może gdzieś się jeszcze spotkamy... jeżeli już nigdy, to... zostaniesz we mnie i tak... Będziesz we mnie zawsze. Nie opuścisz mnie i ja ciebie nie opuszczę... Będę cię miała takim jakim jesteś teraz we mnie... A tobie, kiedy już się dowiesz - też się przypomnę i zobaczysz mnie taką, jaka jestem naprawdę. I będziesz wiedział, że jestem twoja, że zawsze... Monti... poczuj mnie teraz w sercu, gdziekolwiek jesteś... Monti... Nie płacz po mnie, ale zapamiętaj. Na zawsze..."

Wstała i podeszła do wysokiego brzegu. Zamknęła

oczy, a potem rzuciła się w chłodną, gładką toń jeziora.

* * *

Wyciągnęli ją z wody chłopci, wiozący z pola buraki pastewne. Byli w pobliżu, ale ona ich nie słyszała. Zdażyli. We trzech zanieśli ją na wóz i położyli na burakach. Odzyskała przytomność, ale nie miała siły stanąć na własnych nogach. I nie mówiła nic, jakby już zapomniała słów. Leżała na wiejskim łóżku w wiejskiej chacie.

Zaalarmowana, przyjechała po nią pani Tymkiewiczowa. Chwyciła ją w ramiona i rozplakała się.

- Ty głupia, mała owieczko - szeptała jej do ucha. - Córeczko moja! Nie dam cię!

XXI

Pogoda była znośna. Jednostajny lekki powiew napływał znad oceanu, ale nie spiętrzał zbyt fali, i statek kołysał tak nieznacznie, że nikt nie cierpiał na morską chorobę. Stosunkowo mały frachtowiec, obciążony bawełną i orzeszkami ziemnymi z Senegalu, miał jeszcze na pokładzie dwóch pasażerów. Pierwszym był stary etnograf z Paryża, Pierre Delachaux, drugim - Gołmont, który wsiadł na statek w Dakarze.

Podróż była tyleż spokojna, co nudna, ale Gołmont nie oczekiwał atrakcji, a co więcej - nie chciał. Miał za sobą

trudny szlak saharyjski i żeglugę w górę Nigru, aż do Koulikoro, skąd jechał już koleją.

Był dziwnie zmęczony. Nigdy jeszcze nie odczuł tak niewygód i zagrożeń ze strony przyrody. Tym razem wszystko było nieudane. Zmizerniał, twarz mu pociemniała, dodając lat. Stał się też drażliwy i agresywny, a jednocześnie obojętny na wszystko, co go otaczało w przyrodzie. Mówił jeszcze mniej niż zwykle. Wracał do kraju gnany jakąś zupełnie nieświadomą potrzebą, a kiedy myślał o Warszawie, o Dębogórze, o ludziach, o przyjaciółach, na jego zaciśniętych wargach pojawiał się grymas niechęci. Sam nie bardzo wiedział dlaczego wraca akurat teraz. Mógł zatrzymać się gdzieś na dłużej w hotelu i tam odpocząć. Choćby w Dakarze. A jednak wracał.

Spał długo. Potem wychodził na pokład i gapił się w szarobłękitną dal, gdzie nic się nie działo, gdzie wszystko było po prostu niebem i oceanem. Śniadań nie jadał, bo mu się nie chciało. Na obiad przychodził regularnie. W mesie kapitańskiej, prócz pierwszego po Bogu, jadał jeszcze Delachaux i starszyzna załogi. Na ogół było wesoło, więc Gołmont szybko zjadał i wychodził.

Drugiego dnia podróży, stary etnograf wypatrzył Gołmonta na rufie, podszedł i opierając się o burtę rzekł filozoficznie:

- Il faut rentrer chez soi.
- Peut - etre.
- Powrót do domu zawsze jest czymś najważniejszym.

Tak już jest, że wszyscy wracają do domu. - Delachaux pokiwał głową. Tak już jest. Gdzie byśmy nie byli, jak by nie było - zawsze wracamy do domu. I w tym jest, być może, sens całego życia. Czy pan jest innego zdania?

- Nie mam zdania - rzekł sucho Gołmont.

- Jakże to, nie ma pan własnego zdania? Dlaczego?

- Nie mam domu.

- Kapitan powiedział mi, że jest pan człowiekiem bardzo zamożnym i w dodatku arystokratą polskim.

- Bzdura. Jestem najbiedniejszy, mam tylko pieniądze.

- Jest pan podróżnikiem, a zatem jest pan silny i zdrow jak koń. To prawdziwe bogactwo. Teraz rozumiem - wiem gdzie pana słaba strona. Szekspir powiedział: „Frailty, the name is woman”. I miał rację. Kobieta, to jedyna moc zdolna pokonać prawdziwego mężczyznę. Ale... także: jedna siła, która nie pozwoli mu upaść. A zatem - kobieta - może zniszczyć i może zbudować. Jak komu się trafi. Zawsze jednak warto się odwołać do rozumu - zastanowić się, czy przypadkiem nie zniszczyliśmy swego domu własnymi rękami.

- Sentencje mało mnie obchodzą. Kiedy upadnie pan twarzą w błoto, nawet Szekspir nie zastąpi wody i mydła. I nie zatrze wstrętnego wspomnienia.

- Jest pan w złym nastroju. Jakieś zło przesłoniło panu dobro. Trzeba się otrząsnąć. Zło opadnie. Człowiek z natury jest dobry. Każdy.

Usta Gołmonta skrzywił sarkastyczny śmiech.

- Jak świnia. Też jest dobra.

- Och! Człowiek, to istota szlachetna i pionowa. Wznosi się ku górze. Nie ma tu porównania.

- Nawet wtedy, kiedy ukryta w zbożu leży na plecach pod sapiącym fornalem.

- Gdyby nie wstrząs, przespałby człowiek całe życie. Poza tym, trzeba wziąć pod uwagę i to, że wszyscy przeżywamy, ale nie wszyscy rozumiemy. A warto pojąć tę prostą prawdę, że każdemu zdarza się zabiłdźić w meandrach życia. Errare humanum est. Zapomniał pan o Marii Magdalenie?

- Cały ten statek można by zapełnić księgami objaśniającymi życie i dającymi wskazówki jak należy postępować, ale w chwili kiedy zawali się niebo szczęścia, cały ten mądry bagaż nie jest wart funta kłaków. Człowiek żyje sobą.

- W każdym razie kwietyzm panu nie grozi. Proszę jednak pamiętać, że pogarda i nienawiść, to źli doradcy. Mają rogi, ogon i kopytka. Przypominam: Maria Magdalena.

- Powiedziałem panu jaką mają wartość rady i wskazówki.

Stary etnograf patrzył przed siebie jakby tam coś było.

- Niech pan jedzie do mnie. Posiedzi pan trochę, rozejrzy się. Paryż ma siłę magiczną; zabarwi panu duszę, którą odbarwiła gorycz. Mam córkę piosenkarke. Teraz już śpiewa mniej, ale jeszcze występuje. Pozna pana z tak uroczymi artystkami jak Charles Trenet. Wprowadzi pana do „Moulin Rouge” - oczywiście w zakulisowe życie. Po

prostu rozerwie się pan. Nocne życie, to nieszkodliwy narkotyk. W tej dziedzinie nikt Francuzom nie dorówna. Zamieszka pan u mnie - mam spory dom. Wszystkie wygody.

- Byłem w „Moulin Rouge”, znam Paryż. Cudowne miasto. Ale nie ma w nim białej sukni, jaką miało na sobie moje marzenie, które szło do mnie alejką Łazienkowskiego parku w Warszawie. Nie wiem dokąd pojedę, ale wiem, że nie ma takiego miejsca, dokąd pragnąłbym pojechać.

- Za jakieś dwadzieścia lat zrozumie pan, że to był błąd. Czy ona - żyje?

- Żyje.

- Z innym?

- Na pewno.

- W Afryce szukał pan zapomnienia?

Gołmont skrzywił się, jakby go coś zabolalo.

- Ale nie znalazłem.

- Przecież miłość nie jest w życiu najważniejsza. Nie potrafi pan do tego dojść?

- Oczywiście, są rzeczy ważniejsze... ale...

- ... ale?

- Ale człowiek musi oddychać. A ja oddychałem tą kobietą.

- Banalne to spostrzeżenie, ale tylko czas może pomóc w takim przypadku.

Gołmont poszedł do swojej kajuty i położył się. O rozmowie ze starym Francuzem zapomniał natychmiast. Już po chwili nie było jej. Było tylko to, z czym nie

można walczyć: pustka. A na dnie - żal, bo nie przestał kochać Zyty. Byłoby mu lżej, gdyby wiedział, że z czasem przestanie. Ale znał siebie: tak nie kochał nigdy; tym razem wiedział, że nie przestanie. Nieraz myślał o tym, że przecież nie kocha się bardziej lub mniej. Kto kocha, ten kocha, po prostu - kocha. Tego zdania jest rozum, i to prawda, której także nie ma mniej ani więcej. Wiedział, że to prawda ale czuł - że nie. Nie kochał tak samo. Kochał inaczej. Już nie pamiętał jak kochał kiedyś, bo wypełniało go tylko dziś. A dziś czuł, że jest inaczej, ponieważ dziś stał się jakby innym człowiekiem, jak by mu została tylko połowa siebie. Drugą połowę zabrała kobieta. Ta jedyna kobieta, bez której mężczyzna nie jest całym mężczyzną. Życie bez tej jedynej kobiety nie było już życiem. Było tylko istnieniem. Nie miał pojęcia, co będzie. Nie zastanawiał się nad tym. Żywił nadzieję, że jakoś się wszystko ułoży; bez sensu i bez pragnienia, ale jednak, i będzie mógł wegetować robiąc coś, co wypełni dni, co upływ czasu uczyni znośnym. Wracając do kraju, postanowił zajrzeć do Dębogóry a potem zamieszkać incognito w jakimś niewielkim mieście, z dala od ludzi, z którymi, musiałyby, chcąc nie chcąc, rozmawiać o Zycie, o tym co się stało, o tym co jest. Jedynym jego pragnieniem było nie wiedzieć nic o Zycie, uniemożliwić dopływ informacji i plotek, nie kontaktować się z Warszawą.

W Marsylii pożegnał starego Delachaux, a do Paryża pojechał następnego dnia. Zatrzymał się w hotelu. Kilka dni odpoczywał, następnie kupił dużego Talbota i nie

spiesząc się, wyruszył prosto na wschód, przez Belgię i Niemcy. W Kolonii wynajął pokój, wybrawszy najelegantszy hotel. Siedział kilka dni. Włóczył się starymi uliczkami, przesiadywał w kawiarniach, ale w atmosferze miast niemieckich zmieniło się zbyt wiele, żeby mógł zostać dłużej: bojówki hitlerowskie obecne były wszędzie, więc z niesmakiem opuścił to piękne miasto. Przez Berlin dotarł do granicy, a potem zatrzymał się dopiero w Poznaniu, skąd po krótkim odpoczynku, omijając Warszawę pojechał do swojej Dębogóry. Odbił krótką rozmowę z nowym administratorem, stwierdził, że w sprawach majątkowych jest lepiej niż przypuszczał, a na koniec zakazał informowania kogokolwiek, że wrócił do kraju i po dwóch dniach pobytu w pałacu, odjechał, nie mówiąc dokąd.

Właścicielowi hotelu w Płocku powiedział kim jest, zobowiązując go odpowiednią sumą pieniędzy do milczenia. Zameldowany został jako Władysław Dębogórski.

XXII

W salonie Stefanii Lange zgromadziło się kilkanaście osób. Listopadowa szaruga odebrała urok spacerom, więc ten i ów przypomniał sobie o miłym, wesołym przybytku Werony, gdzie zresztą można było również spędzić czas zupełnie inaczej, po prostu, na towarzyskiej rozmowie w gronie znajomych.

Stolik koło płonącego kominka zajęli: Dorniewski, który tę porę roku spędzał albo w Paryżu, albo w Warszawie i Jaśminowicz zaglądający tu by trochę poplotkować. Siedzieli popijając koniak i rozkoszując się lekką muzyką z płyt. Utrwalony na ebonitowym krążku baryton śpiewał właśnie „A mnie jest szkoda lata”.

- Mnie też - powiedział Dorniewski. - Nie lubię pluchy jesiennej. Tobie przynajmniej nie dokucza wilgoć, bo chroni cię sadło, którego masz pod dostatkiem. A'propos, czy to prawda, że się nie żenisz, bo brzuch uniemożliwia ci kopulację?

- Jesteś w błędzie. Nie żenię się, bo kopuluję codziennie z inną, ku wielkiemu zadowoleniu, co wyklucza monogamię.

- Nic dziwnego, że twój, w dodatku z natury, karłowaty umysł wydaje tak niskie plony.

Jaśminowicz wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Odnosisz się z odrazą do kobiet, ponieważ jesteś mente captus. Upośledzenie psychiczne nie pozwala ci - i w tym właśnie rzecz cała - docenić plonów mego umysłu. Cała fantazja poszła ci w loki.

- Jest zupełnie odwrotnie. To ja jestem normalny; pokaż mi jednego mężczyznę, którego kobieta nie doprowadziła do ruiny lub depresji. Czyż Monti nie potwierdza mojej teorii wyrastającej z doświadczenia?

- Ale, ale! - zawołał Jaśminowicz. - Zapomniałem ci powiedzieć: dziś otrzymałem wiadomość, że Monti przekroczył granicę. A zatem jest w kraju.

- Skąd ta nowina?

- Zwróciłem się swego czasu do policji, by powiadomili mnie o tym.

- No, to na co czekamy? Jedziemy odwiedzić go.

- Telefonowałem do hotelu. Do innych też. Nie wiem gdzie się zatrzymał. Być może pojechał do siebie na wieś. Pewnie chce być jeszcze sam. Wiesz jaki potrafi być dziwny.

- Sam sobie winien. Ostrzegałem, tłumaczyłem, że to kobieta nie dla niego.

Jaśminowicz zachnął się.

- Bzdura! Co to znaczy - dla niego, nie dla niego?

- Znasz uczciwą kobietę z taką przeszłością?

- Ty w ogóle nic nie wiesz o kobietach. Podejrzewam, że nie wiesz też nic o życiu. Zamknąłeś się w wysterylizowanym, sztucznym świecie i z tej pozycji oceniasz postępowanie ludzi z gruntu fałszywie. Każdy błędzi. Nieborowska błędziła, to fakt, ale - dlaczego?

Dorniewski parsknął pogardliwie.

- Bo ma naturę dziwki.

- Znowu - bzdura! Bo nie zaznała szczęścia, ty głupkowany moralisto, bo nie miała ciepłego domu, w którym czeka ukochany człowiek. Człowiek! Człowiek, a nie samiec, człowiek a nie nędzna kreatura, zwyrodnialec, sadysta. Szamotała się więc, biegała na oślep tu i tam, próbując znaleźć swoje miejsce w życiu...

- ... w knajpie z kelnerem, którego penis miał jej wskazać drogę, jako kierunkowskaz? No i wskazał: penis

w dupie, oto jej miejsce w życiu.

- Wulgarny opis zdarzenia nie wyjaśnia motywacji postępowania, które przywiodło ją do upadku. Pamiętaj o tym, że upaść może każdy. Chodzi o to, czy potrafi się podnieść i wyprostować. Jeśli chodzi o ścisłość, była pijana...

- Była pijana! Nie sądzisz, że jest to uwaga idioty?

- Wycofuję to... Zresztą, o co my kruszymy kopie? Ani moje usprawiedliwienia, ani twoje napaści nie mają wpływu na ostateczną decyzję Montiego.

Dorniewski przełknął odrobinę koniaku. Odstawił kieliszek i westchnął głęboko.

- Mam nadzieję, że Monti podjął decyzję tamtego pamiętnego dnia. Teraz wrócił do kraju, bo najprawdopodobniej odzyskał równowagę, wykreśliwszy tę panią nawet z pamięci. To człowiek, mimo wszystko, rozumny.

- Cała nadzieja w tym, że - nie. Człowiek rozumny - homo sapiens, to istota umiejąca postępować wbrew rozsądkowi. Czy twój kawałek lodu pod czaszką jest w stanie to pojąć?

- Jesteś pożałowania godnym sofistą. A w ogóle, rozumujesz jak alfons po wyższych studiach. Jaśminowicz machnął ręką.

- A teraz - serio: co, zdaniem twoim, powinniśmy zrobić? Czego on od nas w tej chwili oczekuje?

Dorniewski znów westchnął.

- Ten szalenciec pragnie, byśmy ją odnaleźli.

- Mówiłeś przed chwilą, że wykreślił ją z pamięci. Nie wiesz co mówisz?

- Nie zawsze. Ale zawsze wiem co czuję.

- Ja - odwrotnie. O, idzie Pocijko.

Mały detektyw zbliżył się do stolika i nie czekając na zaproszenie, usiadł zwiesiwszy głowę. Już na pierwszy rzut oka widać było, że ma coś do powiedzenia, chociaż wolałby nie mieć. Oczy mu przygasty ze zmęczenia. Zaczął mówić milczeniem, potem rzekł niemal szeptem:

- Wiem już.

- Co? - Jaśminowicz nalał mu koniaku. - Co?

- Mówię o pani Nieborowskiej.

- Gdzie jest?

- Nie wiem.

- Pan jest przemęczony - powiedział Dorniewski.

- Tak. Szukałem jej długo i znalazłem miejsce jej pobytu na Wileńszczyźnie.

- Pan nie wie gdzie ona jest, ale wie pan gdzie przebywa. Pan jest nie tylko znużony, ale także źle się czuje.

Jaśminowicz położył detektywowi rękę na ramieniu. Był to wyraz troski i zachęty.

- A teraz - po kolei - czego się pan dowiedział?

Pocijko opróżnił kieliszek.

- Dobrze. Niech będzie - po kolei. Więc pani Nieborowska została nauczycielką w majątku Struga koło Święcian. Uczyła tam wnuka właścicielki - Heleny Tymkiewiczowej, która się nią serdecznie zaopiekowała.

Syn pani Tymkiewiczowej, wdowiec przestał zabiegać o względy Nieborowskiej, kiedy dowiedział się, że ona przeżywa wielki dramat osobisty i nie chce żadnego mężczyzny. Zaczęli do niej przyjeżdżać ziemianie z sąsiedztwa. Jeden z nich chciał nawet porzucić rodzinę. Dostał odkosza i wpadł w depresję. Inni też zostali odrzuceni z całą stanowczością, ale pani Nieborowska nie wytrzymała tego wszystkiego i czując się porzuconą przez pana hrabiego Gołmonta, nie mając już nadziei na jego powrót - usiłowała popełnić samobójstwo...

- To nasza wina! - zawołał Jaśminowicz wzburzony. - Powinniśmy ją odnaleźć i dodać otuchy.

- Co się stało? - zapytał niecierpliwie Dorniewski. - Mów pan.

- Chciała się utopić - podjął swe opowiadanie Pocijko.

- Szczęściem, w pobliżu jeziora byli chłopci pracujący w polu, no i uratowali jej życie. Ale ona rozchorowała się. Tymkiewiczowie umieścili ją w wileńskim szpitalu, gdzie leżała ze dwa tygodnie. Podobno mogła wyjść ze szpitala wcześniej, ale ordynator upierał się, że jeszcze musi ją leczyć, a tak naprawdę, to ją trzymał, bo się w niej zakochał. Z tego właśnie szpitala została porwana, czy wykradziona... nie wiem jak to nazwać. Ordynator wyjechał na dwa dni do Warszawy w sprawach służbowych i wtedy zjawił się mąż Karol Nieborowski. Załatwił wszystko, wypisał żonę ze szpitala i zabrał do swego samochodu śpiącą, a ja uważam, że uśpioną jakimś

medykamentem. Powiedział, że to ma być dla żony urocza niespodzianka. Personel szpitala uwierzył mu i wydał ją. Kiedy wrócił ordynator i zobaczył co się stało, wpadł w furję. Pobił jakiegoś lekarza i poturbował pielęgniarkę tak, że wytoczono mu proces sądowy. Został też zawieszony w obowiązkach, a w dodatku porzuciła go żona, posądzając go o romans z panią Nieborowską. Ordynator strzelił sobie w łeb. Na szczęście tylko się zranił. - Pocijko napił się i mówił: - Dokąd Karol Nieborowski wywiózł żonę nie wiadomo, ale mnie się zdaje, że do swego majątku, bo przecież mieszkanie warszawskie zlikwidował. Los pani Nieborowskiej jest pożałowania godny, ale nic zrobić nie można, ponieważ formalnie, prawnie jest nadal żoną tego zwyrodnialca i mordercy. Policja nie może interweniować, bo skoro żona nie złożyła skargi, brak podstaw do wkroczenia. No, a ona nie skarży się, bo nie ma możliwości, pozostając de facto w niewoli.

- Horrendum! - Jaśminowicz złapał się za głowę.

- Sytuacja jest rzeczywiście poważna - zgodził się Dorniewski.

- Przecież ten łotr będzie ją maltretować. Łatwo sobie wyobrazić co ona tam przeżywa.

- Musimy coś przedsięwziąć.

- Ale, co? Nie stoi za nami prawo. Nie możemy tam pojechać, bo ten bydlak poszczuje psy na nas.

- Gdyby wrócił do kraju Gołmont - rzekł Pocijko - to jakaś rada by się znalazła.

- Gołmont wrócił.

Pociejko wybałuszył oczy.

- Kiedy?

- W tych dniach.

- No, to lecę do niego.

- Wrócił, ale nie do Warszawy.

- Znajdziemy go!

Dorniewski pokręcił głową.

- Nie wiadomo gdzie jest. Obawiam się, że nie ma go i w Dębogórze. Poza tym...

- Co?

- Poza tym, trudno przewidzieć jak zareaguje... Niech to diabli!

Jaśminowicz myślał intensywnie. Wreszcie rzekł:

- Tak czy owak, nie możemy jej opuścić w nieszczęściu. Bez względu na to, co o niej sądzi teraz Monti, kobiecie trzeba przyjść z pomocą.

- Pan hrabia, gdyby wiedział co się dzieje - myślał głośno Pocijko - pojechałby tam. Jestem pewny, że rozdarłby na pół Nieborowskiego. On by cały pałac rozwalił, jak klocki. On by ją uwolnił.

- Ale go nie ma. Kiedy z nią rozmawiałem ostatnim razem, było mi jej żal, jednak... Cóż - to był czas jej dramatu...

- Płaczesz się, gędzisz - rzekł Dorniewski, nagle zły i zaczepny. - Mów jasno do czego zmierzasz?

- Wtedy ona decydowała o swoim losie, a teraz stała się więźniarką. Spadło na nią jeszcze jedno nieszczęście.

Ja tam pojedę. Albo wrócę z nią, albo nie wrócę w ogóle.

- Pojadę z tobą.

- Ja, też - rzekł Pocijko.

- Najlepiej nie odkładać. - Dorniewski podniósł się. - Za dwie godziny spotykamy się koło mego domu. Będę już na was czekać w samochodzie. A, nie zapomnijcie wziąć ze sobą broni. Może być gorąco.

* * *

Wieczór był ciemny i dżdżysty, jak to późną jesienią. Za Warszawą droga zapraszała całą swą wolną szerokością, więc jechali bez przeszkód, ale nie tak szybko, jakby sobie życzyli, ponieważ raz po raz wpadali w głębokie i rozległe kałuże. Za Dęblinem rozpadało się jeszcze bardziej. Wycieraczki z trudem zbierały potoki wody.

Jaśminowicz trzymał przed sobą mapę. Pocijko, bardzo widocznie znużony, usnął na siedzeniu z tyłu.

Dorniewski był dobrym kierowcą. Prowadził spokojnie, ale śmiało.

- Zajedziemy na miejsce głuchą nocą - rzekł.

- Tak. Jaśminowicz wyjął z kieszeni pistolet i sprawdził dokładnie mechanizm, wypuściwszy najpierw magazynek. Potem zatrasnął go w kolbie i długo ważył broń w swej pulchnej dłoni. - Kto wie, co się wydarzy. Jak myślisz, mamy prawo strzelać?

- A w jakim celu otrzymałeś pozwolenie na broń. Żeby

ją głaskać pod poduszką?

- Żeby jej użyć w obronie życia, kiedy zostanie napadnięty. Tymczasem, to my będziemy napastnikami.

- Pierwsi strzelać nie będziemy, ale jeżeli oni zaczną - będę walić.

- Czy nie lepiej użyć podstępu? Nieborowski, to trudny przeciwnik. Pamiętaj o tym, że jedziemy nie dla zasady, tylko dla skutku.

- W ogóle, nasza wyprawa ma charakter dwuznaczny; balansujemy na granicy przestępstwa, z punktu widzenia kodeksu kryminalnego. Zamierzamy przecież uprowadzić kobietę.

- Ale z jej zgodą.

- Tak czy owak, jest to najście prywatnego domu. Tłumaczą nas jedynie szlachetne intencje, jednakże to pojęcie mgliste. W tej sytuacji podstęp dałby może lepsze rezultaty, ale ja brzydzę się podstępem.

- Nieborowski poszczuje na nas psy.

- To już zmusi nas do obrony. Będę strzelać do psów. Jaśminowicz schował pistolet.

- Ja jestem za użyciem podstępu. Musimy ją wyrwać z tej jaskini.

- No dobrze, niech ci będzie. Co proponujesz?

- Możemy powiedzieć, że Huget jest umierający i chce się widzieć z Zytą.

- Nieborowski nie po to ją porwał, żeby teraz wypuścić dla jakiegoś tam Hugeta. Dla niego jest to jakiś tam Huget.

- Do diabła! Chyba tak. A jak ty chcesz to rozegrać?
Dorniewski miał gotową odpowiedź.

- Przyłożę mu lufę do skroni i każę się do niej prowadzić. To wszystko. Masz jeszcze pytania?

- Nie.

* * *

- To już Luboml! - zawołał Pocijko.

- Tablica nie kłamie - rzekł Jaśminowicz. - Teraz musimy pytać.

Miasteczko spało pogrążone w ciemnościach nocy. Nawet psy nie ujadały.

Koło gospody nie było także żywego ducha, a w oknach odbijało się tylko blade światło idące z bruku szarym błękitem.

Samochód stanął przed posterunkiem policji. Zaspany funkcjonariusz obciągnął kurtkę i nałożył czapkę.

- Panowie do kogo? - zapytał speszony, podejrzewając, że to jakaś inspekcja.

- Nie znamy drogi do majątku Wołkowiany państwa Nieborowskich - powiedział Dorniewski.

- A, panowie tam jada?

- Ile macie lat służby?

- Sześć, melduję posłusznie.

- No, a jeszcze zadajecie głupie pytania! Którędy mamy jechać?

- Tu, zaraz na lewo, a potem do mostku i na prawo.

Dalej przez las prosto.

- Jak tu, spokojnie?

- Tak jest!

- A, państwo Nieborowscy oboje w pałacu?

- Pan komisarz mówił, że już dawno nie było pani hrabiny. Jak trzeba, to go pójdę obudzę. Mieszka tu, zaraz...

- Nie trzeba.

* * *

Wjechali otwartą bramą do ogromnego parku. Szeroka aleja kończyła się w głębi wysokim klombem. Nad nim rysował się, na tle nieba, masywny pałac otoczony bezlitosnym gąszczem konarów starych drzew. Było to miejsce nad wyraz ponure. Tu i ówdzie połyskiwała martwo szyba, wszędzie królowała czerń i jakiś przejmujący chłód.

Dorniewski prowadził wóz wolno, zgasiwszy reflektory. Zbliżali się do klombu, na którym sterczały kępy badyli, będące kiedyś łodygami kwiatów.

Nagle samochód opadły wielkie brytany. Cała sfora. Szczekały tak zawzięcie, że obudzić mogły dziesięć pałaców. Zza grubego dębu wyłonił się stróż.

- Zabieraj psy! - krzyknął Dorniewski.

Stróż odpędził brytany i poszedł do samochodu.

- A, do kogoj?

- Dawaj tu dziedzica! - ryknął Jaśminowicz. -

Biegiem, bo pan minister każe wybić wszystkie wasze psy! Biegiem, ty ofermo dworska! No, już!

Stróż zawołał psy i zamknął je w przybudówce, a następnie ruszył truchtem do pałacu. Jedno z okien zajaśniało już. Zaraz potem zapaliło się światło w kilku oknach.

Nieproszeni goście wysiedli z samochodu.

- Pan zostaje w wozie - rzekł Dorniewski do Pocijki. - Niech pan pilnuje.

- Dobrze - zgodził się detektyw.

- A, my idziemy.

Wkrótce zjawił się przed pałacem lokaj.

- Jaśnie pan prosi - powiedział grobowym głosem.

- Prowadź - rzucił ostro Jaśminowicz.

Poszli szybkim krokiem, zmuszając lokaja do pośpiechu. W hallu panowały ciemności, ale szerokie drzwi na prawo, otwarte już, sączyły skąpe światło. Weszli do salonu. Ogromna lampa rozpraszała mrok. Błyskały złocenia, lustra i lichtarze. Z sąsiedniego pokoju wyszedł w bonzurce gospodarz. W pierwszej chwili nie poznał Jaśminowicza, stojącego tyłem do lampy.

- Tak nagła wizyta dziwi mnie - powiedział, dając znak ręką lokajowi, by odszedł. - Nie wiem kogo mam zaszczyt gościć w moich progach...

- To jest pan Dorniewski - rzekł Jaśminowicz. - A my się znamy z Warszawy. - Tu odwrócił się, ukazując twarz w świetle.

- Co?! - zawołał Nieborowski z oburzeniem.

Dorniewski postąpił dwa kroki do przodu i wyjął z kieszeni pistolet. Wyglądał na człowieka, który nie żartuje. Twarz miał zimną, bez wyrazu.

- Milczeć!

Nieborowski wyciągnął głowę do przodu, automatycznie unosząc ręce w górę.

- Co to znaczy..? - wyjąkał.

- Gdzie pani Zyta?

- Ach, tak...

- Odpowiadaj na pytania! - warknął Jaśminowicz. - Pan Dorniewski pyta tylko raz.

- Jakim prawem...?

- Strzel mu w jaja! - Głos Jaśminowicza zabrzmiał groźnie. - Wtedy zaczniesz mówić.

- Ależ, ludzie... Co wy? Co robicie?!

- Ciszej bo strzełę - powiedział szybko Dorniewski.

- Panowie... O co chodzi? Co to znaczy?

- Gdzie żona? Mów pan, bo dam słowo, że kropnę...

- Nie ma jej tu! To chyba wy wiecie, gdzie ona teraz.

- Łżesz.

- Klnę się na honor!

- On mówi, że ma honor! - zawołał Jaśminowicz.

Dorniewski opuścił nieco lufę, celując w brzuch.

- Mów bo strzełę.

- Przysięgam na Chrystusa! - Nieborowski padł na kolana. Głos mu drżał, z oczu płynęły łzy strachu. Ośliniony i nędzny zebrał o litość: - Nie ma jej... Była, bo ją przywiozłem, ale zagroziła samobójstwem, więc ją

puściłem. Przysięgam! Litości... Nie ma jej! Nie ma!!

W tym momencie wszedł do salonu szofer Nieborowskiego i natychmiast skoczył do przodu.

Dorniewski nacisnął spust dwukrotnie. Dwa strzały, jeden po drugim zlały się w jeden grzmot. Kule szarpały dywanem pod nogami szofera i młody osiłek stanął w miejscu.

- Padnij!

Szofer zawahał się, ale spełnił rozkaz.

- Panowie, litości... - rzeził Nieborowski. - Jej tu niema...

- Każ wyjść temu parobkowi! - rozkazał Dorniewski, wskazując szofera. - A potem zamknij drzwi i siadaj.

Po chwili zostali sami. Usiedli przy zamkniętych drzwiach. Drugie zamknął Jaśminowicz.

- Panowie - łkał Nieborowski - wiem, co was sprowadza, ale przecież... przecież... ona chyba pojechała do Warszawy... do was.

- Nie - powiedział Jasminowicz. - Kiedy wyjechała?

- Trzy dni temu... przysięgam.

- Kto ją odwoził?

- Mój szofer. Możecie go zapytać. Zawołam, go.

- Nie - powiedział Dorniewski. - W jakim była stanie?

- W dobrym. Nic jej nie zrobiłem.

- Łżesz.

- Przysięgam na Trójkę Świętą.

- Miała pieniądze?

- Dałem jej dwa tysiące złotych i sto dolarów.

- Co powiedziała wyjeżdżając?

- Że nie chce mnie znać...

- Nie mówiła dokąd się wybiera?

- Nie. Nic nie mówiła na ten temat. Nic...

- Jeżeli skłamałeś... - Jaśminowicz wyciągnął swój pistolet i pomachał nim - to wrócimy tu i ja odstrzelę ci jajka. Obiecuję.

- Nie kłamię - powiedział już spokojniej Nieborowski.

- Ale nie wiem dokąd pojechała. Może jest w Warszawie, a może w Paryżu... Skąd ja mogę wiedzieć?

Dorniewski wstał i wyszedł bez pożegnania, a za nim uczynił to samo Jasminowicz. Już w drodze powrotnej, zaczęli się zastanawiać, czy zrobili wszystko, co powinni zrobić.

- Jedno jest pewne - powiedział niezbyt zadowolony Jaśminowicz - wystąpiliśmy w rolach gangsterów. Wiem, że częściowo jesteśmy usprawiedliwieni... Osoba przeciwnika... Wszystko to wiem, ale...

Dorniewski wzruszył ramionami.

- Uważasz, że powinniśmy zacząć od słów: z prawdziwą przyjemnością składamy panu wizytę i bylibyśmy wdzięczni, gdyby pan zechciał powiedzieć nam, i tak dalej? Zapewne wtedy wypadlibyśmy bardziej comme ii fant.

- Masz rację, ale... pozostał mi jednak niesmak.

- Gorsze jest to, że on panów oszukał - rzekł Pocijko, przysłuchujący się rozmowie przyjaciół. - Pani Nieborowska nigdzie nie wyjechała. Ona tam jest, a my

zrobiliśmy dokładnie to, czego nie należało robić. Właśnie dlatego wracamy bez niej.

XXIII

Pod koniec listopada, Gołmont przeniósł się do Warszawy. Dłuższy pobyt w Płocku był ponad jego siły. Cisza małego miasteczka pogłębiła jeszcze depresję, przywołała jeszcze bliżej Zytę. Nie mógł spać, nie mógł jeść. Schudł jeszcze bardziej; czuł, że musi się coś stać, musi coś nadejść, bo w przeciwnym razie oszaleje lub skończy ze sobą. Każdego wieczora czyścił swój podróżny, wielki rewolwer, obracał go w rękach, ważył w dłoni, oglądał jak coś, co w dziwny sposób fascynuje, a jednocześnie sprawia ból. Nosił broń pod marynarką, w specjalnej kaburze na szelkach, tak jak policjanci amerykańscy zwalczający gangi przestępcze. Miał ze sobą broń nawet kiedy wychodził po papierosy.

W Warszawie także nie znalazł ukojenia, ale ruch i gwar pomagał zapomnieć przynajmniej na chwilę. Zamieszkał w tym samym niewielkim hotelu, w którym zatrzymał się po powrocie z pierwszej ucieczki. Unikał również miejsc, gdzie mógłby spotkać znajomych lub wścibskich dziennikarzy. Poruszał się zresztą tylko samochodem.

„Tak już będzie zawsze” myślał. „Nic się nie zmieni, bo to jest silniejsze ode mnie. Nic się nie zmieni. Aż któregoś dnia palnę sobie w łeb i będzie koniec. I

wszystko ucichnie. A ona, żyje sobie normalnie i będzie żyła normalnie - po swojemu, zmieniając co jakiś czas kochanka na innego. Nowe wrażenia zapełniają każdy dzień, każdy wieczór; stare - znikają niepotrzebne, wspomnienia bledną i odchodzą. Jak to w życiu".

Pewnego wieczora zatrzymał się koło Filharmonii, bo właśnie zaczęli z niej wychodzić pierwsi melomani. Zupełnie bezwiednie zaparkował wóz i obserwował postacie mężczyzn i kobiet. Nagle uświadomił sobie, że chce ją zobaczyć, że chce widzieć jej twarz obok twarzy jakiegoś kochanka. Chciał to zobaczyć, chciał zadać sobie ból, nie pojmując dlaczego to robi.

Nie zauważył jej. „O tej porze, w tłumie nie zobaczę" myślał. „Może wyszła wcześniej, może wsiadła od razu do samochodu męża lub do taksówki. Nie. O tej porze - nie".

Następnego dnia zjawił się w pobliżu Filharmonii, na kilkanaście minut przed godziną rozpoczęcia próby. Filharmonicy wchodzili do gmachu, ale jej nie było. „Widocznie w tej próbie nie bierze udziału" myślał. „Może zaziębiła się i nie przyszła, może wyjechała".

Wrócił do hotelu, ale nie miał spokoju. Chodził z kąta w kąt jak błędny. I znów tego nie rozumiał. Nie chciał o niej myśleć, nie chciał jej widzieć, nie chciał o niej z nikim mówić, a jednak następnego dnia znów stanął przed Filharmonią. Czuł, że chce się dręczyć w ten sposób, że pragnie tej udreki. Obserwował ulicę bardzo uważnie, ale i tym razem nie przyszła. Wokół zrobiło się tak pusto,

jakby cały świat umarł.

Palił papierosa po papierosie, czuł wzmagające się zdenerwowanie. Przeklinał ją, a jednak powtarzał w myśli: „Dlaczego nie przychodzi?” Czekał jeszcze dwie godziny, bo przypomniał sobie, że czasem zaczynała próbę później. Nie przyszła. Wrócił do hotelu i zatelefonował do dyrekcji.

- Słucham, Filharmonia - odezwał się męski głos.

- Czy zastałem panią Nieborowską?

- Nie. A kto mówi?

Gołmont westchnął nerwowo.

- To bez znaczenia... Józef Potkański... Czy będzie na próbie jutro?

- Nie. Pani Nieborowska już u nas nie gra.

- Jak to - nie gra? W ogóle?

- Już dawno wystąpiła z zespołu.

- A gdzie się zaangażowała?

- Nie wiemy. Wyjechała z Warszawy. Nie utrzymujemy kontaktu.

Gołmont odłożył słuchawkę. Miał nagle sucho w ustach i czuł, że pobladł. Odszukał numer domowy i nakręcił go szybko.

- Halo! - zawołała do słuchawki jakaś energiczna starsza pani.

- Czy jest w domu pani Nieborowska? - spytał Gołmont nie swoim głosem.

- Kto?

- Pani Nieborowska.

- Tu taka nie mieszka.

- To chyba pomyłka. Przepraszam.

Nakręcił numer Nieborowskich jeszcze raz, ale odezwał się ten sam głos.

- Mówię panu, że tu taka nie mieszka. Tu jest dom pana Kwiecińskiego.

Gołmont zaczął chodzić tam i z powrotem. Zapalił papierosa. „Co to znaczy?” myślał. „Jak to nie mieszka? Więc jednak wyjechała. Oboje wyjechali. Więc jednak. Ale, dokąd?”

Nagle sięgnął po jesionkę i bez kapelusza zbiegł na dół. Wsiadł do samochodu i nie zastanawiając się, pojechał do Jaśminowicza. Odepchnął służącego i wszedł, nie rozebrawszy się, do gabinetu.

- Gdzie jest Nieborowska? - zapytał bez wstępu.

Jaśminowicz wywrócił krzesło, wstając.

- Monti! - zawołał radośnie.

- Witaj, Rafałku. Gdzie ona jest?!

- Poczekaj. Spokojnie. Najpierw siadaj i oddaj mi jesionkę. Dziś przyjechałeś?

- Dziś... Pytam cię, gdzie ona jest?

Jaśminowicz stał przy biurku zakłopotany, nie wiedząc co powiedzieć, ponieważ było zbyt wiele do powiedzenia. Wreszcie wybąkał:

- Nie mam pojęcia. Myśleliśmy, że jest u męża na wsi...

- Co się stało?

- No, wiesz... to długa historia...

- Jaka historia?

- Poczekaj... Napijesz się czegoś? Wszystko ci opowiem po kolei.

Gołmont zrzucił jesionkę i zapalił papierosa.

- Gdzie ona jest?

- Mówię ci, że nie wiadomo... Byliśmy u Nieborowskiego na wsi, ale... znów wyjechała... Była, ale wyjechała...

- Z kim?

- Bzdura! - zawołał Jaśminowicz. - Kto ci to powiedział?

- Nikt. Po prostu pytam.

- Sama. Ona jest sama. Monti, ona... targnęła się na swoje życie... Była w szpitalu...

- Co?! - Gołmont zerwał się na równe nogi. - Gdzie ona jest?! Mów!!!

- Żyje. Jest cała...

- Gdzie?! Gdzie?! Pytam gdzie jest?!

- Była w szpitalu w Wilnie, a stamtąd uprowadził ją podstępnie jej mąż i zawiózł do swego majątku. Pojechałem tam z Kazikiem, ale podobno wypuścił ją i nie wie dokąd... Pocijko twierdzi, że ona tam jeszcze jest. Uwięziona. Wszystko możliwe... Znając jej męża...

Gołmont usiadł. Przymknął oczy i siedział nieruchomo. Jego twarz zamieniła się w kamienną maskę. Po dłuższej chwili zapytał obcym, chrapliwym głosem:

- Byliście tam?

- Tak.

- Gdzie to jest?

- Majątek Wołkowiany. Dziesięć kilometrów od miasteczka Luboml za Chełmem.

- Kiedy?

- Co? Kilka dni temu.

- Wołkowiany?

- Tak.

Gołmont wstał. Ubrał się i ruszył ku drzwiom.

- Mówił, że wyjechała? A, Pocijko uważa...

- Tak, Monti. Co chcesz zrobić?

- Bywaj zdrów.

- Monti! Posłuchaj! Wszystko zorganizujemy...

Gołmont wstrzymał przyjaciela ruchem ręki. Potem wyszedł bez słowa. Wolno jakby się z trudem poruszał.

* * *

Wsiadł do samochodu, oparł się o kierownicę i trwał w bezruchu jakiś czas, z zamkniętymi oczami. Nie myślał, niczego nie odgadywał, niczego nie postanawiał, jak gdyby nic się nie stało. Głęboko oddychając, rozluźniony wracał do równowagi w ciszy i w izolacji; niepokój, zdenerwowanie, uczucia pozostawił za sobą, żeby w czasie koniecznego działania podporządkować się całkowicie chłodnemu rozsądkowi. Wiele już razy uniknął klęski dzięki takiemu właśnie rozluźnieniu i uciszeniu myśli.

Po paru minutach westchnął głęboko, otworzył oczy i

spokojnie uruchomił silnik. Włączył pierwszy bieg i ruszył do hotelu. Tu włożył sportowe ubranie, mocne trzewiki, a potem otworzył kluczykiem małą walizkę i wyjął z niej broń. Sprawdził czy w bębenu rewolweru jest sześć nabojów, schował rewolwer do kabury i zapiął szelki. Garść nabojów - na wszelki wypadek - wrzucił do kieszeni. Robił to szybko i nadzwyczaj sprawnie.

Zszedł na dół, oddał klucz do recepcji, informując jednocześnie, że pokoju nie zwalnia, ale wyjeżdża na całą dobę'. Potem kazał sobie przynieść pełen termos czarnej kawy, kupił dwie paczki Chesterfieldów, i usadowił się w wozie. Zapadał zmierzch, więc włączył reflektory. Wolno ruszył, kierując się na wschód.

Talbot pracował cicho i niezawodnie. Za rogatekami Pragi, Gołmont nacisnął pedał gazu niemal do oporu. Pędził teraz jak ogromny czarny pocisk. Szosa była mokra, gdzieniegdzie połyskiwały w światłach kałuże. Roztrącał je, przyjmując na maskę i przednią szybę fontanny wody.

Nie układał sobie żadnego planu. Wiedział z doświadczenia, że w podobnej sytuacji jest to bezcelowe, ponieważ o wszystkim decydują drobne nawet przypadki, które na początku są zawsze niewiadomą. Miejsce planu, zajmuje zawsze bieżąca konieczność, wymagając szybkiej decyzji. Wiedział tylko po co jedzie: bez względu na okoliczności, ma oswobodzić Zytę i przywieźć ją do Warszawy. Wiedział też, że uczyni to. Co będzie później, nie miał pojęcia, ale to już była inna sprawa.

„Mam w bagażniku dwa kanistry benzyny" myślał. „To mi wystarczy, nawet gdybym musiał pokonać jakąś nieprzewidzianą odległość. Dam sobie radę. Tylko, czy jest? Czy ona tam jest? Nieborowski z pewnością kłamał. Trzyma ją gdzieś zamkniętą. Pocijko uważa, że - tak. On ma instynkt tropiciela. Jeżeli uważa, że tak, to znaczy, że ona tam jest. Gdy o to chodzi... w tych sprawach Rafał i Kazik, to dzieci. Duże dzieci. Naiwni, łatwowierni dżentelmeni. Fujary. Tak... ona tam jest. Uprowadził ją nie po to, żeby wypuścić. Nareszcie ma okazję wyrzucić na niej zemstę: uwięzić, zamknąć... Uchwycił ją w swoje szpony, myśląc że ja jestem daleko i mam to już poza sobą. Tak... Mąż. Pan, władca, sędzia wymierzający sprawiedliwość niewiernej ślubnej małżonce, krnąbrnej żonie. Wreszcie poskromiona. Tak... Poskromiona. Wolny ptak zamknięty w klatce. Wolny ptak... Nieposłuszna kobieta ośmielająca się żądać prawa do własnych upodobań, do uczuć, które odmienia czas i ludzie. Uczucia... Jedno, czy wiele? Ile tych uczuć? A, obok uczucia - przygoda... Ot, po prostu. Jedna, druga, dziesiąta. Cóż tam - przygoda! Jakiś tam wieczór, wódka albo i bez... Zły mąż - znieawidzony, więc hop - w przygodę. Trzeba przecież zapomnieć o codziennej udreće, o wstrętnym mężu. Skoro jest okazja... A, cóż to - kelner to nie człowiek? Nie wypada? Ostatecznie - tylko przygoda... chwila zapomnienia. Ostatecznie - tylko chwila".

Gołmont zjechał na pobocze i zatrzymał się. Sięgnął

po papierosa. W uszach dzwoniła cisza. Otworzył drzwiczki. Potem wysiadł. Wieczór był czarny pod gęstymi kłębamii chmur. Nie dochodziło żadne światło. Płaszczyzna pól tonęła w miękkim mroku. Było tak cicho, że świat zdawał się odpływać gdzieś w górę, w nieznane i dalekie przestrzenie, w nicość. Nie czekały nawet psy. Widocznie w pobliżu nie było żadnej wsi, żadnego osiedla.

Nagle z przeciwka, z głębin nocy wyblysnęły dwa reflektory. Zbliżał się samochód. Ktoś zauważył stojącą samotną postać i zmniejszył szybkość, a następnie zahamował i stanął opodal Talbota.

- Co się stało? - zapytał mężczyzna, opuściwszy szybę ale nie wyłączając silnika.

- Nic - odparł Gołmont.

- Nie potrzebuje pan pomocy?

- Dziękuję. To tylko krótki odpoczynek.

- No, to powodzenia!

Samochód odjechał.

Gołmont uśmiechnął się blado... „Czy nie potrzebuje pomocy” myślał. „Pomocy... Ależ tak - potrzebuję. Oto stoję na drodze bezdomny, opuszczony, samotny i nie wiem co ze mną będzie, co mam począć. Tak... potrzebuję pomocy, ale kto mi jej udzieli? Kto? Ta, która by mogła... Od niej właśnie nie mogę przyjąć. Nie chcę. A jeżeli nawet chcę, to - nie mogę. Bo tak zarządził los. Głupi, parszywy los. Jedna umarła i druga umarła, chociaż jest żywa. Los. Ty cholerny losie, ty bezduszna siło. Co ci

zrobiłem? Co masz przeciwko mnie? Dlaczego ze mnie zakpiłeś? A ten mi życzy powodzenia. Właśnie mam powodzenie... «Powodzenia». Trafiłeś bracie, nie ma co mówić... Hm... «Powodzenia». Już ja wiem jakie mnie spotka powodzenie".

Gołmont skurczył się, usiadł na stopniu samochodu i ukrył twarz w dłoniach. Jego potężnym torsem wstrząsnęło łkanie. Jechał przecież po nią, ale nie jechał do niej. Tak bardzo pragnął tego, tak bardzo chciałby wziąć ją w ramiona, objąć tę jedną jedyną kobietę, dla której oddałby nawet życie. Tak bardzo pragnął, i nie mógł. Im bardziej ją kochał, tym namiętniej nienawidził.

Złamany żalem, nie mając przed sobą nic, wtulony w ciemną noc, siedział oddychając ciężko, z oczami utkwionymi w otchłań nieba. Nie było tam nic. Tylko bezmierna pustka i straszliwe milczenie nieskończoności. Niezmienne, już takie - na zawsze. Patrzył w nicość i wiedział, że tam nie ma żadnego losu, żadnego przeznaczenia, żadnego rozkazu. I tylko gdzieś nieskończenie daleko, zimne bryły martwego istnienia i gorące masywy gazów: wszechświat obcy, nie różniący się niczym od niebytu.

Nagle Gołmont, samotny człowiek powalony nieszczęściem zaczął mówić, jakby nie wiedząc o tym, jakby wbrew sobie. Cicho, rozpaczą swego ludzkiego serca:

- A przecież Ty jesteś... Jesteś. Na pewno jesteś, bo moja świadomość jest odbiciem Ciebie. Jesteś. Nie wiem

gdzie, nie wiem jaki, ale jesteś. Patrzysz na mnie, znasz mnie, chociaż jestem taki maleńki przy Tobie. Znasz każdą myśl moją, każde moje uczucie i smutek mojej duszy. Dlaczego mi to zrobiłeś? Dlaczego? Przecież to tak niewiele - dwoje ludzi... ja i ona. Czyż tak wiele chciałem? Za co mnie ukarałeś? Powiedz mi. Ja nie wiem. Ale Ty mi i tego nie powiesz. Nie chcesz. Tylko patrzysz. W milczeniu. I słyszysz mnie. I tak już zostanie... Może jestem marny... Wiem, daleki jestem od doskonałości; nie śpiewam na Twoją cześć w kościołach, nie wymawiam, słów głoszących Twoją wielkość, ale nie wystąpiłem nigdy przeciwko Tobie. A może... wystąpiłem? Pewnie-tak... Strzelałem do ludzi... Tak, strzelałem, ale oni strzelali do mnie... Bronilem się. Bronilem życia, które mi dałeś. Przecież to tak, jak na wojnie, a Twój służy to błogosławia. Więc - za to? Za to mi ją odebrałeś? Czego chcesz jeszcze? Już bardziej mnie nie możesz ukarać. - Gołmont umilkł na chwilę. - Możesz. Tak, wiem, że możesz. Jeżeli się zastrzelę potępisz mnie raz na zawsze. Tak mówią... No, to co, że nie będę istnieć? Teraz też jestem martwy. Już mnie zabiłeś... Dobry Boże. Boże będący miłością. Nieskończoną. Wybaczeniem. Łaską. Zabiłeś mnie. I choćbym Cię teraz prosił-już tego cofnąć nie można. Choćbym Cię prosił - nie cofniesz tego. W milczeniu będziesz na mnie patrzeć i nie zrobisz nic, by mnie ożywić. Mógłbyś, ale nie chcesz. Ty mógłbyś, gdybyś chciał. Ale postanowiłeś mnie zabić. Nie | mam już nic, prócz jednego: mogę odejść w. nicość, i mogę

zapomnieć. Nie będę wtedy ani z Tobą, ani - ani bez niej. W ogóle nie będę. Może tak ma być...

Gołmont nie tyle się uspokoił, co raczej zapadł w siebie. I umilkł. Był teraz cichy i jakiś inny, jakby nieobecny, jakby nie należał już do tego świata. Po tej rozmowie, która była tylko monologiem, cierpiał mniej; obraz Zyty Nieborowskiej nie zniknął, ale już tak nie bolał. Jej kochana twarz przybliżyła się jeszcze, ale nie rozpaliała w nim już nienawiści. Pozostał tylko żal. Niezgłębiony, wielki żal. „Pójdziemy różnymi drogami” myślał. „Moja - będzie ostatnią i najdalszą, a twoja poprowadzi cię ku nowemu życiu, bo jest w tobie samo życie - zmienne, mocne... jak wiatr. Wszystko przeminie, dni popłyną, przyniosą ci nowe radości. Będziesz szła w słońcu, szybko, bo tak chce twoja młodość. I niech tak będzie. Ja tego nie zobaczę... Nie mogę. Ale to nie ma znaczenia. Za rok, za dwa będę dla ciebie tylko na moment pojawiającym się cieniem. Cóż to jednak znaczy wobec świata nowych dni, lat, które są przed tobą? Nie byliśmy dla siebie. Chyba nie. Dlaczego? Dlaczego? Może ty też chciałaś? Może zdawało ci się, że chcesz?... Oboje wiemy, że nie można się zmienić... Nie można. Zawsze pozostaje się sobą. Dlatego ja muszę odejść, a ty musisz pozostać, bo ten świat jest dla ciebie. Korzystaj. Kap się w życiu. Tego już drugi raz nie będzie. Masz prawo, skoro on dał ci taką naturę. Wybaczy ci wszystko. Tobie - tak. Tylko mnie nie wybaczy. On chciał chyba ode mnie czegoś więcej... Nie wiem czego. Ale chciał. Nie

umiałem być lepszym. Zapragnąłem największego szczęścia tu, na tej ziemi, teraz. A tylko ty mogłaś być moim szczęściem. Ty — inna. Myślałem, że będziesz inna, że jesteś inna. Zdawało mi się, że zatrzymam wiatr. Nie można. Nie można. Nie można mieć wiatru dla siebie".

Wstał. Popatrzył na pola, na drzewa rosnące wzdłuż szosy. Wszystko było ciszą i pustką. Wstrząsnął się. Odetchnął głęboko i wszedł do wozu.

Talbot zawarczał jak obudzone zwierzę. Ale był posłuszny. Rzucił się do przodu, oświetlając drogę i niósł swego pana, gotów na wszystko, tak jak on.

* * *

Na drodze do Lublina ruch niemal zamarł, jednakże tu i ówdzie błyskały reflektory. Za Lublinem, Gołmont nie spotkał już żywego ducha. Był skupiony. Przez las jechał trochę wolniej; kilka razy pojawiały się na drodze zwierzęta, których nie chciał złapać w swoje światła, bo wtedy musiałyby zginąć. Mimo to wskazówka szybkościomierza nie schodziła poniżej siedemdziesięciu kilometrów.

Luboml zostawił za sobą na dwie godziny przed północą.

Jakiś lekko zawiany człowiek, wracający zapewne do domu, wskazał drogę do pałacu hrabiego. Najpierw były pola, a później - znów lasy.

W niewielkiej wsi, Gołmont zatrzymał wóz. Obudził wieśniaków i opłaciwszy suto, jednego z nich wysłał do Wołkowian. Konny posłaniec zabrał list o następującej treści: „Szanowny panie; w drodze do państwa, zepsuło mi się auto. Proszę przysłać tu jakiś wehikuł, który mógłby mnie doholować. Jestem służbowo a interesuje mnie nadal śmierć Pańskiego ojca, zdaniem moim nie do końca wyjaśniona. Żałując, że defekty mego samochodu, nie pozwalają na wcześniejszą wizytę, kreślę się z poważaniem, Ryszard Potkański - nadinspektor P.P. w Warszawie. P.S. Posłaniec wskaże, gdzie mnie szukać”.

Stary gospodarz zaprosił Gołmonta do chałupy. Wszyscy już spali, więc powstał wielki rwetes, bo domownicy pragnęli się jak najszybciej ubrać i przyjąć pana komisarza z należnym szacunkiem. Bieganina i nawoływania skończyły się wreszcie i Gołmont usiadł w towarzystwie, przejętego wydarzeniem chłopca.

Na stole gospodyni postawiła faskę masła, ser i na talerzu - okrągły pachnący razowiec.

- Pan komisarz nie pogardzi... - rzekł gospodarz, kiedy już zostali sami.

- Dziękuję wam - powiedział Gołmont, ukroiwszy pajdę chleba. Jadł z przyjemnością, bo ser także był wyśmienity. Już nie mógł sobie przypomnieć, czy kiedyś w życiu spożył taką kolację.

- U nas jadło zwyczajne, to i może smakować nie będzie...

Gołmont spojrzał w oczy chłopca i powiedział cicho:

- Smakuje. Nawet nie wiecie jak bardzo.

- Ano, na wiosce to i wszystko je zwyczajne. Co Bóg da, to jest, a cegój nie da, to i nie ma.

- Zwyczajne, mówicie gospodarzu... Tak, tu jest wszystko zwyczajne. A wiecie, są tacy ludzie, którzy mają - co tylko zechcą; brakuje im jedynie tego, co zwyczajne. Tak... Dużo macie ziemi?

- Dziękować Bogu - siedem mórg.

- Dzieci...

- Aby jeden syn. Owdowiały.

- A wnuki?

- Trzy wnuki.

- To syn pojechał z listem?

- Ano.

- Zna drogę do pałacu, to chyba szybko zajedzie?

- Drogę zna... - Gospodarz opuścił głowę.

- Był już tam kiedyś?

- Imię Ojca i Syna! A, po co? Oj, nie, nie...

- Pałac niedobry?

Chłop pokręcił głową.

- Zawdy lepiej omijać...

- Wiem, że dziedzic, to zły człowiek.

- Oj, zły... To nie człowiek... Imię Ojca i Syna.

Gołmont wstał.

- Dziękuję - powiedział.

- Niech będzie na zdrowie.

- Idźcie spać. Ja poczekam w samochodzie. - Wyjął pieniądze i siłą wcisnął je chłopu do garści.

- Dyć to poczęstunek.
- A moja wdzięczność. Kupcie za nią buty wnukom.
- Bóg zapłać...

Gołmont wyszedł na dwór. Zapalił papierosa.

Czekał niezbyt długo. Od strony pól nadleciał warkot samochodu. Wkrótce zabłyśły światła.

Szofer Nieborowskiego wysiadł z ciężkiego wozu i podszedł blisko.

- Pan hrabia czeka. Co się stało?

- Nie wiem - odrzekł Gołmont. - Utracił moc, a teraz w ogóle stanął.

- Może ja spróbuję.

- Nie. Bierz na hol.

Szofer wzruszył ramionami i skrzywił się.

- Jak pan sobie życzy.

- Nie trać czasu.

Po paru minutach ruszyli. Droga prowadziła w las. Jechali wolno. Wieś znikła w ciemnościach. Kiedy znaleźli się w tunelu sosnowego zagajnika, Gołmont wdusił do oporu hamulec nożny. Koła Talbota zaryły się w piasku i holujący wóz stanął.

- Co tam znowu?! - zawołał szofer, otworzywszy drzwiczki.

- Nowy kłopot! - odkrzyknął Gołmont, wysiadając.

- Ki diabeł! - Tęga postać zbliżyła się niechętnie. - To hamulec. Dobrze, że linka nie pękła. Co pan zrobił?

- Nacisnąłem pedał.

- Po co?

- Żebyś wysiadł.

- Żarty, czy co? Panie! - szofer spojrział bystro na gościa z Warszawy. - Pan nie jest żadnym nadinspektorem.

- Kładź się na ziemi! - rozkazał Gołmont ostrym głosem.

- Uważaj pan!

- Kładź się, albo ja cię położę!

- Pan mnie? Ejże!! Kto kogo?!

Skoczyli ku sobie jednocześnie tak, że musieli chwycić się w pól, bo na nic innego nie było czasu. Sługa Nieborowskiego był bardzo sprawnym i silnym dwudziestopięciolatkiem. Chwył jego ramion zwykle rozstrzygał losy walki momentalnie. Ale nie tym razem. Gołmont złapał go bez zastanowienia, bez zastosowania taktyki, ot po prostu, jak coś, co stało na drodze i stawia opór. Jego żelazne ręce pozbawiły przeciwnika tchu, podniosły go w górę i rzuciły na ziemię z tak wielką siłą, że szofer jęknął głucho. Przygotowany zawczasu, mocny sznur konopny skrępował ręce i nogi pokonanego w taki sposób, by nie mógł się w żadnym razie oswobodzić. Wszystko to razem trwało niecałe dwie minuty i Gołmont usiadł spokojnie obok, jakby nigdy nic. Wokół panowała absolutna cisza.

- Jak się nazywasz? - zapytał.

Szofer dochodził zwolna do siebie, oszołomienie mijało.

- Adam Płocki. Czego pan chce?

- Odpowiadaj tylko na pytania. Gdzie jest pani Zyta Nieborowska?

Szofer zaczął stękać.

- Niech mnie pan rozwiąże, to powiem.

Gołmont rozejrzał się, potem zapalił papierosa. Był skupiony i nie zdradzał najmniejszego niepokoju.

- Powiesz, powiesz.

- Nie.

- Jak chcesz. Wypalę papierosa i pojedę, a ty odpoczniesz na piasku.

- Nie może mnie pan tu zostawić...

- Dlaczego?

- Panie, o co tu chodzi? Czego pan chce?

Gołmont palił spokojnie.

- Odpowiedzi na kilka pytań.

Szofera ogarnął lęk. Zrozumiał, że ma do czynienia z człowiekiem, dla którego on - sługa Nieborowskiego - jest niczym, nawet nie kimś.

- Co pan chce wiedzieć?

- Zadałem ci pytanie?

- Pani hrabina jest w pałacu.

Gołmont nie drgnął nawet.

- Porusza się swobodnie?

- Pan hrabia trzyma ją w jednym pokoju... Swobody nie ma, bo by uciekła.

- Jak wejść od frontu, to gdzie mam szukać tego pokoju?

- Nie wolno mi mówić. Pan hrabia zakazał.

- Nie wydam cię.

- Słowo?

- Wiesz z kim rozmawiasz?

- Z przeproszeniem - nie wiem.

- Nazywam się Gołmont.

Szofer syknął jakby go coś ukłuło.

- Pan hrabia Gołmont... No, tak...

- Więc, gdzie jest ten pokój?

- Na piętrze, w lewym skrzydle. Drugie drzwi po lewej stronie korytarza.

- Ilu mężczyzn znajduje się w pałacu?

- Lokaj, ogrodnik, co jest i stangretem, i Jasiek, taki - jeszcze chłopak. A w parku - jeszcze stróż.

- Jakie psy?

- Brytany. Ale pan hrabia kazał je zamknąć.

Gołmont rozdeptał dokładnie niedopałek. Opuścił na chwilę głowę i cicho westchnął.

- Pani hrabina zdrowa?

- Zdrowa. Pokój zamknięty jest na klucz. Ma go pan hrabia. Jak pani czegoś potrzebuje, to dzwoni.

- Gdzie on na mnie czeka?

- Na dole.

- Oczywiście, broń ma?

- Zawsze.

- A ty?

- W samochodzie.

Gołmont znalazł pistolet w wozie Nieborowskiego. Schował go do kieszeni. Następnie otworzył maskę,

chwycił przewody do świec, szarpnął i cisnął je daleko w krzaki. Dla pewności nożem przebił jeszcze dwie opony. Umieścił, w kabinie uszkodzonego samochodu, związanego szofera, zatrzasnął drzwiczki i rzuciwszy za siebie:

- Wracając, uwolnię cię - odjechał swoim Talbotem.

* * *

Złoty Schaffhausen na przegubie ręki Gołmonta wskazywał północ.

Nagie, czarne drzewa w wołkowieńskim parku robiły wrażenie umarłych; stały nieruchome, zimne, złowieszcze. Wśród nich, jak wielki grobowiec, sterczał pałac - siedziba upiorów, a w jego wnętrzu spała zapewne o tej porze kobieta, która tak fatalnie wpłynęła na życie wielu mężczyzn. Teraz miało nastąpić coś, co wisiało w powietrzu już od dawna, co jednak dla Gołmonta było nawet w tej chwili tajemnicą. Ponure miejsce i głucha noc jesienna nie zapowiadały niczego dobrego. Ale to, co miało się stać, zbliżało się nieuchronnie.

Gołmont nie czuł strachu, był jednak pewny, że wjechał do krainy zła, wyciągającego ku niemu swoje szpony. Czuł się tu jak na cmentarzu. Ufał już tylko walce, której chciał.

Psy zaczęły ujadać, ale szofer mówił chyba prawdę, bo nigdzie nie można ich było dostrzec. Musiały być zamknięte, by nie straszyć niepotrzebnie, wysokiej rangi,

funkcjonariusza policji. Nie pojawił się też stróż. Przed kolumnadą frontu stał Nieborowski, a obok - lokaj z latarnią w ręku. Ci dwaj ludzie wyglądali tak jakby mieli zamiar iść na pogrzeb.

Talbot rozdarł ciemności przed pałacem, uderzył światłem stojących i znieruchomiał. W tej samej chwili zgasły reflektory.

Z wozu nikt nie wysiadał, więc Nieborowski podszedł bliżej, zaglądając do kabiny, ale w jej wnętrzu było czarno, co uniemożliwiło rozpoznanie przybysza.

- A co to takiego? - zapytał. - Adam, gdzie mój samochód?

- Jaki samochód - odpowiedział pytaniem Gołmont, wciąż jeszcze pozostając w kabinie.

- To pan, panie nadinspektorze?

- Nie.

- A... Zaraz... Kim pan jest?

W tym momencie Gołmont otworzył drzwiczki i wysiadł, ukrywając twarz. Kiedy odwrócił się nagle, pozwalając się rozpoznać, gospodarz zaklął i próbował odejść, ale nie zdążył. Jego ramię chwyciły straszliwe kleszcze i pociągnęły na schodki, a potem dalej. Lokaj rzucił się na napastnika, ale otrzymał nagle szybkie uderzenie, po którym runął bez zmysłów. Wszystko to trwało zaledwie kilka sekund. W hallu Gołmont puścił Nieborowskiego i bez słowa, błyskawicznie obszukał, znajdując przy nim broń. Zabrał mu ją, a następnie wymierzył cios w podbrzusze, ze straszliwym skutkiem;

Nieborowski zawył dziko i padł w konwulsjach, zwinąwszy się w kłębek.

Gołmont pobiegł na górę, skręcił w lewo i ramieniem wywalił drzwi. Z rozsypanymi włosami, ale już ubrana - widocznie z przestachu - Zyta siedziała na łóżku, patrząc na to, co się dzieje, rozwartymi szeroko oczami. Widząc ukochanego, krzyknęła: Monti!! - i rzuciła się ku niemu.

Stał i pozwolił się objąć. Jej ramiona zagarnęły go w wybuchu radości. Tuliła się do niego nieprzytomnie, a on stał jak martwy.

Wreszcie odsunął ją delikatnie, rozluźniwszy jej uścisk.

- Pakuj się szybko - powiedział. - Za chwilę odjeżdżamy.

- Tak, tak, tak! - Obrzuciła pokój gorączkowym spojrzeniem, chwyciła jakieś drobiazgi ze stolika i odwróciła się.

Nagle krzyknęła przerażona:

- Monti!!!

Gołmont stał wpatrzony w nią, tyłem do otworu po drzwiach, więc nie wiedział co się z tyłu dzieje. A właśnie, korytarzem nadbiegł ogrodnik z dubeltówką. Gołmont zrozumiał momentalnie, że nie ma ani sekundy. Bez wahania padł na podłogę już z ręką pod pachą i już leżąc, wystrzelił z rewolweru.

Ogrodnik wypuścił strzelbę i opadł miękko na posadzkę w korytarzu. Potem wyprężył się i kopnął nogami kilka razy, a następnie znieruchomiał.

- Idziemy - powiedział Gołmont powstawszy.

- Tak! - Zyta chwyciła torebkę i już była przy nim. -
Biegnijmy!

Kiedy znaleźli się na schodach, spostrzegli stróża wręczającego swemu panu wielki bębnekowiec. Był to Nagant z długą lufą. Nieborowski klęczał przygięty bólem, ale uchwycił potężną broń i zaczął strzelać.

Gołmont przygniótł do schodów Zytę, zasłaniając ją sobą. Kule gwizdały blisko, szarpiąc boazerię. Jednak nie były celne. Rewolwer Gołmonta trysnął ogniem i Nieborowski upadł martwy. Na twarz. Pocisk trafił go w czoło, a wyszedł w dolnej części potylicy, wyrywając trochę mózgu.

Jeszcze echo wystrzałów tłukło się wśród wysokich ścian, jeszcze unosił się zapach dymu, ale już było po wszystkim.

Gołmont schował broń i podniósł Zytę; przywarła bez słowa do jego piersi, drżąc lekko. A on, także w milczeniu, objął ją ramieniem, jakby chciał powiedzieć: już jesteś wolna.

XXIV

Wezwanemu natychmiast rządcy, Nieborowska oświadczyła, że czyni go odpowiedzialnym za całość majątku razem z pałacem, po czym udała się na lubomlski posterunek policji, gdzie złożyła zeznania. To samo uczynił Gołmont i szofer, który oświadczył, że jego pan

własnoręcznie zastrzelił wynajętego rzezimieszka przywiezionego z Warszawy po zamordowaniu Kropiwnickiego. Szofer złożył też dodatkowe zeznanie w sprawie zniknięcia brata dziedzica - Stefana. Osobiście zakopał go po wyciągnięciu z rzeki. Pan hrabia nie miał przed nim tajemnic i wskazując miejsce w rzece, nie ukrywał, że zabił brata własnymi rękami. Policja aresztowała szofera za ukrywanie zbrodni, a Gołmonta poproszono jedynie, by nie opuszczał kraju aż do odwołania, ponieważ może być jeszcze wezwany do złożenia dodatkowych zeznań, jeżeli władze śledcze uznają, że jest to konieczne.

Gołmont złożył swój podpis i wyszedł. Na jego twarzy malował się kamienny spokój, a raczej smutek. Otworzył drzwiczki samochodu i usiadł za kierownicą. Nim zdążył uruchomić silnik, wybiegła Nieborowska.

- Chcesz mnie tu zostawić? - Stała obok wozu, ale nawet go nie dotknęła. - Nie zawiesz mnie do Warszawy? - W jej głosie była cicha, pokorna prośba; zorientowała się już, że Gołmont przyjechał nie do niej, tylko po to, by ją oswobodzić.

- Jesteś teraz właścicielką majątku Wołkowiany, w których nic się nie może zdarzyć bez twojej woli. Tu jest teraz twój dom. Skąd mogłem wiedzieć, że masz zamiar jechać do Warszawy? Sytuacja była inna, kiedy żył twój mąż.

Nieborowska popatrzyła mu w oczy.

- Proszę cię, zawieź mnie - powiedziała cicho.

Gołmont wysiadł i otworzył prawe drzwiczki.

- Bardzo chętnie - rzekł obcym głosem.

Pozostawili za sobą Luboml i ruszyli w kierunku Chełma.

Była godzina dziewiąta rano. Zaczął padać śnieg. Gołmont włączył ogrzewanie. Po paru kilometrach w wozie zrobiło się ciepło.

Milczeli oboje. I oboje wiedzieli, że to milczenie zaprowadzi ich na krawędź przepaści. On myślał tylko o tym, że spadnie na jej dno, ona - o tym, że albo spadnie razem z nim, albo zdarzy się cud. Ale - wiedziała - cud był mało prawdopodobny. Było im źle, ciężko a jednak milczeli uparcie z bolesną świadomością, że dzieje się coś strasznego, coś co jest przeciwko naturze, przeciwko ich pragnieniom, co godzi w ich życie. Milczenie olbrzymiało i zaczęło szarpać nerwy. Nie można było tego znieść.

W oczach Nieborowskiej błysnęły łzy, Gołmont pobladał jakby miał zemdleć.

Wreszcie ona chwyciła leżące pudełko papierosów.

- Pozwolisz, że zapalę?

- Tak - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Daj i mnie.

Zaciągnęli się dymem, szukając w tym ulgi. Daremnie. Ulga nie mogła nadejść, ponieważ siedzieli blisko siebie, ponieważ ta właśnie bliskość zwielokrotniała mękę rozstania.

- Kto ci powiedział, że... tu jestem?

- Nieważne - mruknął, mimo że chciał jej opowiedzieć wszystko. Dokładnie.

Znów zapadło milczenie i znów przerwała je Nieborowska:

- Co jest dla ciebie teraz ważne?

- Nic?

- To dlaczego ryzykowałeś życie? - zapytała ledwie słyszalnym szeptem.

Gołmont westchnął szukając słów najbardziej fałszywych, jakie można było znaleźć.

- Bo mi na niczym nie zależy. Bo niczego już nie chcę.

- Niczego?

- Niczego.

Po dłuższej chwili powiedziała:

- Ja też już nie chciałam niczego...

- Czemu to zrobiłaś?

- Co?

- Wiesz - co.

- Nie wiem, co masz na myśli...

- Samobójstwo.

- Kto ci powiedział?

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Dobrze wiesz.

- Nie wiem.

- Wiesz. Wiesz, Monti. Wszystko wiesz.

- Przecież mogłaś się utopić.

- A, po co mam żyć? Po co??

Gołmont zacisnął zęby, żeby nie krzyknąć. Oddychając ciężko, powiedział w oczekiwaniu na protest:

- Życie jest przed tobą w całej swojej urodzie. Robiłaś,

robisz i będziesz robić co chcesz, a zrobić możesz wszystko, bo cały męski świat czołga się u twoich stóp. Wykorzystywałeś to zawsze i będziesz wykorzystywać, bo Gołmont jest tylko krótkim epizodem na drodze twoich zwycięstw. Niczym więcej...

- Skończyłeś?

- Tak.

- Monti, co chcesz osiągnąć, mówiąc takie bzdury?

- To prawda. Za miesiąc, za dwa będziesz się głośno śmiać, bo twoja natura zwycięży.

- Ty niczego nie rozumiałeś. Albo udajesz. Ale to byłby sadyzm.

Minęli Chełm i jechali w kierunku Lublina. Śnieg przestał padać. Niebo rozjaśniło się nieco.

- Jesteś głodna?

- Nie.

- W Lublinie coś zjemy. Z tyłu mam termos z wczorajszą kawą hotelową.

- Nie chcę.

- Daj mnie.

Uklękała na siedzeniu i dosięgnęła naczynia ręką. Wróciwszy do poprzedniej pozycji, nalała kawy do nakrętki. W tym, co robiła, było coś niezwykle miłego, bo robiła to dla nich dwojga, w małym wnętrzu, w którym siedzieli sami, w intymnym tete a tete. Ona z nim, i on z nią. Podając mu kawę, powiedziała:

- Ostrożnie, nie oblej się.

Zjechał na pobocze i zatrzymał wóz. Wypił i oddał jej

opróżnioną nakrętkę. Spojrzał na Zytę po raz pierwszy.

- Daj jeszcze trochę.

Naląła pełno i podała ostrożnie. Zajrzała mu w oczy.
Była smutna i piękna.

- Proszę.

Wypił połowę.

- Za dużo. Wylej przez okno.

Wyjęła mu z ręki naczynie, a potem podniosła do ust i
wypiła wszystko.

- Nigdy nie piłam tak dobrej kawy. I nigdy nie będę
piła.

Zapalił papierosa.

- Będiesz, będziesz.

- Za dużo palisz.

Uśmiechnął się gorzko.

- Chyba nie troszczysz się o mnie?

- Monti, czy możemy poważnie porozmawiać?

- My?

- Tak - my. Zanim zrobię drugi raz to, co mi się nie
udało, chcę... proszę cię o rozmowę... Błagam cię...

- To ty jesteś sadystką - powiedział nie spuszczać z
niej wzroku.

- Monti, krzycz, bij mnie, ale wysłuchaj...

- Nie mogę cię bić, bo tego nie umiem, i... już nie żyję.

Jestem martwy.

- Co ty wyprawiasz? Co ty mówisz? Monti...

- To, prawda...

- To, kłamstwo! Musisz zrozumieć, albo zginiemy

oboje... Musisz... musisz...

- Zyto... Wszystko już zrozumiałem.

- Nie. Nie rozumiesz tego, że od chwili, kiedy cię poznałam - jestem inna niż byłam. Inna!

- Zawsze się tak mówi. I nigdy tak nie jest.

- Przecież ty też już jesteś inny.

- Jestem taki sam. Tylko... zabiła mnie miłość.

- Miłość nigdy nie zabija.

- Wiesz co mnie zabiło.

Nieborowska położyła rękę na jego ramieniu. Przeszył go dreszcz. Znow była blisko. Tak blisko, a tak daleko. Jej ręka przynosiła życie, ale wzmogła ból. A jednak za nic, za nic na świecie nie oddałby tego dotknięcia.

- Ty żyjesz, Monti. - Patrzyła mu w oczy z tak wielką prośbą, z tak wielką nadzieją i z takim oddaniem, że nie opuścił wzroku i przyjął jej oczy. - To nieprawda, że ukryłam przed tobą włoskiego śpiewaka. Nie byłam u niego. Ani razu. Nie znam go. To był ktoś do mnie podobny.

- Nie wierzę ci.

- Jeżeli kłamię - krzyknęła z rozpaczą - to niech nas śmierć spotka w tej podróży!

Dopiero teraz zamknął oczy. Zacisnął zęby i oddychał z trudem, drżąc, bo jakaś nieznana, nieziemska moc ogrzała mu serce nagłym tchnieniem.

- Jeżeli kłamiesz... - wyszeptał i odchylił głowę do tyłu. - Jeżeli kłamiesz...

Zacisnęła palce na jego ramieniu.

- Jeżeli kłamię, to niech umrze twoja i moja miłość.

Z odchyloną głową, z zamkniętymi oczami trwał nieporuszony w dziwnym czasie powrotu, jeszcze cierpiąc, ale już czując odpływ nieszczęścia.

- A... tamto... To, co powiedział...

- Piłam z rozpaczy, szalałam, bo nie mogłam z nim żyć, a on mnie zmuszał! Rozumiesz to? Zmuszał mnie! Więc piłam, często... zdradzałam go... Tak, zdradzałam go! Jego, jego zdradzałam! Chciałam go zdradzać, żeby odejść chociaż na chwilę, żeby się uwolnić, zapomnieć, żeby się zatracić! Jego zdradzałam! To było dawno, o tobie nawet nie marzyłam... To było dawno... Byłam pijana... Tak, zdradzałam go z nienawiści. Był moim mężem. Wiedziałam, że nigdy go nie pokocham, a nienawiść rosła... Monti, to było, minęło, jak koszmarny sen... Ciebie nie zdradziłam nigdy. Ciebie nigdy nie zdradzę, bo... bo siebie nie można zdradzić, a ja... a moje życie, to ty... Już na zawsze - ty... Wiem o tym teraz, kiedy ciebie nie było przy mnie... Nie chciałam bez ciebie żyć. Nie będę żyć bez ciebie.

Gołmont objął kierownicę rękami i oparł głowę, kryjąc twarz. Uspokoił się i jeszcze chciał słów. Takich jak te, które wymówiła. Czekał, ale ona umilkła.

- Mów - poprosił.

Nieborowska oparła się o niego i trzymała głowę na jego barku.

- Co ci mam powiedzieć? Co jeszcze? Czy to, że moje i twoje życie, to jedno? Co ci mam powiedzieć, Monti?

Wszystko wiesz i ja wszystko wiem. Nie mamy nic, prócz siebie, ale tylko to można mieć, i tylko to jest ważne. Reszta jest niczym. Ty i ja możemy istnieć tylko wtedy, kiedy będziemy ze sobą. Wiemy o tym oboje. Nasza miłość to my, bez niej nie możemy oddychać. Wyznałam ci już moją miłość i wyznaję ci jeszcze raz, i będę to robić każdego dnia, każdej nocy. Nie odejdę od ciebie już na krok, będę z tobą zawsze, przy tobie, w tobie, tak jak ty jesteś we mnie. I nic nas nie obchodzi cały świat, nic nas nie obchodzą ludzie. Nic. Nasza sypialnia będzie naszym niebem, naszym szczęściem, naszym pancerzem, który nas osłoni i obroni, i oddzieli od świata. To będzie sanktuarium. Nasze.

- A ludzie?

- Ludzie będą tylko obok nas. To istoty, które są poza nami.

- A twoja muzyka? A Filharmonia?

Nieborowska westchnęła, ale było to gorące westchnienie.

- Ach, Monti. O czym ty mówisz? Nie ma już Filharmonii. I nie będzie. Grać będę tylko w twoim domu i tylko dla ciebie.

- W moim domu? W moim?

- W naszym... Monti... - Zanurzyła palce w jego włosach. - Monti...

Podniósł głowę i spojrzał na nią. I odwrócił się w jej stronę. Patrzyli sobie w oczy. Z jej oczu płynęły łzy, a usta chwyciły powietrze. „O wielki Boże” pomyślał „jak

bardzo Cię nie znałem".

- Zyto... - wyszeptał - życie moje.

Pochyliła się jeszcze bardziej i szła ku niemu całą sobą, z oddali, z czarnej nocy nieistnienia. Jej ramiona obejmowały go wolno, niosąc ukojenie, przynosząc ciepło życia.

Objął ją i drżeli oboje, oddając się sobie. Znów mieli siebie, znów tonęli w miłości. Ich usta złączyły się gwałtownie, dziko, już bez słów. Nie były to usta jakiejś tam kobiety, gdzieś w hotelu, gdzieś w Tunisie. To były Jej usta, to była Jej miłość. Ogarnęło go jakby omdlenie, poczuł się jej własnością, oddawał się jej i pragnął namiętności. Potem uczuł smak krwi. Nie wiedział czyjej. Wiedział tylko, że jest jej własnością, że jest nieprzytomnie szczęśliwy, a ona szalała, gryzła go, ścisnęła, jakby pragnęła go wchłonąć. Poddał się jej i zapadał w jej żar coraz bardziej. I chciał jej. Czuł, że nie może czekać, że musi teraz powrócić wszystko - wszystko, co było - albo pozostanie między nimi cień rozstania na długo, może na bardzo długo. A tego się bał, bo cień kiedy pozostaje, dzieli bardziej niż rozłąka. Więc przycisnął ją do siebie i zsunął lewą rękę wzdłuż jej ciała, żeby wtargnąć po udzie pod sukienkę. Poczowała to i przestała go całować, uwalniając ręce, a następnie zaczęła ściągać sukienkę, aż na biodra. Robiła to dokładnie, bez pośpiechu, jak wtedy, kiedy się zdąża do najważniejszego celu. Czując, że on chce usiąść bardziej pośrodku, częściowo po jej stronie, uniosła się jednocześnie.

Milczeli teraz oboje. Ona obciągała w dół majtki, chociaż trochę, żeby nie opinały warg, a on oswobodził członka i szybko otoczył go przy spodniach chusteczką do nosa. Ledwo zdążył, bo już wspięła się i wchodziła na niego szeroko rozwartymi udami, pochylona pod sklepieniem wozu. Oddychali głośno, ale milczeli. Nasadzała się ostrożnie na nagą żołądź pomagając sobie ręką, a potem nadziała się gwałtownie siadając, z westchnieniem spełnienia. Teraz trzymali się oboje zaciśniętymi ramionami, a ona zaczęła się rytmicznie wznosić i siadać, wbijając członka w pochwę coraz mocniej, coraz głębiej, coraz szybciej. Uniosła ich niepojęta radość życia. To namiętne zespolenie, którego nikt jeszcze nigdy nie zrozumiał, przeniknęło ich ogniem miłości ciała, i jak kiedyś przestali myśleć, mając siebie. I znów stał się cud: gwałtowną, fizyczną siłą spółkowania, jęcząc z rozplamieniąjącą ciało rozkoszy, weszli w tajemnicę życia, jaką jest zjednoczenie mężczyzny i kobiety, w tajemnicę wznoszącą się ponad wszystko, co w ogóle jest. Robili to nieprzytomnie, oddani tej najgłębszej treści ludzkiego - ja jestem. Im bardziej członek orał jej pochwę, im bardziej cieleśnie szalała ta miłość, tym bardziej przybliżał się szczyt bycia sobą. A potem nastął szczyt - orgazm przekraczający już nawet bycie sobą. Ona krzyczała pokonana spazmem szczęścia, a on ścisnął ją bez świadomości, tak samo pokonany, tym samym co ona. I opadali wolno w siebie, w niewysłowioną szczęśliwość. A potem zaczęła wracać przytomność, by mogły nastać

chwile tkliwości. Wtedy ciepłem swego ciała, uściskiem i pocałunkami dziękowali swojej miłości za to, co im dała. I tulili się do siebie - dwie istoty ludzkie, które odnalazły się w istnieniu nieskończonego świata.

* * *

Zmęczeni siedzieli już w swych fotelach, wracając do rzeczywistości otoczenia. Długo jeszcze nie było miejsca na słowa. Czując, że odzyskali to, co było już niemal stracone, pozwolili na przyływ myśli; a to już był czas słów.

- Bałaś się że nasza miłość nie wróci? - zapytał cicho.

- Tak - wyszeptała.

- Wróciła dzięki tobie.

- Wróciła dzięki temu, że oboje bardzo pragnęliśmy jej.

Gołmont odchylił głowę do tyłu i przykrył rękę ukochanej swoją dłonią.

- Będziemy jej strzec, prawda?

Nieborowska uśmiechnęła się.

- Przysięgam ci, Monti: będę jej strzec moimi myślami i moim postępowaniem. A, ty?

- Wiesz dobrze. Kiedy weźmiemy ślub?

- Najszybciej, jak tylko można.

- A, żałoba?

- Nie będzie ani dnia. Wołkowiany sprzedam, a pieniądze dam ludziom potrzebującym wsparcia.

- Tak trzeba.
- Wiesz, myślałam często: jaki okrutny jest los...
- I niecierpliwy?
- Tak. I niecierpliwy.
- A, teraz?
- Teraz wiem, że nie ma żadnego losu.
- A, co jest? Jak myślisz?
- Chyba oboje wiemy.
- Chyba tak.
- Tylko... dlaczego tak stromą drogą trzeba iść do swego szczęścia?

- To proste. Im wyżej chcesz się wznieść, tym bardziej stroma jest ta droga. Ale można sobie upatrzeć niższy szczyt. Wtedy o wiele łatwiej się idzie. Znam ludzi, którzy zadowalają się właśnie czymś niższym. - Gołmont uśmiechnął się.

Nieborowska znów przytuliła się do niego.

- To nie dla nas, prawda?
- Nie.
- Kiedy cię spotkałam, uświadomiłam sobie, że muszę mieć wszystko, albo - nic.
- A ja, kiedy cię zobaczyłem, tam, koło Filharmonii, jak szłaś w zmierzchu i w światłach ulicy warszawskiej... to pomyślałem: moje marzenie; kobieta, o jakiej śniłem, jakiej chciałem, sądząc, że nigdy żywej nie spotkam. Jaśminowicz powiedział: Lucrezia Borgia - na twój widok. A potem myślałem: miał rację.

- A teraz?

- Teraz? - Objął swoje słodkie przeznaczenie prawą ręką. - Teraz wiem, że miał racje. Miał. Ale już nie ma.

Przywarła do niego mocniej.

- Już nie ma.

- W Afryce... Kiedy było mi bardzo, bardzo źle...

Kiedy...

- Miałeś kobietę?

- Tak. Przebaczysz?

- Nie potrzebuję ci przebaczać, bo tego w tobie nie było, tak naprawdę.

- Nie było.

- To była tylko chwila - smutek, samotność... Prawda?

- Tak.

- Zostało tam, minęło.

- Jak piasek pustynny uniesiony wiatrem.

Przymknęła oczy.

- Jak piasek.

Gołmont trzymał ją mocno swoim potężnym ramieniem.

- Czego najbardziej pragniesz?

- Twojej duszy, która wchodzi we mnie poprzez twoje ciało. A, ty?

- Ja? Żeby czas upływał ponad nami, a my żebyśmy pozostali zawsze tacy jak dziś. A kiedy już nas tu nie będzie, żebyśmy byli razem - tam.

Koniec